



ISSN 1506-9133



szkice nadobrzańskie

1(6) 2024



1(6) 2024

szkice nadobrzańskie



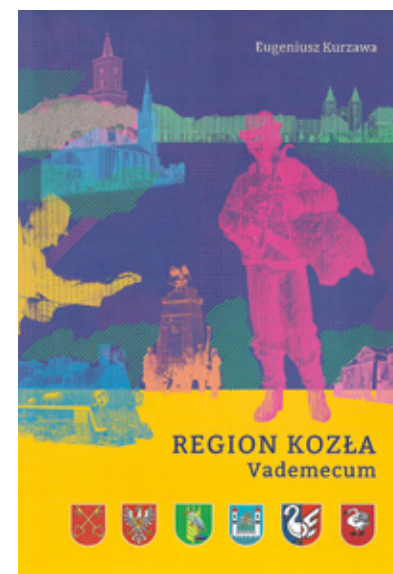
Region Kozła



-  Muzeum Ziemi Zbąszyńskiej i Regionu Kozła
– Zbąszyń, Rynek 8
-  Port Lotniczy „Babimost”
-  Biuro Regionu Kozła
– Kargowa, Rynek 16
-  Skansen maszyn rolniczych
– Podmokle Małe (szkoła)
-  Węzeł drogowy Regionu Kozła „Trzciel”
– autostrada A2



Wydawnictwa Regionu Kozła



Stowarzyszenie Gmin RP Region Kozła

szkice nadobrzańskie

1(6) 2024

Babimost • Kargowa • Trzciel • Siedlec • Zbąszynek • Zbąszyń

Szkice Nadbrzańskie

– materiały z historii i kultury Regionu Kozła – rocznik

popularno-naukowy (jako kontynuacja Szkiców Zbąszyńskich numer 9)

ADRES REDAKCJI

66-120 Kargowa, Rynek 16 (Biuro Regionu Kozła)

tel. 502 060 231 lub 513 639 738

e-mail: lgdrk@wp.pl

WYDAWCA

Stowarzyszenie Gmin RP Region Kozła

ISSN 1506-9133

REDAKTOR

Eugeniusz Kurzawa

PROJEKT OKŁADKI

Wojciech Olejniczak

KOREKTA

Hanna Stecyszyn

SKŁAD I DRUK

Firma Reklamowa GRAF MEDIA

Spis treści

5 Od redakcji

teksty i materiały

- 9 Oswajanie przestrzeni, czyli wędrówki po Trzcielu i okolicy
– Zofia Mąkosa
- 17 Mój Zbąszynek w roku 2023 – Malwina Kubicka
- 22 100-lecie miasta
- 25 Karczma Taberska – zjawisko społeczne – Michalina Sawicka
- 31 Antonina Woźna. Nazywano ją Mamą – Eugeniusz Kurzawa
- 51 Dobra biblioteka w Trzcielu – Jadwiga Szylar
- 55 Jak to z kwiatami w Kargowej było... – Danuta Wróblewska
- 59 Rodzina fotografa Constantego Sikorskiego – Zygmunt Kaczmarek
- 67 Chorągiew kościelna z nazwiskami trzech Polaków
– Aleksander Waberski
- 70 Wśród łąk i pól wije się gmina Siedlec – Joanna Rostkowska
- 81 Burmistrzowie Zbąszynia (najnowsze ustalenia) – Eugeniusz Kurzawa

komunikaty

- 93 „Szkice” o naszej przeszłości i nie tylko
- 97 Krzyż Brzózkowej w Karszynie – Łukasz Witkiewicz
- 101 Niechciane nazwy ulic w Regionie Kozła – Franciszek Stroński
- Wypowiedzi Tęgich Głów:
- 104 Coś się nam udało – Edward Fedko
- 106 Chodź, stworzymy poezję (uwagi napisane w pozycji leżącej)
– Mirosław Lachowicz
- 111 Na obrzeżach Obry i Obrzycy – Kazimierz Rogoziński
- 119 Jak się zmieniło moje miasto – Zygfryd Witkiewicz
- 121 Wolalbym mieszkać przy ul. Zygmunta I Starego
– Eugeniusz Kruszewski

recenzje

- 125 85. rocznica Preludium Zagłady – Michalina Sawicka
128 Pamięć domowa i peryferyjna – Barbara Nau

kronika

- 131 Obwodnica Regionu Kozła wreszcie otwarta
134 Konkurs Paukszty po raz 24.
136 Najważniejsze wydarzenia kulturalne półrocza 2023
141 15 lat Krumskich Osobowości – Michalina Sawicka
144 85. rocznica deportacji obywateli polskich pochodzenia żydowskiego z III Rzeszy
146 O statuetkę Łabędzia Białego – Anita Rucioch-Gołek
147 Pół wieku gminy Siedlec

wspomnienia

- 151 Mój powojenny, subiektywny Trzciel – Bernard Świdorski
161 Nadgraniczne miasto i starsi bracia w wierze (lata 1938-1943)
– Eugeniusz Kruszewski
167 Wspomnienie o latach młodości – Bogdan Jan Springer
170 Jerzy Jańczak – wspomnienie – Eugeniusz Kurzawa
172 Odszedł Dziadek Florek (Florian Wojciechowski)
177 Emilia Łodyga – zwykła kobieta z niezwykłym życiem
– Jadwiga Szylar
179 Moje wspomnienie o Marianie Andrzejaku – Urszula Adamczak

varia

- 185 Jak zostałem uśmiercony – Eugeniusz Kurzawa

Szanowni Czytelnicy,

jeśli w tej chwili trzymacie w ręku najnowszy numer „Szkiców Nadobrzeńskich”, to znaczy, że już trzeci rok z rzędu – po wznowieniu czasopisma – Regionowi Kozła udało się wydać swój rocznik. Można ów fakt uznać za swoisty sukces, bowiem w przeszłości też wyszły trzy numery „Szkiców”, ale wówczas w ciągu kilku lat między 1998 a 2002 rokiem. Miejmy nadzieję, że aktualna dobra passa utrzyma się w przyszłości.

Pismo, zgodnie z ustaleniem jego założyciela, Zenona Matuszewskiego, stara się skupiać na historii i kulturze Regionu, ale niekiedy spogląda także w kierunku innych dyscyplin. Nie zawsze bowiem udaje się znaleźć autorów, którzy potrafiliby lub zechcieli podjąć takie czy inne tematy historyczne lub kulturalne, natomiast pojawiają się osoby proponujące publikacje z innych dziedzin życia Regionu Kozła. Świetnym przykładem jest tutaj dr Joanna Rostkowska z Kopanicy, która, posiadając ponadprzeciętną wiedzę przyrodniczą i biologiczną, prezentuje teksty oparte na własnych, bieżących badaniach naukowych (terenowych), a dotyczące gminy Siedlec. Ze „Szkicami” związał się również babimojszczanin Aleksander Waberski, który do każdego numeru proponuje zupełnie nowe materiały, dotąd nigdzie niedrukowane, gdyż powstałe na podstawie jego penetracji archiwalnych. W podobny sposób swoje odkrycia historyczne przekazuje Zygmunt Kaczmarek z Nądni, który jako emeryt, szukając w archiwach rodzinnych korzeni, zaraził się lokalną historią, prezentując przy tym godną podziwu docieklivość i wytrwałość w zbieraniu rozmaitych danych. Ważnym kibicem i zarazem uczestnikiem poczynań „Szkiców Nadobrzeńskich” jest również pisarka z przysiółka Linie (w gminie Siedlec, ale blisko Kargowej) – Zofia Mąkosa. Mimo iż po swoich sukcesach literackich stała się człowiekiem pióra, znanym w środowisku pisarskim kraju, a także uznanym twórcą na rynku wydawniczym, nigdy nie odrzuciła propozycji napisania większych czy mniejszych tekstów dla naszego periodyku. W tym numerze mamy bezprecedensowy odprysk jej twórczości – relację z wizyt w Trzcielu i okolicy – powstały w związku z przygotowywaną do druku powieścią o przedwojennym, przemysłowym Trzcielu. Dla pisma to kapitalna wręcz sprawa, oby również zainteresowali się nią badacze współczesnej literatury.

Poszczególne numery nie mają żadnego tematu przewodniego, poza tym, że redakcja stara się w nich pomieścić różnorodne materiały związane z każdą z gmin kozłarskich. Zatem **każdy chętny autor może zgłosić propozycję** mieszczącą się (z grubsza) w profilu czasopisma. A tematów w gminach na pewno nie brakuje. Jednak z trudem udaje się nam namówić osoby piszące, także te posiadającego dorobek literacki czy naukowy i mieszkające poza Re-

gionem, do corocznej mobilizacji i przygotowania szkicu, zaprezentowania fragmentu badań, opinii lub refleksji. Liczyliśmy zwłaszcza – pracując nad obecnym wydaniem – na głos tzw. Tęgich Główn, czyli osób utytułowanych naukowo, które pracują na uczelniach, w instytutach, a wywodzą się z gmin Regionu Kozła. W prostej kwestii (parę pytań, prośba o refleksje na temat małej ojczyzny) zareagowało bardzo niewiele osób. Odpowiedział m.in. 94-letni prof. Eugeniusz Kruszewski z Kopenhagi, a nie zechciało się odezwać sporo młodszych postaci z wielu zakątków kraju; trudno – *signum temporis*. To pokazuje, jak niełatwo jest dziś redagować periodyk papierowy (w przeciwieństwie do internetowego) i docierać do odbiorców ze słowem pisanim. Dlatego traktujemy „Szkice” mniej jako forum ewentualnej dyskusji, ścierania się opinii, a raczej jako – już w chwili ukazania się w druku! – dokument historyczny. I tak też patrzymy na poszczególne publikacje. Niemal jak na archiwalia. To też znak czasu. Może należałoby dodać – niestety, a może tylko pokornie przyjmując ów fakt do wiadomości.

Te zmiany widać chociażby w naszym dziale kronikarskim lub recenzentkim. Brak w nich w miarę aktualnych publikacji mówiących o życiu kulturalnym i artystycznym sześciu gmin (z wyjątkiem Zbąszynka), brak nawet nie tyle nowości, lecz choćby niezbyt starych wiadomości. Czy to znaczy, że definitywnie kończy się epoka Gutenberga, era druku i papieru? A ponadto – co też charakterystyczne – niemal nie istnieją już społecznicy, ludzie, którzy zechcieliby „w czynie społecznym” napisać parę zdań, zakomunikować mieszkańcom Regionu Kozła, co się dzieje w poszczególnych jego częściach. Rozsyłane przez redakcję prośby o informacje, nawet drobne, o ciekawostki, o prezentacje niebanalnych sylwetek – giną w zakamarkach wielu głów, nie znajdują oddźwięku, zatem przepadają. Szkoda. Niemniej jednak nie zamierzamy składać broni i póki będzie można, póki będą złotówki na druk pisma – zamierzamy „Szkice Nadobrzańskie” wydawać. Wspierajcie nas, Szanowni Państwo!

 Redakcja

teksty i materiały





Oswajanie przestrzeni, czyli wędrowki po Trzcielu i okolicy

Należę do tych piszących, którzy fabularne wydarzenia osadzają w konkretnym miejscu i czasie. Miejskami dotąd opisywanymi były przede wszystkim: Chwalim, Kargowa, Zielona Góra, Sulechów, Kolsko i Jesiona. Wyjąwszy dwie ostatnie miejscowości, wszystkie pozostałe były mi dobrze lub przynajmniej jako tako znane, a z poznaniem Kolska i Jesiony nie było większego problemu.

Z Trzcielem jest inaczej. Czuję się tak, jakbym wśród skłębionych nitek nie mogła znaleźć tej właściwej, od której powinnam rozpocząć rozplątywanie.

Dlaczego tak się dzieje?

Czy, by zrozumieć duszę tego miasta, trzeba tam się urodzić i wychować?

Zatem, czy jako obca jestem skazana na powierzchowność i tworzenie fabuły pozbawionej niepowtarzalnej atmosfery Trzciela?

Skoro jednak ogłosiłam wszem i wobec, gdzie zamieszkają bohaterowie mojej kolejnej powieści, nie mogę się wycofać, a ratunkiem dla mnie jest próba oswojenia trzcielskiej przestrzeni.

Spacer po Trzcielu

Z okazjonalnych przejazdów samochodem przez Trzciel pamiętam most na Obrze i gąszcz uliczek, w którym

zagubiłabym się, gdyby pozostawiono mnie samą na chodniku.

Porządkowanie przestrzeni zaczynam od pocztówek i fotografii dawnego Trzciela. Ich bogaty zbiór posiada Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy. Dzięki życzliwości Doroty Świerzko i Wioletty Fabian dostaję do ręki skserowane materiały. Dopiero podczas pisania orientuję się, jak są cenne, bo wiem każde zdjęcie ma bogaty opis zawierający nie tylko informację, co przedstawia, ale i całą otoczkę. Na przykład grupowa fotografia członków jednego z bractw strzeleckich to także wiadomości o historii tych organizacji oraz festynach, które odbywały się każdego roku w mieście. Uzpełnieniem bibliotecznego zbioru zatytułowanego „Trzciel na starych fotografiach” są pogrupowane tematycznie skany dawnych zdjęć przedstawiających miasto i okoliczne miejscowości, użyczone przez Pawła Pawlaka, historyka pracującego w Muzeum Regionalnym w Międzyzrzeczu.

Mam już punkt zaczepienia. Wyobraźnia zaczyna pracować. Widzę dworzec i kobietę wysiadającą z pociągu, Żyda w kapeluszu stojącego na moście, dziewczynkę biegnącą do piekarni po chleb i mężczyzn zajętych ściąganiem kory z wikliny.

Jednakże powieść nie składa się wyłącznie ze scen. Kobieta, Żyd

i dziewczynka powinni mieć swoją historię, a co najważniejsze, zmierzać do jakiegoś celu. Dlatego muszę poznać ulice i pomyśleć, którędy pójdą moi bohaterowie.

Na spacer po Trzcielu wyruszamy z biblioteki. Jest nas czworo: Wioletta Fabian, prof. Marceł Tureczek, mój mąż Tadeusz i ja. My, Mąkosowie, idziemy za naszymi przewodnikami i wsłuchujemy się w opowieść o tym, co było tu, a co tam, czytamy napisy na starych płytach chodnikowych, patrzymy na dawną synagogę, a dziś siedzibę straży pożarnej, zadzieramy głowę, by spojrzeć na

wieżę katolickiego kościoła, i odwiedzamy plac zabaw w miejscu, gdzie stała ewangelicka świątynia. Próbuję połączyć to, co widzę, z tym, co zapamiętałam ze starych fotografii. Trudno.

Zbliżamy się do dawnego przejścia granicznego. Już wiem, gdzie była granica.

– To droga neutralna. – Wioletta Fabian wskazuje bruk biegnący między stanowiskami niemieckich i polskich strażników, zaczynający się przy nieczynnym już dworcu kolejowym i ginący gdzieś między zaroślami. Patrzą na drogę i widzę Joannę, kobietę,



W wędrówkach po Trzcielu towarzyszyli pisarze: Wioletta Fabian z biblioteki miejskiej (z lewej) i prof. Marceł Tureczek oraz niewidoczny tu mąż, Tadeusz Mąkosza

Fot. Tadeusz Mąkosza

która wysiadła z pociągu jadącego ze Zbąszynia. Idzie wolno, ostrożnie stawiając stopy na kamieniach. Po jednej stronie ma Polskę, po drugiej Niemcy. Ona sama w tej chwili jest NIGDZIE. Śledzą ją spojrzenia strażników. Wie, że nikt do niej nie strzeli, mimo to czuje się nieswojo.

Ze stacji kolejowej, skrótami przez zarośnięte tory, wędrujemy znowu ku miastu. Na kilka minut zanurzamy się w morzu zieleni. To cmentarz ewangelicki lub to, co po nim zostało. Przypomina mi chwalimski leśny cmentarz. Oba są jak wypełniona śpiewem ptaków świątynia z filarami starych porośniętych bluszczem drzew. Nagrobków niewiele, ale można je dostrzec wśród trawy i pełzających po ziemi pnączy. Nie czuję żalu, że nikt nie dba o groby i sprząatanie. Ważne, że nikt nie śmieci i już niczego nie niszczy.

Zostało jeszcze Jezioro Młyńskie. Idziemy promenadą od mostu na Obrze do miejskiego kąpieliska. Nowe i zadbane urządzenia służące rekreacji dorosłych i plac zabaw dla dzieci. Miejskie kąpielisko jest w tym samym miejscu od ponad stu lat. Patrę na wschód. Jak wynika z mapy, drugi brzeg jeziora również należał do Niemiec, ale Polska była tuż, tuż. Profesor Tureczek mówi, że m.in. przez jezioro przemycano różne towary, a gęsi przepływały same. Wystarczyło na drugi brzeg przewieźć łodzią gąsiora, a one usłyszawszy jego głos, same wchodziły do wody.

Spółeczność międzywojennego Trzciela składała się z Niemców, Polaków i Żydów.

– Gdzie mieszkali Żydzi? – pytam profesora.

– Wszędzie – odpowiada. – W starym Trzcielu i w Nowym. Najwięcej jednak mieszkało pomiędzy.

– Nie rozumiem. Jak to „pomiędzy”?

Profesor tłumaczy, mimo to nie pojmuję. Zrozumiem dopiero w domu, kiedy znowu powędruję uliczkami Trzciela, tym razem palcem po pochodzącej z okresu międzywojennego mapie, którą otrzy-



Budynek dawnej stacji kolejowej Trzciel. Dziś – nieczynny. Obiekt stał po polskiej stronie granicy. Miasto zaś było niemieckie.

Fot. Tadeusz Mąkosa

małam dzięki uprzejmości Muzeum Regionalnego w Międzyrzeczu.

Spacer po mapie papierowej oraz wirtualnej z użyciem funkcji Street View pozwala mi przynajmniej częściowo wyobrazić sobie przestrzeń, w której będą się poruszać bohaterowie powieści. Niektóre miejsca pokaże czytelnikom bosonoga Nela Wieczorek, dziewczynka, która na początku biegła do piekarni po chleb. To jej oczami czytelnik będzie patrzeć na oba rynki, na uliczki Trzciała

oraz staruszków Nowaka i Neumanna gawędzących na ławeczce przed domem.

Na razie wybieram Wieczorkom dom przy ulicy Młyńskiej, na podwórku stawiam ręczną pompę i sadzę orzech, a pod nim umieszczam ławeczkę. Kilka dni później na własne oczy się przekonuję, że prawie każda posesja przy Młyńskiej ma orzech za domem.

Ach, zapomniałam! Przecież po podwórku powinien biegać pies.



Tory dawnej linii kolejowej Zbąszyń - Trzciel - Międzychód. Aktualnie zupełnie opuszczonej i zapuszczonej. Niestety...

Fot. Wioletta Fabian

Już go widzę. Czarny, podpalany kundelek na krótkich nogach zjawia się przede mną jak na życzenie.

Cmentarz żydowski

Oswajanie przestrzeni trwa. Podczas spaceru po Trzcielu nie zdążyliśmy odwiedzić żydowskiego cmentarza. Zjawiamy się tu tylko we dwoje ponad dwa miesiące później. Już wrzesień, lecz nadal panuje lato. Parkujemy naprzeciwko wejścia. Mijają nas samochody i rowerzyści. Prawdopodobnie wszyscy zmierzają na plażę nad jeziorem Wielkim. Mnogość jezior w tej okolicy wprawia mnie w zdumienie. Podobnie jak niektóre nazwy. Do moich ulubionych należą Rybojady i Wędomierz.

Cmentarz leży na wzniesieniu. W XVIII w. tutejsi Żydzi chowali swych zmarłych na jego spłaszczonej szczytce. Tam znajdują się najstarsze macewy. Im niżej, tym nagrobki są młodsze. Zastanawiam się, czy w przeszłości rosły tu drzewa. Teraz jest ich wiele. Są nawet dęby.

Część macew to skromne, leżące wprost na ziemi polne głazy z inskrypcjami. Inne, bardziej okazałe, wyglądem przypominające bramę, symbol przejścia do innego świata, pochodzą z końca XIX w. Brakuje nagrobków z granitu. Te zostały rozszabrowane po wojnie.

Kluczymy między macewami, starając się nie deptać po grobach. Po chwili jesteśmy w najstarszej części. Gdzieś tu ponad sto lat temu, pośród kamiennych płyt, w pobliżu krawędzi

stromego zbocza siedział stary Żyd. Za plecami miał jezioro i las na jego przeciwnym brzegu. Rozglądałam się w poszukiwaniu krajobrazu zapamiętanego ze starego zdjęcia, ale nie widzę niczego poza zaroślami i drzewami zasłaniającymi widok na jezioro Żydowskie. Wystarcza jednak chwila, bym ujrziała przygarbioną postać w czarnym kapeluszu, siwe wąsy, długą brodę i kij, którym się podpiera. Starzec mieszka niedaleko, lecz w domu nie ma nikogo, wszyscy są tutaj. Tęskni za nimi i prosi Najwyższego, by i on mógł wreszcie spocząć obok żony i dzieci.

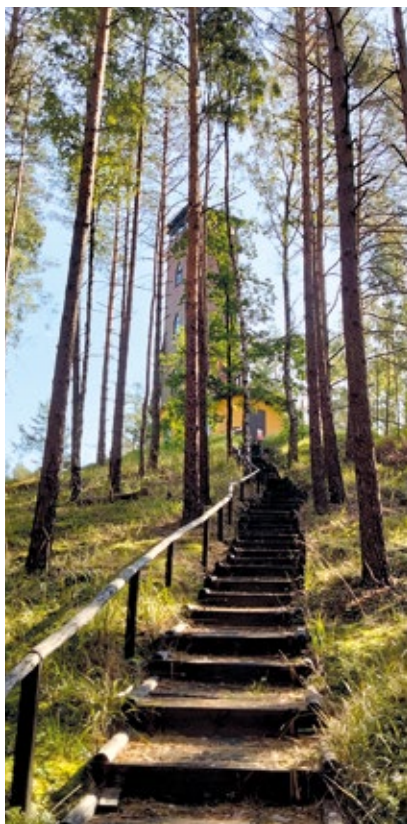
Schodzimy w dół w milczeniu. Zerkam na zamysłonego Tadeusza. Czyżby i on pośród macew ujrzął starego Żyda?

Wieża Marii na Czarnej Górze

Na leśny parking leżący około 10 km na północ od Trzciela trafiamy, korzystając z nawigacji i wskazówek mieszkańca tego miasta, Adama Szczygła, pełniącego rolę obserwatora w dostrzegalni na Czarnej Górze. Jesteśmy na miejscu, lecz celu, czyli wieży, nie widzimy. Wokół sosnowy las i kilka dróg prowadzących w różne strony. Domyśliłyśmy się, którą z nich wybrać, dzięki tablicy informacyjnej stojącej nieopodal. Nie mija pięć minut, a już między rudymi pniami zauważamy wzniesienie i brązowe kontury budowli.

Tadeusz idzie pierwszy. Ja robię dokumentację fotograficzną. Takie czasy, że jeśli nie pokażesz czegoś na fejsbuku, to jakby wcale tego nie było.

Od stóp wzniesienia do wieży prowadzi wygodne podejście z poręczą. Później się okazuje, że wtajemniczeni nie muszą zostawiać samochodu na parking. Można podejść do samych drzwi, używając innej trasy. W tej chwili stoi tu bus, a w środku właśnie są montowane kamery.



135 lat temu, urodzony w Trzcielu Ernst Fischer, właściciel rozległych dóbr, wznosił wieżę dla swej świeżo poślubionej żony, szlachcianki, Marii Mollard. Budowla była dowodem wielkiej miłości.

Fot. Wioletta Fabian

Jesteśmy w miejscu, gdzie 135 lat temu urodzony w Trzcielu Ernst Fischer, właściciel rozległych dóbr, wznosił wieżę dla swej świeżo poślubionej żony, szlachcianki, Marii Mollard. Budowla miała być dowodem wielkiej miłości. Radości i dumy zapewne także, bo odtąd zamożny kupiecki ród Fischerów przyjął nazwisko von Mollard, dołączając do grona szlachetnie urodzonych. Państwo młodzi zamieszkali w nowiułkim, bo dopiero dwudziestoletnim neoklasyzystycznym pałacu w Trzcielu, a na wieżę przyjeżdżali najpierw sami, później z dziećmi: Waltraud, Annemarie i Gerdem. Po latach obdarzony duszą poety Gerd wspominał, że miejsce to należało do jego ulubionych. Zachwycał się idyllicznym krajobrazem, widokiem kwitnących wrzosowisk, jezior, lasów i pól.

Po II wojnie światowej wieża ulegała stopniowej degradacji. 24-metrowa budowla została ponownie wzniesiona niemal od podstaw w 2005 roku.

Wspinamy się po stromych schodach, których wylot znajduje się w podłodze najwyższego położonego pomieszczenia. Pan Adam już na nas czeka. Witamy się i od razu podchodzimy do okien. Wokół las. W którąkolwiek stronę światła spojrzeć, wszędzie czuby sosen.

Jedno z pierwszych pytań dotyczy nazwy. Dlaczego Czarcia Góra? Czy istnieje legenda wyjaśniająca jej pochodzenie? Okazuje się, że nie tylko nie ma legendy, ale sama „góra” (około 109 m n.p.m.) niekoniecznie

jest Czarcią. Nasz gospodarz wskazuje przez okno dwa inne wzniesienia, o których też mówi, że to Czarca Góra. Jego zdaniem nie ma pewności, czy wieża przypadkiem nie stoi na Kobyłej Górze.

– Wieża Marii jest na Czarcej Górze i koniec, bo to mi pasuje do powieści – ucinam dywagacje i zadaję kolejne pytanie: – Jaki widok roztaczałby się przed naszymi oczami, gdybyśmy tu byli sto lat temu?

Pan Adam zastanawia się przez chwilę, potem robi parę kroków i kolejno prowadzi nas od jednej strony świata do drugiej. Najpierw mówi o tym, że tych lasów, które teraz widzimy, prawie nie było. W krajobrazie oglądanym z wieży dominowały pola uprawne i łąki. Lasy i niewielkie polodowcowe akweny także można było zobaczyć, lecz nie stanowiły tak zwartej kompleksu jak obecnie. Intensywne zalesianie słabych ziem porolnych rozpoczęło się w latach pięćdziesiątych XX wieku.

– Gdyby nie drzewa, widzielibyście państwo nieodległe Pąchy, Silną, Jabłonkę, Trzciel, Miedzichowo, Lewice, Nowy Tomyśl, a nawet Świebodzin. Przy dobrej przejrzystości powietrza dzisiaj moglibyśmy stąd zobaczyć figurę Chrystusa. Tam – pan Adam wskazuje na południe – są zabudowania Leśnego Folwarku. Mollard miał tam stajnię dla koni pracujących w lesie i na polach. Tędy – mój wzrok wędruje za palcem przewodnika – biegła linia kolejowa Zbąszyń-Międzychód. Tam była granica.

Jest południe, świeci słońce, lecz w mojej wyobraźni panuje noc. Na polnej drodze oświetlonej promieniami księżycy widzę Natana, chłopca pracującego przy koniach w Leśnym Folwarku. Jedzie na dużej i mocnej kłaczce. Podąża w stronę Silnej. Potem przyjedzie tu i wejdzie na wieżę, ale już nie będzie sam. Zastanawiam się jeszcze nad pociągiem. Może będzie wiozł tajemniczego pasażera albo cenną przesyłkę w wagonie pocztowym... A granica? Na pewno była wielokrotnie przekraczana przez przemytników. Co przynosili? Czy bardzo się bali?

Wieża Marii jako tradycyjna dostrzegalnia właśnie kończy swój żywot. Adam Szczygieł wkrótce przejdzie na emeryturę, a lasów przed pożarami będą strzegły kamery umieszczone na wieży. Zdążyliśmy w ostatniej chwili.

Bar Słoneczko

Nasze wędrowki często kończymy w barze Słoneczko leżącym 5 minut jazdy samochodem z Trzciela trasą DK92. Od pierwszych odwiedzin zamawiamy to samo, czyli miętusa polanego masłem czosnkowym i surówką. Realizacja zamówienia za każdym razem wygląda tak samo. Pani za ladą przynosi rybi korpus bez głowy i ogona i pyta, ile odkroić. Bywa, że jesteśmy bardzo głodni, wtedy bierzemy miętusa na pół. Kiedy indziej zachowujemy się bardziej powściągliwie. Czekać na posiłek, robimy pierwsze podsumowanie wędrowki, dzielimy się z Tadeuszem spostrzeże-

niami, oglądamy fotografie w telefonie i za każdym razem cieszymy się z poznania ciekawych ludzi.

Przestrzeń w mojej głowie pomału się porządkuje. Układam w niej

kolejne obrazy jak puzzle. Wielu jeszcze brakuje, ale zaczynam wierzyć, że się uda.

 **Zofia Mąkosa**

Zofia Mąkosa, pisarka, emerytowany pedagog, urodzona w Kargowej, w młodości związana z Chwalimem, obecnie mieszka w osadzie Linie. Autorka trylogii „Wendyjska winnica”, dwukrotnie za nią nagradzana Lubuskim Wawrzynem Literackim, oraz najnowszej dwutomowej powieści „Makowa spódnica”, za którą w 2022 r. otrzymała Nagrodę Literacką ZLP im. Andrzeja K. Waśkiewicza.

To wyjątkowa okazja poznać, jakimi drogami – realnymi i metaforycznymi – biegną twórcze myśli autorki, zanim gotowa powieść trafi do rąk czytelników. Udało się nam namówić znaną pisarkę do opisu przygotowań „terenowych”, mających posłużyć jej najnowszej, szykowanej dopiero do druku książce. Wiadomo tylko, iż rzecz dotyczyć będzie Trzciana oraz okolic i toczyć się w okresie międzywojennym. Wydaje się, iż należałoby oczekiwać w przyszłości pojawienia się pracy badawczej porównującej powieściowy i realistyczny obraz miasta i pogranicza polsko-niemieckiego tamtych lat.

(red.)

Poniższy tekst został napisany z myślą o umieszczeniu w tzw. kapsule czasu z okazji obchodów 100-lecia Zbąszynka. Kapsuła została zakopana 12 sierpnia 2023 r. na następne 100 lat. Warto podkreślić, że o tym co znajdzie się w kapsule czasu decydowali sami mieszkańcy poprzez ankiety i wypowiedzi w internecie. Kapsuła znajduje się na placu przy ul. Długiej (miejsce z fontannami tuż przy Pomniku Kolejarza). Jedną z najcenniejszych pamiątek, która trafiła do kapsuły jest zdjęcie, które przedstawia napis „Zbąszynek” ułożony z jego mieszkańców. Został wykonany na płycie boiska.

100-lecie miasta

Mój Zbąszynek w roku 2023

Każdy dzień w Zbąszynku wygląda podobnie. Codziennie o 7.00 rano budzi nas hejnał, który leci z głośników zamieszczonych na budynku Zbąszyneckiego Ośrodka Kultury. Ten sam hejnał o godzinie 12.00 przypomina o krótkiej przerwie na kawę. Ostatni raz jego brzmienie słyszymy o 22.00, jako sygnał ciszy nocnej.

W tygodniu największy ruch i gwar słychać około godziny 6.00, 14.00 i 22.00. Wtedy pracownicy IKEA Industry wyjeżdżają do lub wracają z pracy. W 2023 r. zakład ten zatrudniał największą ilość mieszkańców, stąd tryb życia w mieście dosyć mocno dostosowany jest do zmian przypadających w zakładzie. Kiedy pracownicy IKEA idą na urlop, a w firmie pojawia się tzw. przestój, wszystkie parkingi w mieście są zajęte. W ostatnich latach pojawiło się

bardzo dużo miejsc parkingowych, ale też zwiększyła się liczba samochodów i samych mieszkańców. Drugim w kolejności zakładem pracy jest Rzeźnictwo Zyguła oraz AXXOR, ale zakładów zlokalizowanych na terenie Zbąszynka jest więcej.

W sobotni poranek większość mieszkańców pędzi z koszykami wiklinowymi na miejskie targowisko, gdzie można kupić prawie wszystko: owoce i warzywa, kwiaty i krzewy, buty, ubrania, mięso i wędliny oraz świeże pieczywo. Największym zainteresowaniem od lat cieszy się stoisko z produktami „niemieckimi” oraz tzw. stoiska różnorodności. W tym dniu stoimy w długich kolejkach w supermarketach. Pomimo że oba sklepy czynne są do późnych godzin wieczornych, największy ruch odbywa się w godz. 9.00-12.00. Jest to bowiem doskonała okazja do spotkań,

podczas których prowadzimy długie rozmowy przy sklepowych półkach. O tej porze do miasta przyjeżdżają na zakupy mieszkańcy z sąsiednich wiosek. Głównie z Dąbrówki Wlkp. i z Kosieczyna. Zdarza się też tak, że mieszkańcy pobliskiego Zbąszynia robią zakupy na naszym targowisku, ponieważ jest ono największe i najlepiej zaopatrzone w okolicy.

Jeżeli chcemy zrobić zakupy w innym sklepie, wybór mamy niewielki: przy głównej ulicy mieści się mini-market oraz sklep warzywno-spożywczy, a do lipca 2023 r. otwarty był sklep „Jedynka” (jeden z pierwszych, który powstał po 1945 roku). Mięso i wędliny kupujemy przy ul. Targowej albo przy ul. Wojska Polskiego. Świeże pieczywo można dostać w trzech piekarniach. Wszystkie zlokalizowane są przy ul. Wojska Polskiego. Piekarniami są jedynie z nazwy, ponieważ wypieki dowożone są najczęściej z Karpicka. Jedna z piekarni otwarta jest także w niedziele, po to by można było zakupić w niej ciepłe bułki na śniadanie. W soboty i w niedziele, w godzinach popołudniowych i wieczornych, zakupy robimy w sklepach monopolowych. Mamy do wyboru aż trzy: przy Wojska Polskiego, tzw. blaszak przy boisku sportowym i sklep przy Pomniku Kolejarza.

Pomnik Kolejarza mieści się na nowo powstałym placu rekreacyjnym. Na nim w okresie wakacyjnym możemy podziwiać przepiękny pokaz iluminacji świetlnych połączony z nastrojową muzyką i wystrzałem

fontann. Pokazy odbywają się w piątki i soboty (o godz. 21.30) oraz niedziele (o godz. 16.00). Jest to jeden z trzech placów, na których znajdują się fontanny. Całkiem niedaleko, przy Pomniku Lokomotywy, znajduje się fontanna, przy której czas spędzają rodzice z dziećmi. W tej lokalizacji znajduje się budka z lodami. Trzecia fontanna (najstarsza, zbudowana około 1925 r.) znajduje się na Placu Wolności. Warto wspomnieć także o pozostałych pomnikach. Pomnik Chrystusa Króla na wjeździe do Zbąszynka od strony Kosieczyna co roku jest miejscem oficjalnych obchodów niepodległościowych, Pomnik Źródło na placu Dworcowym przypomina nam co roku o rzezi wołyńskiej i pierwszych transportach ludzi z Kresów Wschodnich. Pomnik Katarzyny Aleksandryjskiej (rondo na pl. Dworcowym) jest pamiątką naszych kolejarskich tradycji. Pomnik Współpracy prezentuje gminy partnerskie Zbąszynka. Mamy też pomniki przyrody: Dąb 1000-lecia Państwa Polskiego, Dąb 100-lecia Zbąszynka oraz inne dęby okolicznościowe.

W Zbąszynku działa wiele placówek handlowych. Tutaj można ubrać się od stóp do głów. Przy ul. Wojska Polskiego mieści się duży sklep obuwniczy, sklep z bielizną i ubraniami oraz sklep outletowy. Przy ul. Targowej ubrania i artykuły do domu kupujemy w minimarketce. Jest to obecnie jedna z najtańszych i najpopularniejszych sieciówek

w Polsce. Ubrania możemy także kupić w punktach z odzieżą używaną: przy ul. Chrobrego, na placu przy Pomniku Kolejarza oraz przy ul. Wojska Polskiego. Sprzęt AGD kupujemy i naprawiamy w sklepie, który zlokalizowany jest w budynku dworca PKP. Artykuły papiernicze i zabawki możemy zakupić w sklepie przy ul. Kupieckiej. Artykuły rowerowe i wędkarskie kupujemy na placu Dworcowym. W tym samym miejscu mieści się także kantor wymiany walut. Ponadto w mieście znajdują się sklep jubilerski, sklep ogrodniczo-elektryczny oraz sklep z tekstyliami.

Dużym zainteresowaniem cieszą się usługi fryzjerskie. Przy głównej ulicy mieszczą się dwa zakłady fryzjerskie dla kobiet, fryzjer męski i Barber. Dodatkowo salony fryzjerskie znajdują się przy ul. E. Orzeszkowej (1) i przy ul. Rynek (1). Kobiety korzystają także z usług kosmetycznych. Te bardzo często zmieniają swoją lokalizację. Bardzo modne są ostatnimi czasy usługi z dojazdem do klienta.

Spacerując ulicami w tygodniu, spotykamy niewiele osób. Czasami przemknie drugą stroną chodnika ktoś z psem lub przejadą na rowerach dzieciaki pędzące w stronę boiska sportowego. Młodzi późnymi wieczorami zbierają się w centralnych punktach miasta. Siedzą na ławkach, słuchają głośnej muzyki i rozmawiają ze sobą za pośrednictwem komunikatorów zainstalowanych w telefonach. Te same miejsca w ciągu dnia okupują mieszkańcy uzależ-

nieni od alkoholu do tego stopnia, że traktują je jak swój dom. Od niedawna czynny jest dla młodzieży także Pumptrack, z którego chętnie korzystają najmłodszy fani dwóch kółek.

Po ścieżkach rowerowych spacerują głównie seniorzy. Po tych samych ścieżkach codziennie biegają mieszkańcy Zbąszynka, pokonując dziesiątki kilometrów. Rodziny z dziećmi najczęściej rowerami udają się na Jeziorko Koźlarskie.

W weekendy i święta ulice są puste. Oferta gastronomiczna jest bardzo uboga: dwa bary serwujące kebaby, jedna pizzeria oraz foodtrack z wypiekaną pizzą prosto z pieca. W mieście nie ma kawiarni, baru ani żadnej restauracji. Imprezy okolicznościowe możemy zorganizować w barze Pod Semaforem przy ul. Kolejowej oraz w salach Domu Kultury z cateringiem z zewnątrz. Właścicielka baru Pod Semaforem prowadzi przy Rynku małą jadłodajnię, z której licznie korzystają seniorzy i podopieczni opieki społecznej. Istnieje możliwość wykupienia miesięcznych abonamentów w bardzo rozsądnych cenach. W mieście brakuje kompleksowej oferty noclegowej. Nie ma hotelu ani pensjonatu. W barze Pod Semaforem można wynająć kilka pokoi o wysokim standardzie. W tym samym miejscu mieści się także internat. Baza noclegowa nie stanowi jednak dla nas problemu, korzystamy z usług hotelowych, jakie oferują: Gość w Dom oraz Artix w Chlastawie lub hotele w Zbąszyniu.

W Zbąszynku mieszka i prowadzi działalność bardzo dużo fachowców, z których usług często korzystamy. Mamy elektryków, mechaników samochodowych, murarzy i malarzy. Nieco gorzej jest z hydraulikami, ale tutaj możemy liczyć na Samorządowy Zakład Usług Komunalnych. W materiały budowlane zaopatrujemy się w dwóch hurtowniach: przy ul. PCK i przy ul. Ogrodowej. Stolarkę okienną i drzwiową oferuje zakład przy ul. Wojska Polskiego. Na obrzeżach miasta mieści się także zakład wyrobów betonowych. W mieście działają także firmy zajmujące się wykładaniem bruku.

Na terenie miasta działają także: Urząd Pocztowy, agenci ubezpieczeniowi, dwie kwiaciarnie, usługi fotograficzne, optyk oraz inne placówki handlowo-usługowe. Dodatkowo możemy korzystać z usług banków (4), agencji nieruchomości, zakładów pogrzebowych (2), usług transportowych i logistycznych oraz z usług myjni samochodowych.

Mamy bardzo dobrze rozwiniętą sieć placówek oświatowych: żłobek, Niepubliczne Przedszkole „Pod Muchomorkiem”, Szkołę Podstawową im. Powstańców Wielkopolskich (ul. Sportowa 1, Plac Wolności 1), Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego (szkoła zawodowa, technikum profilowane, liceum ogólnokształcące) oraz Zbąszyński Uniwersytet Trzeciego Wieku. Seniorzy mają zapewnioną kompleksową opiekę w Dziennym Domu Senior –

Wigor. Dla tych z największymi potrzebami uruchomiono Mieszkania Wspomagane przy ul. Kosieczńskiej 4. Seniorzy w naszym mieście są najbardziej aktywną grupą. Zrzeszają się w organizacjach i stowarzyszeniach: Klub Seniora „Pogodna Jesień”, Terenowa Organizacja Emerytów i Rentistów Kolejowych, Świebodziński Związek Kresowian Koło Terenowe Zbąszynek – Kosieczyn, swoje stowarzyszenie mają także diabetycy.

Organizacji i stowarzyszeń jest bardzo dużo. Należą do nich m.in.: harcerze, gołębiarze, wędkarze, kluby sportowe (piłkarze, siatkarze, kolarze), Kurkowe Bractwo Strzeleckie i inne... Rozrywki dostarczają dwie instytucje: Ośrodek Sportu i Rekreacji przy ul. Sportowej 2 oraz Zbąszyński Ośrodek Kultury przy ul. Wojska Polskiego 18. Obie instytucje posiadają bogatą ofertę edukacyjną: sekcje artystyczne i zajęcia sportowe. Rozwijamy swoje talenty i sprawność motoryczno-ruchową. Bierzymy udział we wspólnych wydarzeniach sportowych i artystycznych. Oferta jest kompleksowa i każdy znajdzie coś dla siebie. Dodatkowo w mieście czynna jest także Biblioteka Miejsko-Gminna im. Marcina Rożka, gdzie prócz nowości wydawniczych organizowane są spotkania z autorami książek.

Dbamy o nasze zdrowie. Przy ul. Długiej mieści się ośrodek zdrowia, gdzie możemy skorzystać z usług laboratoryjnych. Mamy dostęp do lekarzy pierwszego kontaktu oraz do

specjalistów. W ośrodku znajdują się także nowoczesna aparatura diagnostyczna: rentgen i USG. Dodatkowo w obiekcie stacjonuje zespół Pogotowia Ratunkowego, który ma do dyspozycji karetkę pogotowia. Kompleksowe usługi prowadzi także Ośrodek Pomocy Społecznej przy ul. Kosieczynskiej 4, gdzie mieści się także gabinet fizjoterapeutyczny. Z aptekami też nie jest u nas najgorzej. Do wyboru są trzy punkty. O bezpieczeństwo dbają także: Ochotnicza Straż Pożarna (remiza zlokalizowana jest przy ul. Bydgoskiej), policjanci (posterunek mieści się w budynku Domu Kultury), Strażnik Miejski oraz Cywilna Grupa Poszukiwawczo-Ratownicza. O zdrowie zwierząt dba weterynarz.

W dużej mierze jesteśmy wyznania katolickiego. Msze św. odbywają się w kościele parafialnym przy ul. Długiej oraz w małym kościółku przy ul. Kościelnej. Mieszkańcy najliczniej uczęszczają na mszę o godzinie 10.30, ponieważ o tej porze oprawę muzyczną zapewnia miejscowa schola lub chór kościelny. Około 3 km od miasta zlokalizowany jest cmentarz.

Centrum dowodzenia miastem mieści się w budynku Urzędu Miejskiego przy Rynku 1. Tam podejmowane są najważniejsze decyzje dotyczące wszystkich inwestycji i planów rozwojowych związanych z miastem. Burmistrzem jest Wiesław Czyczerski, zastępcą i jednocześnie sekretarzem Jan Makarewicz, a skarbnikiem gminy Aneta Nawracała, którzy współpracują z aktualną Radą Miejską.

Od 100 lat naszą chlubą jest dworzec kolejowy. Chociaż budynek sam w sobie wymaga remontu i przebudowy, istotne jest to, że coraz więcej pociągów przyjeżdża i odjeżdża ze Zbąszynka. Mamy bezpośrednie połączenia z Warszawą, Gdańskiem i Berlinem. Tutaj podróżni bardzo często przesiadają się z pociągów do samochodów prywatnych, autobusów bądź taksówek.

W Zbąszynku żyje się dobrze i bezpiecznie. Miasto jest czyste i zadbane. Realizowane inwestycje zwiększają nasz komfort życia. Powstają nowe domy i mieszkania. Jest dużo zieleni i miejsc do wypoczynku i rekreacji. Bardzo lubimy wypoczywać w ogródkach działkowych, gdzie prócz działek uprawnych bardzo dużo mieszkańców organizuje sobie działki rekreacyjne do grillowania i spędzania czasu na świeżym powietrzu.

Chociaż Zbąszynek posiada prawie wszystkie cechy idealnego miasteczka, mamy też swoje bolączki. Nie potrafimy się ze sobą integrować. Nasza mentalność często nie pozwala nam cieszyć się z sukcesów pozostałych osób. Nie wspieramy lokalnych przedsiębiorców. Bardzo często krytykujemy ludzi, sytuacje albo inwestycje, pomimo że finalnie bierzemy w nich udział i w pełni nas zadowolają. Coraz rzadziej ze sobą rozmawiamy. Goni nas czas i chęć posiadania bardziej niż chęć bycia. Zbyt szybko wyprzedza nas technologia, za którą nie możemy nadążyć. Po-

chłania świat wirtualny. Zamykamy się w swoich domach i wykluczamy się społecznie. Pragniemy dla siebie lepszego życia i nie doceniamy tego, które właśnie w tej chwili trwa.

Pomimo to, mocno wierzymy, że uda nam się nad tym popracować

i tak jak pięknie rozwija się nasze miasto, tak my również rozwinemy w sobie poczucie przynależności do tego miejsca, które jest naszą małą, kochaną ojczyzną.

 **Malwina Kubicka**

Malwina Kubicka ur. 1985, magister inżynier; ukończyła Liceum Ogólnokształcące w Międzyrzeczu, Uniwersytet Zielonogórski na kierunku edukacja techniczno-informatyczna, Wyższą Szkołę Humanistyczno-Menedżerską w Gnieźnie na kierunku zintegrowana edukacja przedszkolna i wczesnoszkolna, od 2010 dyrektorka w Zbąszyneckiego Ośrodka Kultury.

Jak powstało miasto

Nie powstałby Zbąszynek, gdyby Niemcy nie przegrali I wojny światowej, w wyniku czego utworzono państwo polskie. Spowodowało to konieczność wytyczenia nowych granic, w tym granicy zachodniej Polski z Republiką Weimarską. Komisja aliancka ustaliła – fatalnie zresztą – przebieg linii rozgraniczającej pozostawiający po stronie niemieckiej takie wsie jak Dąbrówka Wielka, Podmokle Małe i Wielkie, Stare i Nowe Kramsko, gdzie mimo zaborów w 1919 roku Polacy stanowili zdecydowaną większość. Z chwilą podpisania traktatu wersalskiego Niemcy próbowali na różne sposoby wykorzystać istniejącą wcześniej sieć kolei i stacji, żeby nie inwestować w nowe linie i obiekty. Do 1923 r. od-

bywały się pertraktacje z Rzeczpospolitą Polską np. dotyczące wspólnego użytkowania stacji Zbąszyń do odpraw granicznych i celnych. Był też pomysł zbudowania bliźniaczej stacji Bentschen West (Zbąszyń Zachód). Jednak plany te nie doszły ostatecznie do skutku. Strona niemiecka zdecydowała o budowie własnego węzła kolejowego i związanego z nim osiedla.

Jeśli ogląda się stare mapy okolic Kosieczyna i Dąbrówki W. z XIX w., a także późniejsze, to widać na nich tylko te dwie wspomniane wsie. Są połączone niemal idealnie prostą drogą wiejską, chyba nieutwardzoną. Z chwilą zapadnięcia decyzji o budowie nowej stacji Neu Bentschen i osiedla przy niej dawna droga sta-

ła się – i jest do dziś – główną osią komunikacyjną Zbąszynka; to ulica Wojska Polskiego. Jej przebieg, wyłączając odcinek pod wiaduktami, pozostaje prawie niezmieniony od tamtych dawnych czasów. Przy polnej drodze powstało późniejsze miasto...

Pierwotny plan utworzenia stacji Neu Bentschen przewidywał wykup ziemi pod inwestycję z rąk polskich rolników z Dąbrówki Wielkiej, ci jednak nie wyrazili na to zgody. Podobnie zachował się właściciel folwarku Bronikowo. Wobec takiej sytuacji koleje niemieckie wykupiły grunty od hauptmanna (kapitana) Bryzke z Bronikowa oraz rolników z Kosieczyna i Chlastawy (32 ha na początek), przesuwając miejsce budowy stacji na południe, niemalże w pobliże tychże

miejsowości. Kto wie, czy patriotyczna postawa dąbrowickich gospodarzy nie spowodowała w ostatecznej konsekwencji utratę szansy zostania miastem przez Dąbrówkę. A dziś być może nie byłoby Zbąszynka?

W lutym 1923 r. niemiecki minister kolei zatwierdził projekt budowy stacji towarowej i dworca celnego o nazwie Neu Bentschen. 1 marca 1923 r. przy istniejącej głównej linii ze Zbąszynia w kierunku Frankfurtu utworzono przystanek osobowy Kosieczyn (Kuschten) z ładownią towarową na potrzeby budowy stacji i osiedla. 27 czerwca 1923 zapada formalna decyzja o rozpoczęciu budowy węzła kolejowego i przyszłego miasta. Datę można uznać za akt założycielski Zbąszynka, choć władze



Ratusz w Zbąszynku należy do najmłodszych tego typu obiektów w Regionie Kozła. Został wybudowany w 1930 r.

powiatowe w Międzyrzeczu wydały dokument lokacyjny datowany na 15 lutego 1924. Antoni Worobiec w swój książce monograficznej uznaje tę drugą datę za ważniejszą, którą „należy traktować jako datę założenia przyszłego miasta”.

Latem 1923 roku ruszyły roboty wokół przyszłej stacji; budowano drogi dojazdowe, przesuwano ogromne masy ziemi. W efekcie na tym „froncie budowlanym” w szybkim czasie powstają coraz to nowe obiekty infrastruktury stacyjnej i osiedlowej. Pierwszym była, stojąca do dziś, wieża ciśnień. Już w 1924 r. w Neu Bentschen istniało sześć placówek usługowo-handlowych, piekarnia, poczta, odprawa celna, straż kolei, mieszkania dla obsługi. Już rok później budowano szkołę! Odnotowano w tym momencie 1100 mieszkańców, a w roku 1926 – 1400 obywateli. Powstał stadion. W 1927 r. ruszyła budowa kościoła ewangelickiego wraz z domem proboszcza (ukończenie w 1929). Pojawili się lekarz, weterynarz, dentysta, zegarmistrz, malarz, fryzjer, mechanik, rzeźnik, trzech szewcy, dwaj krawcy i inni. Powstały nowe małe firmy. W 1930 r. ukończono kościół katolicki, a także ratusz (pierwszy burmistrz – Arthur Steinke). W 1936 r. do szkoły uczęszcza 250 uczniów, 50 chodzi do tzw. klas wyższych. Rok potem Neu Bentschen liczy 1798 mieszkańców, zaś w 1938 aż 2200. W krótkim czasie osiedle przy nowoczesnym

węzle kolejowym rozwinęło się w imponujący sposób. Od początku było planowane jako tzw. miasto-ogród. Ten charakter utrzymał się do czasów współczesnych.

Cenne i ciekawe jest oglądanie zwłaszcza starych widokówek Zbąszynka, na których widoczne są etapy powstawania osady. To jest coś magicznego, jak w pustce można obserwować pojawianie się kolejnych budowli. Przykładem – zdjęcia dworca od strony ul. Wojska Polskiego, gdzie w miejscu obecnych budynków widnieje tylko skwer. Albo samotnie, w szczerym polu stojący kościół katolicki, dziś obudowany osiedlem domów jednorodzinnych. Podobnie wygląda ratusz w 1930 r.; wokół pustka, nie wyrosły jeszcze okazałe aktualnie drzewa.

Jak informuje A. Worobiec: „z punktu prawno-administracyjnego nowe osiedle, jako jednostka osadnicza, zaszeregowane zostało do kategorii gmina, a nie miasto. Na zaszeregowanie do kategorii miasto nie pozwalały uznawane wówczas kryteria, na podstawie których odróżniano miasto od osiedla typu miejskiego”. Formalnie Zbąszynek został miastem dopiero po zakończeniu II wojny, już w Polsce Ludowej.

Organizatorzy obchodów 100-lecia istnienia Zbąszynka przyjęli ciągłą opcję świętowania rocznicy od lutego 2023 do lutego 2024.

(red.)

Karczma Taberska – zjawisko społeczne

Wydaje się, iż drugiej takiej placówki, jednostki, instytucji – czy jak jeszcze to miejsce nazywać – nie ma na Ziemi Lubuskiej i w Wielkopolsce. Karczma Taberska jest niepowtarzalna i wyjątkowa, szczególnie z punktu widzenia integracyjnej (dla sześciu gmin) idei Regionu Kozła. Wydaje się, iż bardziej niż działalność gastronomiczna jest w tym miejscu akcentowana aktywność kulturalna i folklor Babimojszczyzny oraz całego Regionu. Ważną rolę Karczma w Janowcu (gmina Babimost) spełnia

ponadto jako ognisko oświaty i wychowania; na przykład dzieciaki uczą się tutaj wypiekać chleb, poznając przy okazji lokalną tradycję. Wstępnie sumując: imprez Karczmie Taberskiej może pozazdrościć niejeden ośrodek kultury.

Zaczynali od agroturystyki

I tę ostatnią opinię potwierdza Brygida Wróblewska z Kargowej, która mówi: – W Karczmie Taberskiej jest jak w domu kultury, a przecież to prywatna działalność. Bywam



Karczma Taberska w Janowcu (gmina Babimost) – widok od strony parkingu

tu, czasem zapraszam swoich gości z Niemiec, wiem, że zawsze dzieje się tutaj dużo. Święto Pieczonego Ziemniaka, Dzień Kobiet i inne imprezy.

Karczma Taberska tętni życiem już trochę lat, gdyż wystartowała w czerwcu/lipcu 2006 roku. Wcześniej, w latach 90., właściciele, Jolanta i Marek Taberscy, przez ponad 10 lat prowadzili w tym samym miejscu, we własnym domu, gospodarstwo agroturystyczne „Agrotabera”. Zaczynali od wynajmu paru pokoi i szykowania świetnego jadła dla gości, czego nadal się trzymają. Ale też nigdy nie bali się podejmować nowych wyzwań. Jako pierwsi w woj. lubuskim przedzierali się przez unijne przepisy, żeby zbudować własny hotelik (stoi za karczmą, do niedawna mieszkały w nim załogi samolotów latających z pobliskiego lotniska w Nowym Kramsku na Okęcie w stolicy). Potem, również przy unijnym wsparciu, wzięli się za tworzenie drewnianej karczmy. To był kolejny krok w rozwoju – pokreślmy to – rodzinnej działalności Taberskich.

Miejscowi fachowcy

– Zatrudniliśmy przy budowie wyłącznie okolicznych rzemieślników, lokalnych fachowców z dziada pradziada – podkreślał w trakcie realizacji tego przedsięwzięcia Marek Taberski. I wspólnie z małżonką wyliczał, że ławy zrobił stolarz Michał Tomiak z Nowego Kramaska, brzozywe stoły, krzesła i wieszaki to dzieło braci Woźniaków z Nowej Soli. Dwa

piece kaflowe stawiał mistrz zduński Barnaba Muńko, a kominek w największej sali Rajmund Joachimiak z Sulechowa. Wszelkie drewno było zamawiane u Mariana Szymańskiego w Nowym Kramsku. Prąd instalował Tolek Michalski z synem z Nowej Wsi Zbąskiej, chłodziarki sąsiad z Janowca, Zygmunt Müller z synami, kanalizację zakładał Norbert Gospodarczyk z pobliskiego Kolesina, murarka to dzieło Sylwestra Jungowskiego z Babimostu. Drewniane okna, drzwi pochodzą z firmy „Szułcik” z Kargowej.

Przy tej wyliczance Taberscy jakby zapominają o własnej ciężkiej pracy. A przecież ileż to trzeba było się użerać z urzędami, wszystko skoordynować, jak też pracować fizycznie. – Wszystkie ułożone tutaj posadzki to robota męża z synem Łukaszem i dawniejszym uczniem męża, Leszkiem Fabisiem – wspomina J. Taberska. Nowe Kramsko, Babimojszczyzna to mała ojczyzna Jolanty i Marka, i dlatego chcieli mieć karczmę pod względem wyglądu i jadła zgodną z miejscową tradycją. To się udało.

Jak dom kultury

Gdy karczma stanęła na nogi, małżeństwo podzieliło się zadaniami. – Czasem, gdy wstanę rano i rozejrzę się, to od razu narzuca się, co jest do zrobienia – opowiadał ongiś pan Marek. I budował wówczas stawek, zadaszenie dla pojazdów gości, a także dla bryczek i powozów – w tym jednego eleganckiego, ślubnego – ja-

kimi dysponuje karczma. Żona mówi o nim – Bob Budowniczy. Sama zaś jest urodzonym kaowcem. Jedna sala karczmy została przeznaczona na konsumpcję, druga głównie służy do występów, koncertów. Mąż zbudował żonie scenę, na której ona się realizuje. Bo sama śpiewa, występowała nawet w telewizyjnym programie „Must be the Music”. W działalności pomaga jej siostra, Aleksandra Malitowska, prywatnie mama słynnego polskiego tancerza, celebryty, Michała Malitowskiego, wielokrotnego mistrza świata w tańcach latynoamerykańskich. Siostry wspólnie planują wydarzenia w Karczmie. Mają zeszyt z rozkładem imprez.

– Organizujemy cykliczne wydarzenia dostosowane do pór roku – wylicza J. Taberska. – Zaczynamy od kolędowania z kozłem, bo przecież

jesteśmy w Regionie Kozła. Potem balik maskowy dla dzieci.

Wiele już razy odbywał się Dzień Kobiet. Każdy o innej tematyce, na przykład „Kobiety w PRL”, „Pobór kobiet do straży”, „Pobór do marynarki”, „Pobór do PGR-u”. Bo Jolanta Taberska nie boi się tego, że ludzie mają sentyment do Polski Ludowej; przeciwnie, wykorzystuje ten element do znakomitej zabawy ze swymi gośćmi. Jeden z Dni Kobiet odbywał się pod zawołaniem „Babskie Kosmoparty”. Równolegle w drugiej izbie wyznaczono spotkanie panów. Dla nich został przygotowany „Wieczór golonki” pod hasłem „Od kostek do ud babskie nogi to cud”. Dalej – w programie rocznym – jest słynna „Krumaska Majówka” (o której niżej), Dzień Dziecka – charytatywna impreza dla dzieci z domów dziec-



Tak wygląda Karczma Taberska w całej okazałości – od frontu. Ale ciekawe są również zakamarki z drugiej strony obiektu, w tym Akademia cioci Joli.

ka, „Pożegnanie Lata”, zaś w okolicy Święta Zmarłych jesienny charytatywny koncert „Tym, co odeszli”.

Oczywiście musi być także sylwester. Od niedawna ma on charakterystyczny rys, który zawiera się w nazwaniu go „Sylwestrem dla każdego”. – Zapraszamy do wspólnej zabawy rodziców z dziećmi, żeby bawili się wszyscy – tłumaczy J. Taberska. – Dwa lata temu sylwester był pod zawołaniem „Pszczółka nasza przyjaciółka”, bo chodziło o dbałość o pszczołę, a kolejny nosił nazwę „Bajkowe podwórko”.

Kultura Regionu Kozła

Nigdzie w Regionie Kozła nie zauważy się tak żywo i na co dzień kultuwanego lokalnego folkloru, zarówno w postaci strojów, jak i muzyki oraz

gwary (nie zawsze jednak to jest lokalnie doceniane – wtrąćmy). Panią Jolanę można codziennie zobaczyć ubraną w strój z Nowego Kramskarodem. Ubiera się tak, gdy prowadzi zajęcia z uczniami podstawówek w ramach „Akademii cioci Joli”. Pod Karczmą bowiem można niemal codziennie spotkać autobusy z podstawówek – nawet z miejscowości bardzo odległych od Janowca – które przywoziły dzieciaki na wyjątkowe lekcje. To czterogodzinne zajęcia (i cały specjalny program edukacyjny) noszące nazwę „Od ziarenka do bochenka”. W specjalnie wybudowanej sali oświatowej dzieci dowiadują się o ziarnach zbóż, o powstawaniu mąki, potem same robią ciasto, formują z niego bochenki i osobiście wkładają je do chlebnego pieca. Czekając aż



Stylowy bufet w Karczmie Taberskiej. Zwykle oblegany przez klientów.

się upiecze, dowiadują się ciekawostek o folklorze, tańczę, śpiewają. Potem bochenki zabierają do domów, żeby się pochwalić rodzicom.

Czas poinformować o kolejnej fazie rozwoju działalności Taberskich. Otóż kilka lat temu zakupili dawny majątek ziemski (dwór z budynkami gospodarczymi) w Kolesinie nad jeziorem Wojnowskim, ledwie 1 kilometr od Karczmy. Kompleks został pieczołowicie odrestaurowany (na razie z wyjątkiem pałacu), a w inauguracji wziął nawet udział dawny niemiecki właściciel, choć główną atrakcją tego dnia był występ taneczny Michała Malitowskiego, w sali specjalnie dla niego zaadaptowanej (w dawnym spichlerzu). Dwór Kolesin to malowniczo położony hotel z restauracjami, ponadto ścieżka przyrodnicza nad brzegiem jeziora Wojnowskiego, plaża, wypożyczalnia sprzętu wodnego, tzw. ruska bania i wiele innych atrakcji. Szefem Dworu jest córka państwa Taberskich – Sylwia (z zawodu kontroler lotów), która w tym kompleksie realizuje własny program kulturalny i ekologiczny. Tutaj także odbywają się niektóre z zajęć „Akademii cioci Joli”, np. program „10 kroków w głąb przyrody”, impreza „Wielkanoc nad jeziorem” lub „Weekend pełen kobiecości”.

Trochę o jedzeniu

Należy się jeszcze kilka zdań o kuchni, w końcu mówimy o karczmie. Wśród smacznych potraw serwowanych dla gości od początku dominowały regionalia i tak jest nadal. Ale co

jakiś czas Karczma Taberska modyfikuje wcześniejsze karty dań, W każdym razie wybór jest wciąż bardzo smakowity. Objaśnia to gospodyni, pani Jolanta: – Ponieważ jesteśmy w Regionie Kozła, to oczywiście, że serwujemy dania z tego obszaru: pyry z gziką, tzw. breję, kwaśne jaja, kaczuki – wylicza J. Taberska. Oczywiście nie może zabraknąć miejscowego „słodkiego”, jak to się mówi w Regionie, są więc makocze, kołocze, krance i inne pyszności. Z potraw wołowych mamy rolady, bitki, zrazy, na stół trafia wołowina gotowana w sosie chrzanowym z gotowaną kapustą, są do skosztowania ryby (jezioro wszak blisko), nie brakuje oczywiście wieprzowiny; tu na stół wjeżdżają gicze wieprzowe, świeżonka, bułczanka, kaszanka (te ostatnie zwłaszcza podczas „Krumskiej Majówki”). Co istotne, od początku istnienia Karczmy do garnków trafia surowiec z okolicznych, sąsiedzkich upraw i ogrodów. Dostawcy są sprawdzeni i niezmienni od lat. W związku z tym podawane są np. pierogi z jarmużem, tzw. ańtop z jarmużem, zupa z brukwi, brukiew puree zamiast ziemniaków w drugim daniu. Do tego miody z miejscowych przytków, herbaty z lip rosnących koło Dworu Kolesin i tak dalej.

Nagrodą – piekarska łopata

Spośród dziesiątków „karczemnych wydarzeń” należy wyróżnić jedno szczególne, które odbywa się raz do roku zawsze 1 maja – „Krumaska Majówka”. Karczma, usytuowana mię-

dzy Starym a Nowym Kramkiem, przyznaje wtedy swoje nagrody pn. „Krumskie Osobowości” (krumskie – to gwarowo, po polsku – kramskie). Są w kształcie łopat piekarskich, gdyż ojciec pani Joli, Alfons Reimann był znanym piekarzem i prezesem klubu sportowego „Polonia” Nowe Kramsko. Do jednej z belek w karczmie przybite są owe łopaty z wypisanymi nazwiskami Krumskich Osobowości (patrz oddzielna publikacja na str. 141-144).

– To nas kręci! – nie ukrywa Jolanta Taberska, mając na myśli całą rodzinną aktywność na wielu polach, a siostra Aleksandra przytakuje. – Lubimy spotkania z ludźmi, rozmowy z nimi i taką pracę, która przynosi pożytek nie tylko nam, ale i okolicy.

– Karczma kojarzy się z jedzeniem, ale w tym wypadku wątek kulinarny, aczkolwiek smakowity, jest niejako dopełnieniem tego, czym jest ta instytucja – uważa zielonogórzan-

ka, Alicja Błażyńska. – Cała marka, cała uroda tego miejsca bierze się od pasji właścicieli. Pani Jola, pani Ola i pan Marek to postaci z innego świata. Pełne pasji, zarażają niezwykłymi pomysłami, są prawdziwą solą ziemi babimojskiej. Są bezinteresowni i ofiarni, i nie rozgłaszają tego. Kiedyś regularnie zapraszali dzieci z tzw. Szkoły Życia w Zbąszyniu i podopiecznych Klubu Kiwanis z Zielonej Góry, ofiarowując im cały dzień zabaw, uciech i niezwykłych atrakcji, obecnie zaś chętnie goszczą trudną młodzież z Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego w Babimoście.

Z chwilą uruchomienia Dworu w Kolesinie wszystkie wcześniejsze przedsięwzięcia Taberscy, czyli ojciec Marek oraz córka Sylwia i syn Łukasz połączyli w rodzinną spółkę z o.o. – A ja jestem tylko obserwatorką – śmieje się Jolanta Taberska.

 **Michalina Sawicka**

Antonina Woźna. Nazywano ją Mamą

Ta wybitna postać istnieje na pewno w pamięci zbiorowej, szczególnie dawnych uczniów Szkoły Podstawowej w Przyprostyni i żyjących jeszcze członków zespołu „Wesele Przyprostyńskie”. Antonina Woźna ma szkołę swego imienia, w której uczyła już przed II wojną światową i gdzie współorganizowała w 1938 roku – pierwsze na wsi polskiej muzeum! – Muzeum Ziemi Zbąskiej. Przed budynkiem – siedzibą szkoły, a ongiś muzeum – postawiono już w IV RP popiersie „Mamy” z paskowca, w stroju ludowym.

A zatem dzieci uczące się wspólnie w tym gmachu otrzymują stale różnorakie informacje o patronce, twórczyni i nauczycielce kilku pokoleń. Na osiedlu Przysiółki w Zbąszyniu jedna z ulic nosi jej miano. Wydała ważną książkę pt. „Wesele Przyprostyńskie. Widowisko zespołu regionalnego z Przyprostyni k. Zbąszynia” (WDK LTK Zielona Góra 1984) z przedmową prof. Józefa Burszty, znanego polskiego etnografa. O Woźnej napisano dziesiątki artykułów, cytowano jej wypowiedzi, sama również chwytała za pióro. Została utrwalona na filmach i w fotografii, w tym należy zauważyć znakomite zdjęcia autorstwa Kazimierza Olejniczaka. Jest, obok Antoniego Janiszewskiego i Tomasza Śliwy, symbolem folkloru Ziemi Zbąskiej.



Antonina Woźna, portret z czasów okupacji hitlerowskiej. Prawdopodobnie z okresu wywózki jej rodziny nad Bug w pobliże miasteczka Sławatycze.

Po jej śmierci – a w ostatnim okresie życia mieszkała w bloku przy ul. Wypoczynkowej w Zbąszyniu – pozostały liczne osobiste pamiątki. Trafiły do mnie dzięki pośrednictwu mojej mamy, Zofii, która często odwiedzała Antoninę, były bowiem bliskimi kuzynkami, pochodziły z tej samej miejscowości. Intencją najbliższych żyjących krewnych Woźnej (jej siostrzenic) było zaś, żebym się zaopiekował „papierami” po niej, dlatego mi je przekazano. Po przejrzeniu licznych dokumentów i pamiątek postanowiłem większą część z nich przekazać społeczności przyprostyńskiej reprezentowanej przez Komitet Rozwoju Wsi oraz sołtysa Zygmunta Budę. Stało się to oficjalnie, z protokołem i pieczęciami, w domu Z. Budy 14 stycznia 2002 r. – w 95. rocznicę urodzin Antoniny. Porozumieliśmy się, iż w szkole podstawowej powstanie „kącik pa-

mięci”, a w gablotach zostaną na stałe wyeksponowane depozyty wyszczególnione przeze mnie w 28 punktach. To liczne ordery (w tym Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski oraz Krzyż Polonia Restituta), dyplomy, legitymacje, listy gratulacyjne i luźne fotografie. Dla siebie zachowałem album ze zdjęciami (niestety w większości nierozpoznanymi), cenne dwa świadectwa Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Poznaniu, egzemplarz „Kuriera Poznańskiego” z nekrologiem i inne drobiazgi, jednak z myślą o finalnym przekazaniu reszty tych archiwaliów szkole w Przyprostyni.

Zaginęły pamiątki

Wobec postanowienia zawartego w powyższym (ostatnim) zdaniu, we wrześniu 2023 r. zadzwoniłem do przyprostynskiej szkoły, żeby poczynić ustalenia w sprawie oddania archiwaliów pozostałych po A. Woźnej. Od dyrektorki Lucyny Młodystach dowiedziałem się, że w podstawówce – za jej kadencji, a jest to już kilkanaście lat – nie było i ma żadnych gablot związanych z pamięcią po byłej nauczycielce i kierownicze! Co zatem stało się z cennymi depozytami?! Czy po prostu nie dotrzymano słowa i nie wyeksponowano pamiątek, czy je wyrzucono, a może zaginęły? Może leżą u kogoś w szufladzie? Dla mnie jest po prostu szokujące, że doszło do takiej sytuacji, że dopuszczono się zaniedbania w tak ważnej sprawie związanej z czczoną i honorowaną postacią Mamy.

Z informacji uzyskanych w Przyprostyni dowiedziałem się, iż pan Zygmunt Buda nie pamięta nawet, że dokumenty i pamiątki odbierał ode mnie, choć na dokumencie widnieje jego stempel i podpis. Nie żyje już pan Marian Kubicki, druga z osób, które przejmowały i kwitowały depozyt. Jest jeszcze trzeci podpis, ale nieczytelny, nie wiem, kto go złożył. Mam nadzieję, iż problem zostanie ostatecznie wyjaśniony, a w szkole pojawią się zapowiadane ongiś gabloty, do których trafią różnorakie pamiątki materialne po A. Woźnej.

Mimo problemów chciałbym – z pomocą dokumentów, które posiadam oraz pamięci rodzinnej – opowiedzieć o Antoninie Woźnej z innej nieco perspektywy, niż mówią o niej dotychczasowe biografie, mianowicie – mniej oficjalnej, ba, rodzinnej. Na wspomnianej książce „Wesele Przyprostynskie” widnieje skromna dedykacja: „Geniowi na miłą pamiątkę autorka – ciocia”. Byliśmy spokrewnieni. Mój dziadek z Kamieńca koło Grodziska Wlkp., Jan Juja (ojciec mojej mamy, Zofii), i matka Antoniny – Maria Woźna z domu Juja, byli rodzeństwem. Maria wyszła za mąż za Jana Woźnego, mieli trzy córki: Antoninę (14 stycznia 1907 – 11 maja 1989), Eufrozynę, zwaną Enią (1911 – 30 stycznia 1935) i najmłodszą Stanisławę, na którą mówiono Stachura. Rodzina mieszkała w Kamieńcu przy głównej ulicy, która dziś oficjalnie nosi nazwę ul. Główna. Z relacji mojej mamy wynika, iż Woźni zajmowali

Protokół

przekazania pamiątek i dokumentów Antoniny Woźnej przez Eugeniusza Kurzawę społeczności Przyprostyni reprezentowanej przez Komitet Rozwoju Wsi

Dnia 14 5 2002 roku zostały przeze mnie przekazane następujące pamiątki i dokumenty Antoniny Woźnej, twórczyni „Wesela Przyprostynińskiego”, współzałożycielki Muzeum Ziemi Zbąskiej w Szkole Podstawowej w Przyprostyni w 1938 r.:

1. Kronika Szkoły Podstawowej w Przyprostyni - 1
2. Legitymacja Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski z 27 VIII 1980 r. - 1 oraz:
3. Odznaczenie - Krzyż Polonia Restituta (w etui) - 1
4. Order Wdzięczności Społecznej przyznany przez czytelników redakcji Zielonego Sztandaru w 1988 r. (w etui) - 1
5. Z okazji 750-lecia Zbąszynia medal Za zasługi dla miasta (w etui) - 1
6. Medal Za zasługi dla pożarnictwa (w etui) - 1 oraz:
7. Legitymacja Złotego Medalu Za zasługi dla pożarnictwa - 1
8. Dyplom Studium Nauczycielskiego z 18 XI 1959 - 1
9. Legitymacja członka Związku Nauczycielstwa Polskiego z 29 XII 1975 - 1
10. Legitymacja członka ZSL z 1 VIII 1968 r. - 1
11. Legitymacja członka ZSL z 29 XI 1978 r. - 1
12. Legitymacja Medalu 40-lecia PRL z 22 lipca 1984 r. -1 (brak medalu)
13. Legitymacja odznaki Zasłużonego Działacza Kultury z 3 XI 1965 r. - 1 (odznaki brak)
14. Legitymacja Medalu Komisji Edukacji Narodowej z 30 VIII 1977 r. - 1 (medalu brak)
15. Legitymacja odznaki honorowej Za zasługi w rozwoju województwa poznańskiego z 23 V 1980 r. - 1 (odznaki brak)
16. Legitymacja Społecznego Opiekuna Zabytków z 1974 r. - 1
17. Legitymacja Srebrnego Krzyża Zasługi z 9 IX 1955 r. - 1 (krzyża brak)
18. Książka autorstwa A. Woźnej „Wesele przyprostynińskie” z dedykacją - 1
19. Zaświadczenie Związku Strzeleckiego z 10 VII 1934 - 1
20. Dyplom przyjęcie do Sodalicji Mariańskiej z 25 V 1924 r. - 1
21. Podziękowanie dla „Zespołu Ziemi Przyprostynińskiej” z lipca 1965 r. - 1
22. Zaświadczenie Instytutu Teatrów Ludowych w Warszawie z 1939 r. - 1
23. Dyplom za III nagrodę w konkursie ZSMP „Zwyczajne rodzinne w kulturze ludowej - miłość i małżeństwo” - z 17 VI 1977 r. - 1
24. Dyplom srebrnego Krzyża Zasługi z 15 IX 1938 r. - 1
25. Gratulacje od wiceministra kultury z 19 VI 1987 r. - 1
26. Wpis do księgi pamiątkowej Zasłużony dla kultury i oświaty z 13 X 1980 r. (Kuratorium Oświaty i Wychowania w Zielonej Górze) - 1
27. List gratulacyjny z 17 I 1987 r. (Naczelnik miasta i gminy Zbąszyn) - 1
28. Fotografie ze zbiorów prywatnych A. Woźnej -

W imieniu Komitetu Rozwoju Wsi

Eugeniusz Kurzawa

**SOLECTWO
PRZYPROSTYNIA
SOŁTYS
gmina Zbąszyń**

**SOŁTYS
wsi Przyprostynia
Zygmunt Buda**

Maria Kurbiel

Państwowe Seminarjum: *iii. Kowalewskiej w Poznaniu*

Świadectwo.

Wojciech Sulonin

uczennica klasy *II^a* otrzymuje za czas
 od *1. 9. 21* do *31. 1.* 1922 następujące świadectwo:

Zachowanie się: }
 Uwaga: } *bardzo dobre*
 Pilność: }

Postępy w przedmiotach nauki:
 Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, mierny, niedostateczny.

W religji: <i>bardzo dobry</i> „ pedagogice: - „ ćwiczeniach praktycznych: - „ języku polskim: <i>bardzo dobre</i> „ „ niemieckim: } <i>dostateczny</i> „ historii powszechnej: } „ geografii: } „ matematyce: } „ fizyce (chemji) } „ historii naturalnej: } <i>dobry</i> „ śpiewie: } „ pisaniu: <i>bardzo dobry</i> „ robotach ręcznych: <i>dobry</i> „ nauce gospod. domowego: - „ języku francuskim: -	W grze na skrzypcach: } „ rysunkach: } <i>dobry</i> „ gimnastyce: } „ ogrodnictwie: -
---	--

Skala ocen: w zachowaniu się: bardzo dobre, dobre, mierny, dostateczny, niedostateczny.

Opuścił *1* godzin. *10 dni wprawnie* spóźnił się *1* razy.

Uwagi:

Dyrektor: *M. Brzoska* Gospodarz klasy: *J. Gutten*
Wojciech Sulonin
 Podpis ojca lub opiekuna.

pierwszy dom po lewej stronie (jeśli nie liczyć narożnikowego budynku sklepu) przy wspomnianym trakcie przez wieś, zakładając, że patrzyło się na miejscowość stojąc plecami do kościoła. Następny dom i gospodarstwo zajmowali Kaczmarkowie, rodzina spokrewniona z Jujami (Teodozja Kaczmarek była siostrą mojej babci Marianny). Wspomniane domy nadal stoją, widziałem je niedawno podczas wizyty w Kamieńcu; w dawnym domu Woźnych mieszkają ich spadkobiercy.

Jak wiadomo Antonina poświęciła się pracy nauczycielskiej, działalności artystycznej i pozostała panną, nie miała potomstwa. Jej młodsza siostra, Enia, zmarła w wieku 24 lat. W rodzinie mówiono, iż była niesamowicie zdolna, studiowała na Uniwersytecie Poznańskim na wydziale matematyczno-przyrodniczym. Zachowałem duży nekrolog, jaki ukazał się 1 lutego 1935 r. w „Kurierze Poznańskim”, poświęcony pamięci „Marji Eufrozyny Woźnej”, która była m.in. prezydentką Sodalicji Mariańskiej. Wspomina się ją jako tę, „która promieniując wśród nas wyjątkową dobrocią i pogodą ducha, opartą o prawdziwą i głęboką religijność była nam nie tylko najlepszą towarzyszką trudów szkolnych, ale przede wszystkim jasnym i świetlanym wzorem ofiarności i poświęcenia” (pisownia oryginału). Trzecia z siostr, Stanisława, wyszła w Kamieńcu za mąż za Stanisława Ciorgę. Urodziło im się sześcioro dzieci. Maryla, Barbara, Eufrozyna, Wawrzyn,

Antoni, Celina. Niektórzy z nich (np. obaj męscy potomkowie) już nie żyją.

Uczyła się w Poznaniu

Antonina poszła na studia w Poznaniu. Kończyła tam Państwowe Seminarium Nauczycielskie Żeńskie im. Marii Konopnickiej. Mam dwa oryginalne świadectwa: ukończenia klasy drugiej (rok szkolny 1921/22) i czwartej (rok 1923/24) oraz odpis świadectwa maturalnego. Jakie oceny przynosi pierwsze ze świadectw? Zachowanie, uwaga i pilność (cóż to były za dziwne przedmioty?!) – bardzo dobrze. Także ocena z języka polskiego – bardzo dobra, z niemieckiego – dostateczna. Przyszła nauczycielka musiała umieć grać na skrzypcach, znać się na ogrodnictwie i umieć gimnastykować; tu ocena za każdy z trzech przedmiotów – dobra. Ponadto za śpiew – też dobra. Inne przedmioty pomijam. Na świadectwie późniejszym o dwa lata z języka polskiego Woźna ma ocenę „tylko” dobrą, tak samo z historii, religii, pedagogiki, fizyki i chemii. Niemiecki wciąż dostateczny. Podobnie przyroda, geografia. Za to śpiew, rysunki, ćwiczenia praktyczne, gimnastyka – zostały ocenione na bardzo dobry. Ten ostatni przedmiot wyceńniony „na piątkę” nie dziwi. Później, gdy mieszkała nad Obrą, posiadała własny kajak, z którego często korzystała na miejscu, ponadto chętnie uczestniczyła w wycieczkach i to po całym kraju.

Świadectwo dojrzałości Antoniny posiadam tylko w odpisie, oryginał

zaginał; zapewne był złożony w jej pierwszej szkole wraz z podaniem o przyjęcie do pracy. Ale istotne, że informacje z tegoż świadectwa się zachowały. Pomijam oceny za poszczególne przedmioty, których było szesnaście (wśród nich np. geografia z kosmografią, fizyka, chemia i mineralogia, jako jeden przedmiot, higiena oraz ćwiczenia cielesne). Ważne, iż „Komisja Egzaminacyjna postanowiła wydać (...) niniejsze świadectwo dojrzałości uprawniające do pełnienia obowiązków tymczasowej nauczycielki w szkołach powszechnych”. Wydano w Poznaniu 25 czerwca 1925 r.

Z opowieści mojej mamy wynika, iż studia obu siostr Woźnych w Poznaniu sfinansował mój pradziadek, Maciej Juja z Kamieńca. Dlaczego tak uczynił? Głównie dlatego, że go było stać; należał do najbogatszych gospodarzy we wsi, mówiono nawet na niego (a potem na jego syna Jana) – „Dziedzic”. Ponadto obie dziewczyny, Antonina i Eufrozyna, okazały się jego pierwszymi, zatem najstarszymi wnuczkami. Łożył więc na ich naukę z rodzinnego sentymentu. I tu jeszcze jeden, choć poboczny, akcent rodzinny. Obie panny w czasie nauki w Poznaniu mieszkały na stacji u wdowca nazwiskiem Fajfer (a może Feifer?). Tenże miał dwie córki. Pierwsza zaraz po II wojnie prowadziła w Szczecinie sklep z kapelusza mi i u niej – po powrocie z niemieckich robót i po zakończeniu działań frontowych – zatrudniła się na krótki

czas moja mama. Druga z córek tego mężczyzny była nauczycielką.

Praca na Ziemi Zbąszyńskiej

„Po Poznaniu” A. Woźna, młoda absolwentka uczelni pedagogicznej, od razu trafiła na wieś, do szkoły powszechnej, jak wówczas oficjalnie nazywano późniejsze podstawówki, w Perzynch koło Zbąszynia. Wieś stanowiła tzw. majątek, należący (wraz z jeziorem Błędnio) do mieszkającego w zbąszyńskim pałacu Bernarda Skórzewskiego. Być może stąd brały się opowieści – słyszałem, ale nigdy ich nie sprawdzałem – iż Woźna wespół „z panem hrabią” byli proszeni na rodziców chrzestnych licznych perzyńskich, a może później przyprostynskich dzieci. Warto byłoby to sprawdzić; ciekawy wątek – odszukać ewentualnych chrześniaków. W wiejskiej szkole w Perzynch Antonina pracowała od 3 sierpnia 1925 do końca sierpnia roku 1931, po czym od 1 września 1931 znalazła się w innej placówce, w Chraplewie niedaleko Nowego Tomyśla. To była jedyna jej przerwa w długoletniej pracy oświatowej na Ziemi Zbąszyńskiej, oczywiście jeśli nie liczyć okresu okupacji hitlerowskiej.

Po dwóch latach (od września 1933) znów wróciła w okolice Zbąszynia, tym razem skierowana do Przyprostyni. I ten następny okres okazał się jednym z najbardziej twórczych w życiu młodej nauczycielki. Zaangażowała się w życie wsi, gminy i regionu, zapewne poddana ciśnie-

niu propagandowemu owych lat, nie bez wcześniejszych „sugestii” pamiętanych z okresu studenckiego. Takie były czasy! Trzeba było bronić kresów zachodnich! Tego rodzaju hasła pojawiały się bowiem w codziennym życiu II RP. Nowoczesny proboszcz Leon Płotka, wydający „Tygodnik Parafii Zbąszyńskiej”, użył w tytule jednego ze swych artykułów określenia: „Zbąszyń – zachodnia strażnica”. Woźna włączyła się zatem w działalność na rzecz budzenia polskich tradycji na wsi, ich utrwalania i dokumentowania. W ten sposób, jako wyraz lokalnego patriotyzmu, utworzono muzeum regionalne w budynku przyprostyńskiej szkoły. A stało się to tak...

Powstało muzeum

Pisze Zenon Matuszewski („Muzeum Regionalne Ziemi Zbąskiej” [w:] „Szkie Zbąszyńskie” nr 2/1985, s. 36): „W latach trzydziestych, a więc nieco ponad dziesięć lat po włączeniu tych terenów w granice państwa polskiego, podjęła tu pracę grupa młodych, niezwykle aktywnych nauczycieli, których [celem], poza zawodową pasją, było szukanie śladów dawnej przeszłości i rejestrowanie zanikających zwyczajów i tradycji. A. Woźna (...) zajęła się folklorem, a badaniami objęła również Dąbrówkę Wlkp. – wioskę leżącą już na obszarze [ówczesnych] Niemiec, w której mieszkało 90 proc. Polaków. Jan Tomiński, nauczyciel ze Strzyżewa, »kopał i wygrzebywał z ziemi wartościowe popielnice«. (...) Stanisław

Rewers, nauczyciel ze Zbąszynia, szperał w starych drukach i zbierał pamiątki powstania wielkopolskiego. W. Trojanek, nauczyciel z Nądni, był zapalonym numizmatykiem”. Swe osiągnięcia pedagoga prezentowali podczas okresowych spotkań pod patronatem kuratorium oświaty, tzw. konferencji. „Na jednej z nich, która się odbyła w 1935 r. w Łomnicy (...), podczas dyskusji nad referatami A. Woźnej, J. Tomińskiego i J. Kapelczaka, inspektor szkolny A. Łubiński zaproponował, »aby podjęto pracę około otoczenia opieką zabytków kultury minionych pokoleń tej ziemi« i zainicjował ideę utworzenia muzeum regionalnego w Zbąszyniu” (podaje Matuszewski). Na tejże konferencji Woźna zaprezentowała lokalny folklor oraz ludową grupę taneczną wraz z kapelą koźlarską. Do sprawy muzeum powrócono na kolejnej konferencji nauczycieli – 16 września 1937 r. w Przyprostyni. Żeby kuć żelazo póki gorące, powołano Komitet Trzech (Kapelczak, Tomiński, S. Wojciechowski), który miał zbadać warunki powołania placówki w dwóch wolnych klasach przyprostyńskiej szkoły. Następnie w ciągu dwóch miesięcy utworzono Komitet Założenia Muzeum Regionalnego Ziemi Zbąskiej. Otwarcie nowej placówki – pierwszego w kraju muzeum na wsi polskiej – odbyło się 20 lutego 1938 r.

Woźna – oprócz udziału w tworzeniu muzeum regionalnego, gdzie ważną rolę odgrywał opracowa-

ny przez nią dział sztuki ludowej i etnografii – na uroczyste otwarcie placówki przygotowała wspólnie z mieszkańcami Przyprostyni niepowtarzalne widowisko: „Wesele Przyprostyńskie”. Premierowej prezentacji towarzyszyło niepowtarzalne wprost zaangażowanie mieszkańców wsi oraz entuzjazm gości przybyłych z odległych stron. Było szumnie i z przystupem. Nie zabrakło władz wojewódzkich z Poznania. O wydarzeniu pisała prasa wielkopolska i krajowa. Na przykład: „Propaganda pieśni, tańca, zwyczajów, obrzędów i strojów będzie na zawsze zdobyczą kultury regionalnej Zbąszynia i okolicy. Cel został osiągnięty i za to spotkało autorkę zasłużone uznanie”.

„Wesele Przyprostyńskie”

W ten sposób Antonina już nieodwołalnie i do końca swego życia związała się z miejscowością i jej niepowtarzalnym folklorem. Za „Wesele” otrzymała w 1938 od ówczesnego premiera Sławoja-Składkowskiego Srebrny Krzyż Zasługi; znalazłem w dokumentach dyplom dołączony do tegoż Krzyża. Antonina Woźna tak wspomina premierę swego pokazu: „Naturalnie byłam obecna na widowisku. Targały mną różne uczucia. Siedziałam więc wśród dudziarzy i obserwowałam przebieg akcji. Po kilku tygodniach – ku radości całej wsi i mojej własnej – otrzymałam 100 zł nagrody i Srebrny Krzyż Zasługi” („Wesele Przyprostyńskie” s. 21, 22). Następna,



Znane i popularne w Regionie Kozła widowisko pt. „Wesele Przyprostyńskie” odgrywane przez stały zespół o tej samej nazwie. Istnieje do dziś!

po inauguracyjnej, prezentacja widowiska odbyła się w maju 1938 roku w wielkopolskim Wąsowie na „Święcie pieśni”. W lipcu tego samego roku weselne widowisko zostało sfilmowane na uroczystości w Nowym Tomyślu z okazji wręczenia wojsku broni ufundowanej przez obywatelstwo powiatu. Film ów wyświetlany był we wszystkich kinach w Polsce, także w Zbąszyniu i Przyprostyni.

Skutkiem sukcesów zespołu i Woźnej było również to, że „Tuż przed wojną wysłano mnie na Wyższy Kurs Teatrów Ludowych w Bystrzycy nad Olzą, gdzie dyrektorem był Jerzy Zawiejski, aktor i pisarz. (...) Po wojnie dalej kształcałam się w tym kierunku, w Wejherowie, a następnie w Krakowie” – wspomina nauczycielka („Wesele Przyprostynskie” s. 24).

Druga wojna światowa

Niedługo po hucznych uroczystościach wybuchła II wojna światowa i graniczny Zbąszyń oraz okolice zostały zajęte przez hitlerowców. Oczywiście szkołę w Przyprostyni zamknięto, a istniejące w niej muzeum po prostu zdewastowano, zbiory zaś rozkradziono. Został skuty przez okupanta napis „Muzeum Ziemi Zbąskiej”. Niemcy niszczyli zwłaszcza te eksponaty, które dotyczyły powstania wielkopolskiego. Po rozpoczęciu II wojny światowej, w listopadzie 1939 r., Woźna została przez okupantów wyrzucona ze szkoły. Zanim to nastąpiło, polski kierownik placówki polecił nauczycielce dostarczyć rozproszonym

kolegom ostatnią wypłatę. Polecenie to spełniła, jeżdżąc na rowerze w odległe zakątki regionu.

Wedle informacji mojej mamy, Antonina uciekła/przeniosła się do swojej rodziny w Kamieńcu. W listopadzie 1940 r. Niemcy wysiedlili ją, wraz z matką (ojciec już nie żył), siostrą Stanisławą i jej mężem, do wsi Mościce Dolne koło Sławatycz nad Bugiem (i obok wsi Liszna – jakieś 2 km dalej, gdzie zamieszkała wysiedlona tam moja mama z rodzicami i rodzeństwem). Czy Woźna podjęła oficjalną pracę w niemieckiej szkole, gdzie uczyły się podstaw niektórych przedmiotów polskie dzieci? Tego nie wiem. Wiadomo jednak, iż takie placówki oświatowe istniały – za zezwoleniem okupanta – na obszarze Generalnego Gubernatorstwa, a w GG leżały właśnie Mościce, Liszna i Sławatycze. Pojawiają się za to w biografii nauczycielki zdania, iż Antonina udzielała polskim dzieciom znad Buga prywatnych lekcji. Być może. Od kwietnia 1941 r. (lub wcześniej) podjęła pracę w spółdzielni „Rolnik” w Sławatyczach. Z powodu wylewów Bugu do pracy często... dopływała łódką, dowożona (z domu do szosy) przez szwagra. Po wyzwoleniu Lubelszczyzny przez Armię Czerwoną, od 1 września 1944 r. do 31 marca 1945 r. była zatrudniona w polskiej już szkole w Sławatyczach, a w maju powróciła do Przyprostyni.

Wielka czarna stodoła

Nie wiadomo jednak dokładnie, jak w początkowym czasie okupacji wy-

głądały losy A. Woźnej i dziś raczej nie da się tego sprawdzić. Czy jej rodzina, jak wielu gospodarzy kamienieckich wyznaczonych przez okupanta, została wysiedlona ze wsi już w pierwszym terminie? – Tu nas zagnali, całą wieś – moja mama często pokazywała mi wielką stodołę stojącą przy wjeździe do Kamieńca od strony Grodziska Wielkopolskiego. Tam hitlerowcy w końcu 1939 lub na początku 1940 spędzili mieszkańców przeznaczonych do wywózki. Czy wśród nich, oprócz Jujów, była rodzina A. Woźnej? Mama wspomina o wyrzuceniu z domu właśnie w końcu 1939 lub na początku 1940. W przypadku Woźnej i jej bliźkich jednak pada data listopad 1940 (nie wiem, skąd się wzięła w biografii). Może zatem te rodziny deportowano w różnych terminach? Jednak mama – mimo swych 97 lat – upiera się, że raczej wszystkich z Kamieńca wypędzono wspólnie, w jednym terminie. Dodaje ciekawostkę, że Woźna znalazła na wygnaniu zatrudnienie we wspomnianym „Rolniku” (to jakby GS, ale pod rządami Niemców), którym w Sławatyczach kierował człowiek nazwiskiem Rogoziński, pochodzący z Grodziska Wielkopolskiego (leżącego 10 km od Kamieńca), ale osiedlony nad Bugiem dużo wcześniej, już przed wojną. Oprócz Woźnej – zatrudnionej w biurze – w „Rolniku” pracowała także starsza siostra mamy – Celina, a Marysia Pańczak z Kamieńca – co mamie utkwilo w głowie – była najęta do gotowania obiadów Rogozińskiemu (gdyż był kawalerem).

W sierpniu 1988 r., gnany ciekawością związaną z młodością swojej matki, pojechałem wraz z rodzicami na drugi kraniec Polski, nad Bug, do wsi Liszna, tam gdzie rodzina Jujów została wygnana i osadzona za okupacji. Właściwie namówiłem mamę na tę eskapadę. Z zainteresowaniem oglądałem „jej wieś” koło Sławatycz. Liszna leży tuż przy wschodniej granicy Polski, ale po naszej stronie. Przy drodze łączącej Sławatycze ze znaną z kultu maryjnego miejscowością Kodeń. Wtedy – jako się już rzekło – te wsie leżały w granicach Generalnego Gubernatorstwa. Antonina mieszkała w Mościcach Dolnych bardzo blisko Bugu, jak wspomina mama, w domu na palach, co było związane z częstymi wylewami rzeki. Dla Poznaniaków domki na palach stanowiły zaskakującą egzotykę. W takim budynku właśnie Woźna z rodziną przetrwała wojnę. Ostatecznie wróciła do swojej szkoły w Przyprostyni. Pracę podjęła już 1 maja 1945. Pracowała do przejścia na emeryturę w roku 1968, pełniąc „po drodze” również funkcję dyrektorki.

Powrót „Wesela”

Ale oczywiście nigdy nie zapomniała o „Weselu Przyprostynińskim”. Zespół został po wojnie przez nią reaktywowany i prowadzony, a po jej odejściu ze szkolnictwa, po przeprowadzce do miasta, grupa wznowila działalność ponownie w 1977 r., tym razem za sprawą Zenona Matuszewskiego, ówczesnie dyrektora Zbąszyńskiego

Ośrodka Kultury, oraz Zbigniewa Centkowskiego i Wojciecha Winiarza, którzy pełnili przez długie lata funkcje kierowników grupy taneczno-śpiewaczej. Po latach doprowadzili do kolejnych jubileuszy zasłużonego ansamblu folklorystycznego. Pierwszy występ po reaktywacji odbył się 12 lutego 1978 r. podczas Biesiady Koźlarskiej w Nądni.

Dla mnie jednak, przynajmniej bez bicia, ten okres życia Antoniny jest białą plamą. Niewiele pamiętam. Byłem dzieckiem, potem młodzieńcem, bardziej w głowie mi była piłka nożna czy inne „męskie” sprawy, niż folklor. Choć chodząc (krótko) do szkoły muzycznej, słyszałem oczywiście o Tomaszu Śliwie, ba, chyba go nawet widywałem w murach uczelni przy ul. 17 Stycznia 1920 roku. Antonina zaś spotykała się czasami z mamą, która przekazywała potem w domu, „co tam u niej słychać”. Lecz mnie to nie ciekawiło. Kuzynki widywały się najczęściej w niedzielę w kościele lub po nabożeństwie. Gdy Woźna, już jako emerytka, przeniosła się z mieszkania w przyprostyńskiej szkole do bloków w Zbąszyniu przy ul. Wypoczynkowej, mama odwiedzała ją częściej niż poprzednio, zdarzało się ponadto, iż ciotka bywała u nas na Rynku. Mama namawiała mnie, żebym ją odwiedzał i kiedyś poszedłem z wizytą (chyba będąc już studentem). Z dzisiejszej perspektywy czasowej nie mogę sobie tego darować, że byłem taki durny i nie próbowałem pogadać, że nie wy-

pytałem sławnej krewniaczki o rodzinne sekrety, nie mówiąc już o jej intrygującej biografii, o jej uzdolnionej siostrze, czy też ile to dzieci z Przyprostyni lub Perzyn trzymała do chrztu wspólnie z dziedzicem Skórzewskim!

A więc wraz z zakończeniem drugiej wojny światowej „Wesele Przyprostyńskie” powróciło na scenę. W 1948 r. wzięło udział w Festiwalu Muzyki Ludowej w Zielonej Górze. Występ spotkał się z entuzjazmem ze strony widowni oraz pozytywnymi głosami prasy. W październiku tego samego roku Instytut Fonograficzny Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza nagrał „Wesele Przyprostyńskie” na płyty. W 1951 roku zespół pojawił się na centralnych dożynkach w Poznaniu w Parku Kasprzaka, następnie na Winobranii w Zielonej Górze, otrzymując wyróżnienia oraz gromkie brawa publiczności. W latach 1952-1953 przyprostyńscy tancerze i muzycy wraz z opiekunką występowali m.in. w Nowym Tomyślu, w Poznaniu nad Rusałką, a w 1955 roku na centralnych dożynkach w Warszawie, gdzie „Wesele” reprezentowało województwo poznańskie. Całość została sfilmowana i pokazana w zbąszyńskim kinie „Obra”. W dożynkach warszawskich zespół uczestniczył przez kolejne trzy lata. Natomiast w 1958 r. w Telewizji Polskiej w Poznaniu grupa przedstawiła fragment wesela – oczepiny wraz z tańcami i piosenkami. Z nastaniem w kraju tzw. odwilży, w 1956, „Wesele

Przyprostynskie” zostało sfilmowane przez ekipę telewizji amerykańskiej.

Kolejne sukcesy

W latach 60. odbywały się kolejne występy z różnych okazji, takich jak dożynki, rozmaite święta (Dzień Nauczyciela, rocznica ruchu ludowego, pochód 1 Maja, uroczystości związane z rocznicą powstania wielkopolskiego). Pamiętam występ w parku zbąszyńskim w ramach otwarcia Muzeum Regionalnego w historycznej wieży bramnej. Na deskach sceny z październowych płyt zagrała wówczas także kapela Toma-



Pomnik Antoniny Woźnej stojący przed szkołą w Przyprostyni; placówka również nosi jej imię

sza Śliwy (m.in. ówczesny przebój „Wala twist”, poświęcony kosmonauce W. Tiereszkowej). Zachowałem program tego wydarzenia. W 1966 i przez kolejne cztery lata „Wesele” jeździło z koncertami na Międzynarodowe Targi Poznańskie. Poza tym zespół można było zobaczyć m.in. w Nowym Tomysłu, Dąbrówce Wielkopolskiej, Babimoście, Trzcielu, Strzyżewie, Nowej Wsi, Nądni, Stefanowie czy Zakrzewku. Po tak intensywnym okresie nastąpiła przerwa. Dla Woźnej ważna przecież była praca zawodowa, w tym kierowanie szkołą w Przyprostyni, ale zapewne z czasem nastąpiło zmęczenie tak grupy, jak i jej kierowniczką. Stąd zawieszenie koncertów. Choć czy taka aktywistka mogła odpuścić?

Sama tak ten okres zapamiętała i zapisała: „Kiedy przesłam na emeryturę i przeniosłam się do pobliskiego Zbąszynia, założyłam tam zespół w Szkole Podstawowej nr 2. Występowaliśmy często z różnych okazji w Zbąszyniu, Nowym Tomysłu, Opalenicy (...), Buku i Wolsztynie. Tańców i przyspiewek z »Wesela Przyprostynskiego« nauczyłam też zespół przy Kole Gospodyń Wiejskich w Chrośnicy. Przez rok dojeżdżałam do Technikum Rolniczego w Trzciance (woj. poznańskie) i tam nauczyłam młodzież fragmentów »Wesela Przyprostynskiego«. (...) Zespół regionalny z Chrośnicy i działka Szkoły Podstawowej nr 2 w Zbąszyniu wystąpili w filmie pt. »Kozioł śpiewający« z tańcami i przyspiewka-

mi, których ich nauczyłam” („Wesele Przyprostyńskie” s. 31, 32).

Rodzinna tajemnica

Jedną z dziwnych tajemnic rodzinnych, której moi rodzice nigdy nie ujawnili, przynajmniej w pełni, był moment i sposób ich poznania. Droga żmudnych dedukcji i wieloletnich nagabywań przy różnych okazjach odkryłem tylko mgliste zarysy tej historii. Swatką rodziców była z pewnością Antocha, jak w rodzinie nazywano Woźną. Zapewne, mieszkając i pracując w Przyprostyni, zwróciła uwagę na Bronisia Kurzawę, tak wołano na mojego tatę. Wszak urodził się w teje miejscowości, nawet niedaleko szkoły. I tu po II wojnie zamieszkali jego rodzice z dziećmi; ojciec mój w 1945 uruchomił w rodzinnym domu tymczasowy warsztat krawiecki, był już bowiem po egzaminie czeladniczym.

Antocha, bywając od czasu do czasu u swojej rodziny w Kamieńcu, dowiedziała się prawdopodobnie, że jej kuzynka, Zosia od Jujów, jest niezamężna. Skojarzyła i fakty, i dwie dusze stanu wolnego. Czy tata pojechał specjalnie do Kamieńca, czy znalazła się jakaś inna okazja do poznania się młodych? Tego, niestety, nie mogę się wciąż dowiedzieć. Ojciec zwykle komentował moje pytania krótkim a dosadnym: – A tam, bzdury... No nie takie znowu bzdury, gdyż jeśli moje rozumowanie jest poprawne – a wszystko na to wskazuje – to pośrednio dzięki Woźnej zna-

łem się na świecie. Dlaczego nie poszedłem o to zapytać w stosownym czasie u samego źródła?!

Gdy Antonina Woźna zmarła i zgodnie z jej wolą pochowano ją w rodzinnym Kamieńcu (w grobie ojca, jak sobie życzyła), przyprostynianie zastanawiali się jednak cichcem, czy nie należałoby dokonać ekshumacji, żeby Woźna „znalazła się wśród swoich”. Prawdą bowiem jest, iż w Kamieńcu mało kto wiedział i wie o wielkości tej postaci i jej znaczeniu dla kultury polskiej. Ba, nawet grób, który odwiedziłem jedenaście lat po jej odejściu, był tam tragicznie zapomniany, a tabliczka z nazwiskiem przerdzewiała. Napisałem o tym w prasie. Że mogiła zapuszczona, a zasłużona postać leży pod rdzewiejącym krzyżem. Na grobie wypalony znicz i zwiędłe kwiaty. Ani śladu informacji o zasługach dla polskiego folkloryzmu, o dorobku artystycznym, o barwnej drodze życiowej.

– Nie wiedziałem, że to taka ważna osobistość – powiedział ówczesny wójt Kamieńca Krzysztof Mazurek podczas spotkania, które na początku tysiąclecia odbyło się w tamtejszym Urzędzie Gminy. Zrobiłem bowiem wówczas – korzystając z łamów prasy, w której pracowałem – sporą awanturę. W efekcie w miarę szybko doszło do odnowienia nagrobka, postawienia głazu pamiątkowego i spotkania nad grobem folklorystki władz Zbąszynia wspólnie z „Weselem Przyprostyńskim” i wójta oraz samorządu Kamieńca wraz z rodziną

Woźnej. Był rok 2000. Coś się zapowiadało. Miała być współpraca Przyprostyni z Kamieńcem, ale...

Już początek tej „odnowy” był „taki sobie”... Zamiast potężnego głazu, wykopanego przed kościołem w Kamieńcu przy okazji kanalizacji wsi, na grobie ustawiono źle obrobiony, karłowaty i spłowiały „kamyczek”. Po upływie kolejnych lat zauważyłem, że „sytuacja wróciła do normy”. Grób jakby znów wyblakły i zapomniany. Może rzeczywiście Antonina powinna powrócić „do swoich”? Dodajmy, dla jasności sytuacji, iż Antonina Woźna, przed śmiercią kazała się zawieźć taksówką ze Zbąszynia do Kamieńca, zmarła w rodzinie swojej siostrzenicy – Celinie. Tak zdecydowała. Mama była na pogrzebie swojej kuzynki. Zbiegło się to w czasie z komunią jednego z jej bratanków, Sławka, mieszkającego oczywiście w Kamieńcu. Stąd łatwo jej było zapamiętać majową datę pogrzebu Antochy (śmierć nastąpiła 11 maja 1989 r.).

Zdjęcia z albumu Woźnej

Ze wspomnianych pamiątek, które są w moim ręku, interesujący dla biografii folklorystki mógłby okazać się album zdjęć. Problem w tym, że dziś już nie ma go kto objaśnić. Zatem wszystkie te fotografie pieczołowicie wklejane przez Antoninę nic nie powiedzą nam, potomnym. Można tylko domniemywać, iż są efektem jej aktywności nauczycielskiej. Różnych wyjazdów, kursów doszkalających

oraz, zapewne, wycieczek turystycznych. Niestety, nawet podpisy pod zdjęciami wyblakły. Próbuje odczytać: „Warszawa. Park Łazienkowski 1935” – Woźna z jakimś panem. Na stronie drugiej rozpoznaję z autopsji: Góra Trzykrzyska w Wilnie, przedwojenny autobus nr 21 kursujący na linii Wilno – Troki, pociąg, cmentarz, kilka zdjęć wykonanych w górach; piękne widoki (brak podpisów). Dalej seria zdjęć „rodzinnych” wykonana w ogrodzie, także na sankach (w Kamieńcu?). Potem zbiorówki nad wodą, na łódce; panie w strojach kąpielowych. Postacie przy samochodzie stojącym przed szlabanem przegradzającym drogę (granica państwa pod Zbąszyniem?). Następne scenki rodzajowe: portrety rodzinne, grupka na spacerze, na łódce, przy stole na dworze. Dwie panie w kajaku (czy to była własność Antoniny?). Mecz siatkówki z udziałem pań i panów. Znowu spacer rodzinny. Parę luźnych fotek, niewklejonych. Duża zbiorówka nauczycieli (?) pod Ostrą Bramą w Wilnie; centralnie – Woźna (czerwiec 1935). Też zbiorówka, Góra Zamkowa w Wilnie (czerwiec 1935). Podpis na odwrocie: Zwiedzanie zakładów chemicznych w Luboniu. Maj 1930. Tę fotkę rozpoznała moja mama i orzekła, iż „w samym środku, z wyłożonym białym kołnierzem, stoi Enia, siostra Antochy”. Cenne wydaje się małe zdjęcie (opisane przeze mnie) „A. Woźna nad Bugiem”, czyli z okresu wojennego wygnania. Pora zamknąć album.

Szkoła Podstawowa w Przyprostyni od 2003 roku nosi imię Antoniny Woźnej, zasłużonej nauczycielki i działaczki społecznej Ziemi Zbąszyńskiej. Co roku obchodzony jest Dzień Patronki Szkoły, na który zapraszani są członkowie „Wesela Przyprostyńskiego”, emerytowani nauczyciele, członkowie młodzieżowego zespołu „Przyprostyńskie Koziołki”, rodzice i dziadkowie. W uznaniu zasług A. Woźna została uhonorowana odznaczeniami państwowymi, a wśród nich Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, dwukrotnie Srebrnym Krzyżem Zasługi (raz przed II wojną), Orderem Wdzięczności Społecznej, Złotym Medalem „Za zasługi dla po-

żarnictwa” oraz Honorową Odznaką „Za Zasługi w Rozwoju województwa zielonogórskiego”. W dowód pamięci społeczeństwa Przyprostyni i Kamieńca ufundowały jej 9 lipca 2000 r. nowy pomnik nagrobny, o czym już była mowa. Bez Antoniny Woźnej życie kulturalne, w tym muzyczne okolic Zbąszynia wyglądałoby zdecydowanie inaczej...

 **Eugeniush Kurzawa**

PS Uważnych czytelników, którzy dostrzegą jakiejkolwiek niedociągnięcia w prezentacji faktów z życiorysu A. Woźnej, proszę o uwagi i kontakt: ogrodsztuk@wp.pl

Apel

Wszystkich, którzy chcieliby wzbogacić portret Antoniny Woźnej o własne refleksje, wspomnienia, być może mają nieznane zdjęcia (do wypożyczenia), **serdecznie zapraszam do ich zapisania i przekazania na mój adres mailowy: ogrodsztuk@wp.pl**. Jest szansa, że cały ten obszerny materiał zostanie wydany przez Region Kozła w postaci ilustrowanej książki. Na teksty o A. Woźnej czekam do końca maja 2024 r.

E.K.

Eugeniush Kurzawa, rocznik 1954, pisarz, dziennikarz, edytor, animator kultury. Autor ponad 25 książek autorskich i map oraz 40 opracowań i prac redakcyjnych.

Bibliografia druków zwartych i publikacji prasowych dotycząca Antoniny Woźnej

1. „Program [otwarcia Muzeum Ziemi Zbąszyńskiej] Zbąszyń 18 VII 1965”. Zbąszyń: Wielkopolskie Towarzystwo Kulturalne Oddział Powiatowy w Nowym Tomyślu 1965, 20 s., il.
W treści: Woźna Antonina: Folklor regionu zbąszyńskiego, Andrzejak Marian: Najważniejsze daty z historii Zbąszynia.
2. Dachówna, Regina, „Pani nauczycielka”. „Gazeta Lubuska” 1978, nr 109, s. 4, il. Antonina Woźna, kier. Zespołu Pieśni i Tańca Wesele Przyprostyńskie w Przyprostyni, gm. Zbąszyń.
3. „Wesele przyprostyńskie. Widowisko zespołu regionalnego z Przyprostyni k. Zbąszynia” [oprac. Antonina Woźna; opis tańców oraz nuty Alfons Kowalski]. Zielona Góra: Lubuskie Towarzystwo Kultury, Wojewódzki Dom Kultury, 1984. 139 s., nuty; 20 cm.
Z treści: Woźna A.: Z przeszłości widowiska regionalnego Wesele Przyprostyńskie; Woźna A.: Strój ludowy okolic Zbąszynia.
4. „Mieszkancka Zbąszynia [Antonina Woźna] laureatką Orderu Wdzięczności Społecznej”. „Gazeta Lubuska” 1988, nr 118, s. 2.
5. Kulas, Kazimierz. „Order Wdzięczności Społecznej dla zasłużonej nauczycielki”. „Oświata i Wychowanie” 1988, nr 41, s. 36.
Antonina Woźna, nauczycielka i działaczka społeczna ze Zbąszynia.
6. Pieńkowski, Antoni, „Pół wieku dla innych: laureat i jego środowisko”. „Zielony Sztandar” (Wyd. 7) 1988, nr 32, s. 5, il.
Antonina Woźna, emerytowana nauczycielka ze Zbąszynia, założycielka zespołu ludowego Wesele Przyprostyńskie, laureatką Orderu Wdzięczności Społecznej.
7. Kubicki, Marian, „Pamięć o Mamie”. „Zbąszynianin” 2000 nr 8, s.8.
8. Kurzawa, Eugeniusz, „Antonina obojga gmin”. „Gazeta Lubuska” 2000, nr 42, s. 28.
Antonina Woźna – z Kamieńca i Przyprostyni (Zbąszynia). Zapuszczony grób. Zapomniana postać?
9. Łakoma, Babrara, „Wesele Przyprostyńskie Antoniny Woźnej” [katalog wystawy]. Muzeum Etnograficzne w Zielonej Gorze z siedzibą w Ochli [2002].
10. „Spadek po nauczycielce” (kid) [Danuta Piekarska]. „Gazeta Lubuska” 2002, nr 120, dod. „Weekend”, s. 22.
Wystawa dorobku Antoniny Woźnej, współtwórczyni zespołu Wesele Przyprostyńskie w Muzeum Etnograficznym w Ochli, gm. Zielona Góra.
11. Kurzawa, Eugeniusz, „Pamięć serca”. „Gazeta Lubuska” 2000, nr 164, s. 16.
Antonina Woźna ze Zbąszynia, odnowienie grobu w Kamieńcu z udziałem społeczności Zbąszynia i Kamieńca.

12. Woźna, Antonina, „Ze wspomnień”. „Duda i Kozieł” 2002, nr 6, s. 77.
Przedruk wspomnień [z:] „Wesele Przyprostyńskie...” Zielona Góra 1984.
13. Kurzawa, Eugeniusz, „Szkolna patronka”. „Gazeta Lubuska” (Wyd. C) 2003, nr 215, s. 8.
Antonina Woźna patronką szkoły w Przyprostyni; kiedyś w niej uczyła.
14. „Portrety Regionu”. Teksty: Jaskulski Janusz, oprac. graf.: Fundacja „Tres”. Patronat: Stowarzyszenie Muzyków Ludowych w Zbąszyniu. Wydawca: Stowarzyszenie LGD Regionu Kozła 2014, nr 5, 14 s., il.
Zawartość: W 200. rocznicę urodzin wielkiego etnografa i folklorysty; Kolbergowie Regionu Kozła; Antonina Woźna; Antoni Janiszewski; Kazimierz Olejniczak; Franciszek Zierke.
15. zspprzypr, „Pamiętają o Antoninie”. „Podkociołek” 2016, nr 3, s. 13.
Obchody Dnia Patronki w szkole w Przyprostyni.
16. „Film o Antoninie Woźnej”; MIK. „Nasz Dzień po Dniu” 2017, nr 38, s. 10. portr.
17. Rożek, Magdalena, „Film o Antoninie Woźnej”. „Zbąszynianin” 2017, nr 25, s. 17. portr.
18. Rożek, Magdalena, „Film o Antoninie Woźnej”. „Panorama Wielkopolskiej Kultury” 2017, nr 5, s. 28, il.
Antonina Woźna, propagatorka kultury ludowej i założycielka zespołu folklorystycznego Wesele Przyprostyńskie w Przyprostyni.
19. Rożek, Magdalena, „Antonina Woźna w filmie”. „Podkociołek” 2017, nr 5, s. 11.
Krótkometrażowy filmu o regionalnej badaczce kultury ludowej, pt. „W głębi duszy coś nam gra – filmowa historia o Antoninie Woźnej” autorstwa młodzieży z Liceum Garczyńskiego w Zbąszyniu.
20. „Portrety Regionu Kozła”. Red. Jaskulski Janusz, oprac. graf. Fundacja „Tres” Olejniczak Wojciech. Wydawca: Stowarzyszenie LGD Regionu Kozła 2018, 64 s., il.
Zawartość: Śliwa Leonard: Muzycy Regionu Kozła: [Piotr Śliwa z Perzyn (1875-1969), Tomasz Śliwa z Perzyn, Chrośnicy (1892-1976), Tomasz Kotkowiak z Siedlca, Zbąszynka (1909-1996), Piotr Królik z Chrośnicy – klarncista (1854-1931), Franciszek Stachecki z Chrośnicy – skrzypek (1877-1966), Tomasz Hirt z Chrośnicy – koźlarz (1873-1949), Marcin Szyplowski z Chrośnicy – klarncista (1870-1932), Franciszek Hirt z Chrośnicy – koźlarz weselny (1939-2011), Marian Mazur z Chrośnicy – koźlarz (1938-1992), Leonard Śliwa z Perzyn – skrzypek i regionalista (1 XI 1951 – 29 IV 2012)]; Budowniczości instrumentów muzycznych w Regionie Kozła: [Tomasz Kotkowiak z Siedlca (1909-1996), Franciszek Hirt z Chrośnicy (1939-2011), Franciszek Domagała (ur. 1913), Czesław Prządka (1933-1990), Florian Modrzyk (1924-1996) i jego syn Marek Franciszek Modrzyk (1952-2013), Henryk Skotarczyk (ur. 1934),

Mikołaj Taberski (ur. 1996)]; Mazanki: [Jan Nepomucen Żok, Franciszek Szymański z Podmokła (ur. 1863), Walenty Brudło, Franciszek Raszke (ur. 1886), Franciszek Białecki z Podmokli, Jan Domagała (ur. 1908), Edward Rybicki (ur. 1909) Tomasz Śliwa z Chrośnicy, Stanisław Grocholski z Kołacina, Leonard Śliwa z Wolsztyna, Romuald Jędraszak z Kostrzyna – Poznań]; Kolbergowie Regionu Kozła: [Antonina Woźna (1907-1989), Antoni Janiszewski (1909-1985), Kazimierz Olejniczak (1921-2007), Franciszek Zierke (1919-2003)]; Jaskulski J.: Pasjonaci Pogranicza i Strażnicy Pamięci: [Wiesław Sauter (1905-1996), Edward Rabięga (1915-2001), Towarzystwo Miłośników Ziemi Babimojskiej, Wioletta i Mirosław Malinowscy, Jolanta i Marek Taberscy, Zbigniew Skoczylas, Donat Linkowski, „Nowe Kramsko i okolice”, Zespół Edukacyjny w Podmokłach Małych, Franciszek Sarnowski (1911-1940), Jan Budych IV, Wanda Chełkowska].

Artykuły o „Weselu Przyprostyńskim”, w których wspomina się o A. Woźnej

1. Sochacka, Irena, „40-lecie zespołu [regionalnego] z Przyprostyni”. „Nadodrże” 1978, nr 4, s. 11, il.
2. [Sochacka, Irena]: „40-lecie działalności Regionalnego Zespołu z Przyprostyni”. [Przez] I.S. Biuletyn Informacyjny Wojewódzkiego Domu Kultury w Zielonej Górze 1978, nr 14, s. 19-22.
3. Kurzawa, Marian, „Wesele przyprostyńskie trwa ponad 40 lat”. „Nadodrże” 1984, nr 14, s. 10.
4. Sobierajski, Zenon „Teksty gwarowe z zachodniej Wielkopolski”. Polska Akademia Nauk. Komitet Językoznawstwa. Wrocław [i in.]: Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1985. S. 105-122: Podmokle Wielkie koło Babimostu (woj. zielonogórskie) [Wesele w Przyprostyni].
5. Bułat-Raczyńska, Anna, „Złote wesele”. „Gazeta Lubuska” 1987, nr 171, s. 4.
Wesele Przyprostyńskie, obrzęd weselny w wykonaniu zespołu z Przyprostyni.
6. Janowski, Jan, „Minęło 60 lat: Wesele Przyprostyńskie”. „Zbąszynianin” 1997, nr 12, s. 1, 7.
Zespół regionalny z Przyprostyni, gm. Zbąszyń.
7. „Jak na wesele: podczas Biesiady Kozłarskiej [w Zbąszyniu] świętowano diamentowe gody Wesela Przyprostyńskiego [z Przyprostyni] (DR) [Danuta Rogozińska-Rzepa]. „Dzień po Dniu” (Wolsztyn) 1997, nr 47, s. 13.
8. „Zespół Regionalny Wesele Przyprostyńskie” [informator] fot. Małgorzata Nowak, Ryszard Poprawski. Zbąszyń: Urząd Gminy i Miasta Zbąszyń, 2002. [8] s.: fot.

Historia zespołu folklorystycznego w latach 1938-2002

9. „Zespół Regionalny Wesele Przyprostyńskie” [folder] fot. Małgorzata Nowak, Ryszard Poprawski. Zbąszyń 2007. Stowarzyszenie Gmin RP Region Kozła, il., tłum. niem.
Historia zespołu folklorystycznego w latach 1938-2007
10. Machura, Witold, „Zjawisko: Wesele Przyprostyńskie”. Fot. Monitor Wielkopolski. 2003, nr 3/4, s. 29.
Zespół regionalny „Wesele Przyprostyńskie” w latach 1938-2002.
11. „70-lccie Wesela Przyprostyńskiego”. Fot. „Nasz Dzień po Dniu”. 2007, nr 40. s. 8.
12. „[Siedemdziesięciopięćciolecie] 75-lecie Wesela Przyprostyńskiego”. Fot. „Powiaty-Gminy”. 2012, nr 19, s. 12.
13. „Spotkanie po latach”, oprac. Mik. Fot. „Nasz Dzień po Dniu”. 2013, nr 17, s. 18.
Zespół Regionalny Wesele Przyprostyńskie w Przyprostyni.
14. „Wesele Przyprostyńskie”. Fot. „Powiaty-Gminy”. 2013, nr 8, s. 3.

Linki Zielonogórskiej Biblioteki Cyfrowej do niektórych wymienionych publikacji oraz publikacji przedwojennych

- <https://archiwummuzeumziemizbaszynskiej.zck.org.pl/2021/02/24/pierwsze-na-wsi-polskiej-muzeum-regionalne-w-przyprostyni/> Wycinki i zdjęcia z otwarcia Muzeum w 1938 r. Wzmianka o A. Woźnej
- https://commons.wikimedia.org/wiki/File:Pomnik_Antoniny_Wo%C5%BAnej_-_Przyprostynia_-_000729c.jpg Pomnik Antoniny Woźnej – Przyprostynia – 000729c.jpg
- <https://wnet.fm/kurier/wesele-przyprostynskie-gra-emocjach-widowni-przed-wszystkim-prezentuje-utrwała-prawdziwa-historie-polski/>
- http://g.ekspert.infor.pl/p/_dane/akty_pdf/U84/2019/123/6329.pdf
- https://wregioniekozla.pl/?page_id=11 Rozdział pt. Działalność lokalnych organizacji i zespołów muzycznych oraz regionalistów (wzmianka o A.W.)
- https://zbc.uz.zgora.pl/Content/55316/8_lakoma_instrument.pdf Barbara Łakoma: Instrument ludowy kozioł polski we współczesnym społeczeństwie lubuskim
- <https://zbc.uz.zgora.pl/dlibra/publication/41339/edition/43774/content> „Gazeta Lubuska” 1987, nr 171, s. 4. „Złote wesele”, Anna Bułat-Raczyńska.
- <https://zbc.uz.zgora.pl/dlibra/publication/38071/edition/44026/content> „Gazeta Lubuska” 1988, nr 118, s. 2. „Mieszkancka Zbąszynia [Antonina Woźna] laureatką Orderu Wdzięczności Społecznej”.

- <https://zbc.uz.zgora.pl/dlibra/publication/37605/edition/31967/content> „Nadodrże” 1984, nr 14, s. 10. „Wesele przyprostyńskie trwa ponad 40 lat”, Marian Kurzawa.
- <https://zbaszyn.naszemiasto.pl/przyprostynia-obchody-dnia-patrona-szkoly-8-czerwca-2016/ar/c5-3763506>
- <https://www.wbc.poznan.pl/dlibra/show-content/publication/edition/478903?id=478903> Witold Machura „Zjawisko: Wesele Przyprostyńskie”. „Monitor Wielkopolski”. 2003, nr 3/4, s. 29.

sporządziła **Zofia Maziarz**

Dobra biblioteka w Trzcielu

Za dwa lata minie 80 rocznica powstania biblioteki w Trzcielu. Właściwie jej początki niewiele mają wspólnego z dzisiejszym pojmowaniem słowa „biblioteka”. Było to niewiele egzemplarzy zgromadzonych w jednym miejscu i przeznaczonych do wypożyczenia dla amatorów literatury. A chętnych do czytania było sporo, gdyż też była to jedna z nielicznych rozrywek w mieście jeszcze do niedawna niemieckim. Polska książka miała więc szczególną wartość.

Jaka jest data tworzenia się źródeł dzisiejszej biblioteki? Jedno ze źródeł podaje, że – „Miejska Biblioteka w Trzcielu otwarta została 1 maja w 1945 roku”. Wydaje się, że ta data może dotyczyć małych zbiorów książek znajdujących się w szkole podstawowej, bo ta placówka już w maju działała pod kierownictwem Anny Wasilewskiej, nauczycielki z Wiśniowczyka. Przyjechała do Trzciela, z swoimi uczniami i ich rodzicami, Kresowiakami, z województwa tarnopolskiego. Zapewne przywiozła ze sobą jakieś książki i podręczniki jako pomoce naukowe bezcenne w powojennej rzeczywistości.

We wspomnianym wcześniej źródle jest informacja, że pierwszym pracownikiem i założycielem biblioteki był Czesław Szulcik. Ten nauczyciel i bibliofil przyjechał do Trzciela z Wileńszczyzny i było to, według rodziny, w sierpniu 1945 roku. Od

września rozpoczął pracę pedagogiczną i od tegoż miesiąca zapewne również działania bibliotekarskie. Przywiózł bowiem z Nowej Wilejki na Kresach, ostatniego miejsca swej pracy nauczycielskiej, bogaty księgozbiór. Były to pozycje ze zbiorów własnych oraz z księgozbioru jego kolegi, inspektora szkolnego, który został aresztowany przez władze sowieckie. Książki zostały uratowane przed zniszczeniem i stały się podstawą utworzonej przez Czesława Szulcika i jego kuzyna – Franciszka Waberskiego, księgarni i wypożyczalni, czyli biblioteki. Mieściła się przy głównej ulicy miasta, a pierwszy burmistrz Trzciela po wojnie, Zygmunt Wałęza, przeznaczył na bibliotekę pomieszczenie przy ulicy Poznańskiej 24. Oprócz podstawowej funkcji, czyli wypożyczania książek czytelnikom, placówka spełniała również rolę księgarni. Pracowały w niej, jak wspomina jedna z dawnych czytelniczek, „Jadwiga, córka organisty o nazwisku Poczaj oraz córka Pawlika, tego który miał warsztat naprawy rowerów”. Całością natomiast zarządzała Jadwiga, żona Czesława Szulcika. I tak się działo do połowy roku 1947, kiedy Czesław Szulcik został przeniesiony do Brójec na stanowisko kierownika szkoły podstawowej. Książki zostały jednak w Trzcielu.

Przez następnych kilka lat różne osoby prowadziły bibliotekę i różne

były jej dzieje. Dopiero decyzja ówczesnej sekretarz gminy, pani Dudczak, okazała się przysłowiowym „strzałem w dziesiątkę”. Do pracy w bibliotece została przyjęta Józefa Sieradzka. Od 1 kwietnia 1954 roku została kierownikiem tejże placówki i pełniła tę funkcję do 1988 roku. Jest to okres rozkwitu biblioteki, jej świetnego funkcjonowania, wzbogacania księgozbioru, ułatwiania czytelnikom dostępu do dzieł literackich. Józefa Sieradzka bowiem nie tylko prowadziła bibliotekę w Trzciel, ale również otworzyła punkty biblioteczne w okolicznych wsiach. Przez wiele lat te punkty wymiany książek cieszyły się dużym zainteresowaniem, zwłaszcza kobiet, które były aktywnymi czytelniczkami w latach, gdy telewizja stanowiła na wsi jeszcze rzadkość. Punkty te odwiedzała Józefa Sieradzka raz w miesiącu. Pomagały jej w działaniu zatrudnione później współpracownice, Stanisława Borowiak oraz Dorota Świerzko. Wielokilogramowe paczki z książkami do wymiany woziły do zamiejscowych czytelników rowerami. To były lata, kiedy nikt nie liczył czasu i trudu bibliotekarek, liczyła się tylko książka.

Trzcielna biblioteka już od lat pięćdziesiątych miała swoją siedzibę na piętrze domu kultury przy ul. Poznańskiej 9. Miejsce było przytulne, panowała w nim atmosfera właściwa dla czytelników oraz wypożyczalni. Chętnych do korzystania z księżnicy było więc wielu, zwłaszcza że zapotrzebowanie na książki było duże.

Trzciel oprócz podstawówki miał dwie szkoły ponadpodstawowe, lektury miały więc z konieczności spore wzięcie. Ale nie tylko, wtedy w ogóle dużo się czytało. Biblioteka dawała możliwości wyboru, oferowała nowości wydawnicze, była dostępna dla każdego.

Z biegiem czasu księżnica stawała się zbyt ciasna i miała ograniczoną możliwość ekspozycji bogatego księgozbioru. Zaistniała potrzeba nowego, większego pomieszczenia. Józefa Sieradzka zaczęła więc wydeptywać ścieżki do ówczesnych władz lokalnych, aby je zmobilizować do budowy budynku biblioteki. Wytrwałość Józefy Sieradzkiej i zrozumienie problemu przez Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Trzciel, zaowocowały nową siedzibą biblioteki. Nie zmienił się tylko adres, ponieważ nowy budynek księżnicy łączy się z domem kultury. Był rok 1975, zaczął się nowy etap w dziejach trzcielskiej biblioteki. Duże, jasne pomieszczenia na parterze i pierwszym piętrze, z wyeksponowanymi książkami, robiły wrażenie. A z okien rozpościerał się niezwykły widok na Obrę, most, nadbrzeżne drzewa, siedzibę władz gminy. Piękne miejsce i ważny punkt dla gminnej kultury oraz spotkań wielbicieli książki. Tak jest do dzisiaj. Wtedy oprócz kierowniczki pracowała w bibliotece jeszcze Stanisława Borowiak.

W latach osiemdziesiątych kadra biblioteki zaczęła się zmieniać. W roku 1982 z pracy odeszła Sta-

niśława Borowiak, w jej miejsce została zatrudniona Dorota Świerzko. A w roku 1988 pracę bibliotekarki podjęła Wioletta Fabian. Natomiast Józefa Sieradzka w roku 1989 przeszła na emeryturę, ale tak zupełnie z biblioteką nie rozstała się, ukochane miejsce pracy odwiedzała często, wspomagała swoją wiedzą i doświadczeniem młode pracownice. Nową kierowniczką biblioteki, później dyrektorką została Dorota Świerzko. I to nie zmieniło się do teraz. Biblioteka przez lata całe rozrastała się, wzbogacała księgozbiór, rozszerzała zakres swojej działalności, stawała się miejscem obcowania z kulturą. Nadal ma swoje filie w Lutolu Suchym i w Brójcach. Pracują w nich Maria Czepulonis i Maria Harhura. Od wielu lat panie dbają o to, aby książka była jak najbliżej czytelnika.

Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy w Trzcielu ma obecnie około 42 300 woluminów, a jej chlubą jest księgozbiór literatury regionalnej. Jest on ciągle uaktualniany i uzupełniany. W zakresie tego działania biblioteka wydała cztery publikacje książkowe: „Trzciel – studia z dziejów miasta”, „Sybiracy na Ziemi Międzyrzeckiej”, zbiór wierszy poetów gminy Trzciel „Nasze różne świąty” oraz pracę Małgorzaty Gularek „Trzciel. Krajobraz kulturowy miasta i okolic od czasów najdawniejszych do połowy XVII wieku”. Pracownice biblioteki poprzez Młodzieżowy Dyskusyjny Klub Książki i bezpośrednie kontakty z czytelnikami odkryły wiele ta-

lentów literackich. Pomagały w ich rozwijaniu, organizowały spotkania z czytelnikami, udzielały wszelkich fachowych porad.

Biblioteka w Trzcielu to miejsce wyjątkowe, odbywają się w niej niezwykle spotkania: z dziennikarzami, pisarzami, podróżnikami, historykami, regionalistami, a nawet z muzykami i piosenkarzami. Są to interesujące wizyty ciekawych ludzi w otoczeniu książek, w przyjemnej, niezwyklej atmosferze. Cieszą się one powodzeniem nie tylko wśród czytelników. W Trzcielu gościli Katarzyna Enerlich, Jerzy Struk, Leszek Szczasny, Magdalena Ludwiczak, Marceli Tureczek, Zofia Mąkosza. A ostatnio, z okazji Święta Niepodległości, bard z Warszawy, Jakub Michalski, uświetnił spotkanie poezją śpiewaną. Spotkania dla dzieci i młodzieży również cieszą się powodzeniem. Młodzi odbiorcy mieli okazję spotkać między innymi Marcina Pałasza, Małgorzatę Żółtaszek, Mariusza Kurca, Wiesława Drabika, Ewę Nowak.

Biblioteka ma bogaty repertuar atrakcji dla mieszkańców Trzciela, zwłaszcza tych czytających. Są to warsztaty rękodzieła artystycznego dla dorosłych, przeróżne konkursy dla dzieci, zajęcia plenerowe dla uczniów oraz przedstawienia teatralne. W trzcielskiej bibliotece wiele się dzieje, tętni ona życiem, pachnie książkami, raduje życzliwością pań bibliotekarek. Aktywna działalność księżnicy została doceniona. Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Trz-

ciel zajęła 57 miejsce w rankingu bibliotek w Rzeczypospolitej Polskiej w roku 2015 i było to jednocześnie 2 miejsce w woj. lubuskim. W roku następnym, czyli w 2016, księżnica została już najlepszą w województwie. Jest to zasłużony sukces Doroty Świerzko i Wioletty Fabian oraz czytelników, utożsamiających się ze słowami Stanisława Lema, który powiedział: „Książki – to okno na świat, to promień słońca, który rozświeca

ciemne noce, to najlepszy doradca we wszystkich sprawach”.

Na koniec 2022 roku korzystało z trzcielskiej biblioteki 1476 czytelników. Obecnie jest ona w trakcie komputeryzacji księgozbioru i można już korzystać z danych wprowadzonych w programie SOWA dzięki katalogowi on-line, który znajduje się na stronie internetowej Urzędu Miejskiego.

 **Jadwiga Szylar**

Jadwiga Szylar, emerytowana nauczycielka, dziennikarka prasy lokalnej, podróżniczka, działaczka społeczna związana z Trzcielem od 1972 r., obecnie szefowa Stowarzyszenia Trzcielskich Seniorów. Ostatnia jej publikacja w „Szkicach” (nr 1/2023) pt. „Aktywny trzcielski Dyskusyjny Klub Książki”

Jak to z kwiatami w Kargowej było...

Kargowa od kilku lat nazywana jest miastem kwiatów. W związku z tym od wiosny do jesieni na wszystkich miejskich klombach, wzdłuż głównej ulicy i w donicach dekorujących boczne uliczki sadzone są ogromne ilości kwiatów.

Ozdabianie przestrzeni miejskiej w Kargowej ma jednak odległe korzenie. Gdy majątek Unrugów został sprzedany przez bank w 1850 r. Augustowi Rothe (dawnemu zarządcy



Anna Richter i Marianna Reimann
Archiwum rodzinne Brygidy Wróblewskiej

w majątku Sułkowskich w Rydzynie), jego żona, a później córka, niestrudzenie dbały o park i ogród wokół pałacu. Córka nowego właściciela, Anna Rothe-Richter, przyczyniła się do ukwiecenia parku. Dzięki niej do dziś każdej wiosny na trawnikach pojawiają się ogromne ilości błękitnych kwiatków (cebulic syberyjskich), które sadiła wraz z ogrodnikiem. Przez kilka tygodni tworzą niezwykle biało-niebieskie kobierce. Związana jest z tym zdarzeniem ciekawa historia. Pani Anna poprosiła męża o możliwość zakupu cebulek kwiatowych. Ten był niezadowolony ze zbyt drogiej fanaberii, zgodził się na 100 cebulek. Jednak żona, która bardzo kochała kwiaty, w tajemnicy przed mężem zamówiła 1000 sztuk. Całą sprawę wytłumaczyła w ten sposób, że pomyliły jej się zera.

Cebulice po pewnym czasie pojawiły się na grobach na cmentarzu ewangelickim znajdującym się niedaleko pałacu, dziś nieczynnym, a później w przydomowych ogródkach. Obecnie tak bardzo się rozmnożyły, że można je zauważyć prawie wszędzie, nawet przy kościele parafialnym przy ulicy Kościelnej.

Właścicielki również wokół pałacu zadbały o kolorowe rabaty, szczególnie chętnie sadiły róże, a przed głównym wejściem pojawiły się dwie

piękne magnolie. Park otoczony wysokim murem nie pozwalał do niego zaglądać osobom postronnym, ale mieszkańcy Kargowej mogli podziwiać te kompozycje w niedzielne popołudnia podczas spacerów, kiedy właściciele otwierali bramy parku dla okolicznej ludności. Na obrzeżach parku jest wysoka górka, nikt nie wie, kiedy i w jakim celu ją usypano, najstarsza córka ostatnich właścicieli lubiła z tego wzniesienia obserwować życie poza murem.

W parku pani Richter posadziła piękną aleję grabową, prowadzącą do pałacu. Wszystkie drzewa mają gałęzie pochylone w stronę ścieżki, two-



Kobieta na schodach pałacu

Zbiory mediateki w Kargowej

rzą tajemniczy, prawie magiczny tunel. Nie jest to ich naturalny sposób wzrostu. Aby uzyskać taki efekt, właścicielka wraz z ogrodnikiem wieszała na młodych gałęziach worki z piaskiem, formując w ten sposób koronę drzew. Włożyła mnóstwo pracy w to, aby ich majątek był piękny. Skorzystała na tym Kargowa, która zyskała dzięki temu zabiegowi wiele uroku. Pani Richter pragnęła obsadzić drzewami różne zakątki majątku. Aby zrealizować swój plan, potrzebowała konia i wozu do przewożenia sadzonek w różne miejsca. Nie wolno jej było korzystać ze zwierząt z ich gospodarstwa, chociaż mąż posiadał aż 40 koni do pracy na polach. Była bardzo pomysłową kobietą i w ciekawy sposób rozwiązała ten problem. Kupiła konia do spółki z pewnym gospodarzem, panem Kofnitem, którego obejście znajdowało się przy ulicy Babimojskiej. Ona poniosła połowę kosztów, drugą połowę ów gospodarz. Dlatego zawsze żartowała, że nie wie, czy jej własnością jest koń od strony głowy, czy od ogona. Wspólnie używali go do pracy, rolnik na polu, a pani Anna do sadzenia drzew i przejażdżek. Dzięki temu powstało kilka alei: kasztanowa (dziś pozostał tylko jej fragment, wzdłuż parku na północ), lipowa (od pałacu na wschód), dwie wiśniowe, które już nie istnieją (jedna z nich prowadziła do Wojnowa, dziś to polna droga na zachód od Kargowej na początku ścieżki rowerowej prowadzącej do Babimostu). Posadzona została jesz-

cze jedna aleja: dębowa. Znajduje się w lesie koło Karszyna.

Mimo że była właścicielką majątku, sama bardzo dużo pracowała. Z tym wiąże się też pewna historia dotycząca ożenku jej syna, Georga. Matka synowej, która pochodziła z Berlina, cieszyła się z wyjątkowego mariażu córki. Sądziła, że bierze ślub z kimś bogatym, gdyż kargowscy dziedzice nic nie robią, tylko się bawią i odpoczywają. Wtedy dowiedziała się, że gospodyni wstaje o świcie i ciężko pracuje. Pani Richter wyjątkowo dbała o otoczenie pałacu, natomiast mniej o wygodę w jego wnętrzu. Elektryczność zainstalowa-

no w nim dopiero na prośbę synowej, pani Ingeborg, przyzwyczajonej do tego zbytku w Berlinie.

Pani Anna czuwała również nad pracą w ogrodzie warzywnym i w oranżerii obok parku, w której hodowano kwiaty do zdobienia wnętrz pałacowych oraz przechowywano w czasie zimy rośliny doniczkowe. Chętnie rozmawiała z pracownikami. Jedną z nich, Marianna Reimann, obchodziła urodziny w tym samym dniu co właścicielka majątku, więc co roku prześcigały się, która pierwsza złoży życzenia drugiej. Zwykle pierwsza z życzeniami była pani Richter.



Dzieci na schodach pałacu



Unruhstadt

27 Verlag Rudolf Piltz, Unruhstadt.

Partie in der Lindenallee.

Aleja lipowa w kargowskim parku pałacowym



Dzięki niezwykłym kobietom, kolejnym właścicielkom kargowskiego majątku, zakorzeniła się w Kargowej, niewielkim miasteczku, dbałość o estetykę i upiększanie otoczenia nie tylko ogródków, ale również całego miasta. Najmłodsze pokolenie z rodziny Richterów wychowane w Kargowej do dziś pamięta o swo-

im miejscu urodzenia. Pani Katarina Humborg ufundowała sadzonki winorośli, które od roku rosną na kargowskim Rynku.

Opisane fakty pochodzą z prywatnych rozmów z Katariną Humborg z domu Richter.

 **Danuta Wróblewska**

Danuta Wróblewska jest absolwentką filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze (1989), ukończyła też studia podyplomowe z historii. Nauczycielka w Szkole Podstawowej w Kargowej. Poprzednia publikacja w „Szkiecach” (nr 1/2022) to „Rok Wybickiego – szansa Kargowej”.

Rodzina fotografa Constantego Sikorskiego

W kamienicy należącej przed II wojną światową do zbąszyńskiego fotografa Konstantego Sikorskiego (jako Niemiec pisał się Constanty; pozostałe imiona członków jego rodziny też zostały w tej publikacji spolszczone) po okupacji hitlerowskiej znaleziono duże ilości szklanych negatywów. Od razu zaopiekował się nimi znany miejscowy fotograf Kazimierz Olejniczak, a po nim przejął je syn, Wojciech Olejniczak, mieszkający później w Poznaniu, obecnie znów stały obywatel Zbąszynia. Założył on fundację „Tres”, która m.in. zajmuje się opracowywaniem negatywów pochodzących z zakładu Konstantego Sikorskiego. Fundacja posiada wprawdzie pewne informacje o fotografie Sikorskim, są to jednak – sądząc na podstawie materiałów udostępnionych do tej pory – wiadomości dość skąpe. Postanowiłem poszukać ich więcej. I oto co udało się ustalić.

Sikorscy w Zbąszyniu

Nazwisko Sikorski, z rodziny o którą nam tutaj chodzi, pojawiło się w Zbąszyniu na początku XIX wieku. Nosili je dziadkowie późniejszego fotografa Konstantego. Ujawniają się oni jako: on – podoficer 10 Kompanii Inwalidów stacjonującej w Zbąszyniu – Jan Sikorski i jego żona – Ma-

rianna Knappe. W 1822 roku urodził się im syn Karol, a 8 maja 1825 roku Jan. Ojciec obu był katolikiem, zmarł w 1849 roku, matka zmarła w roku 1870. Rodzice wprawdzie nie byli właścicielami żadnej posiadłości, ale żołd wojskowy ojca wystarczył, by posłać obu synów na naukę krawiectwa. Obaj się wyuczyli zawodu, za jakiś czas zostali mistrzami krawieckimi. Karol ożenił się w 1847 roku z Katarzyną Müller w Babimoście i tam był krawcem. Jego brat Jan ożenił się 7 kwietnia 1856 roku w Zbąszyniu z Marią Matyldą Rohrberg, katoliczką. Jej rodzice, czyli ojciec Jan Rohrberg, podoficer znanej nam już 10 Kompanii Inwalidów, i jego druga żona, Józefa Grybska, mieli dom na obecnej ulicy Żydowskiej.

Krawiec i obywatel Jan Sikorski wraz z żoną w 1859 roku kupili nieruchomość przy ulicy Międzyrzeczkiej 9 (obecnie Senatorskiej), za 500 talarów. Posiadłość składała się z parterowego drewnianego domu, chlewika, podwórza i ogrodu. Wcześniej należała do wdowy Antoniny z domu Biernackiej i jej zmarłego męża Szymona Lehmana.

Warto tu wtrącić ciekawą dygresję dotyczącą spraw własnościowych tej nieruchomości istniejącej przecież w samym centrum miasta. Otóż posiadłość ta przed rokiem 1800 na-

leżała do Józefa Webera i jego żony Marianny z domu Niedbał; on był zegarmistrzem i obywatelem miasta. Zmarł w 1794 roku, a w wyniku spraw spadkowych przeprowadzonych w roku 1800 posesja przypadła jego synowi, mieszczaninowi Franciszkowi Weberowi, który spłacił rodzeństwo sumą 45 talarów. F. Weber w 1810 r. za 80 talarów sprzedał posiadłość innemu mieszczaninowi zbąszyńskiemu – Janowi Herklotzowi. Na hipotecę wówczas ciążył dług 20 talarów, którą to sumę w 1805 r. właściciel otrzymał w formie pożyczki z miejskiego Depozytu Pupilarnego Podprefektury powiatu babimojskiego. Depozyt złożył chłop pańszczyź-

niany Stanisław Tobis z Nądni, jako majątek macierzyński dla swych nieletnich dzieci po zmarłej w 1795 roku żonie Zofii Tobis. Niedługo potem, bo w 1816 roku, J. Herklotz sprzedał posesję przy ul. Międzyrzeckiej 9 Antoniemu Biernackiemu za 200 talarów. Tenże w 1844 roku przekazał swą własność (wartą wówczas już 645 talarów) córce Antoninie i jej mężowi Szymonowi Lehmanowi. Jak napisałem wyżej, w 1859 roku kupił ją krawiec Jan Sikorski z żoną, sprzedaje zaś wdowa Antonina Lehman.

Można jako ciekawostkę jeszcze dodać, że J. Sikorski wchodził w skład Dozoru Szkolnego szkoły katolickiej w Zbąszyniu.



Na pierwszym planie stary dom Sikorskich, dawno już nie istnieje. Rozebrany po II wojnie, prawdopodobnie w czasie wyzwolenia Zbąszynia w 1945 r. został „rozstrzelany” przez artylerię radziecką. Za nim nowy gmach, stojący do dziś, przez lata była w nim księgarnia.

Bracia fotografowie

Małżeństwu Janowi i Matyldzie Sikorskim urodziły się następujące dzieci: w 1858 r. Anna, która wyszła za Rusinowskiego ze Zbąszynia, w 1914 r. mieszkali w Berlinie; w 1860 r. Jadwiga Rozalia, która wyszła za Rumpscha i małżeństwo zamieszkało w Berlinie; w 1865 r. Alojzy (Alois), ożeniony z Anną Appelt ze Zbąszynia, zmarły w 1908 r. w Poznaniu; w 1868 r. Marta, której mężem został Steike, a w 1914 r. ta rodzina zamieszkała w Berlinie; w 1872 r. Antoni, ożenił się z Teklą Paprzycką z Chodzieży i zamieszkali w 1914 r. w Pile; w 1876 r. Konstanty, który ożenił się z Katarzyną Riesenköniq i zamieszkał w Zbąszyniu.

Jan Sikorski w 1890 roku zburzył stary dom i wybudował nowy, też parterowy, ale murowany. Nas będą interesować bracia Alojzy i Konstanty, gdyż obaj wyuczili się fachu fotografa. Zaczniemy od starszego, Alojzego. Jego dziadek i ojciec byli Niemcami wyznania katolickiego. Alojzy zmienił religię i ożenił się w 1891 roku z Anną Appelt – ewangeliczką, córką młynarza Wilhelma Appelta ze Zbąszynia, mającego dom na ulicy Wolsztyńskiej (obecnie Powstańców Wielkopolskich) i posiadającego wiatrak. W 1892 roku wyprowadzili się ze Zbąszynia i zamieszkali na przedmieściu Poznania, w Bartholdshof, należącym do gminy Górczyn. Tam urodziła im się w 1893 r. córka Erna. Mieszkali w tym miejscu do początku 1896 roku, po czym przeprowadzili się na inne przedmieście

Poznania, Jeżyce, na ulicę Jadwigi 30. Tam urodzili się synowie: w 1898 r. Gerhard i rok później Johann. Ostatni syn, Fritz, urodził się w 1908 roku w Poznaniu, bo w międzyczasie wcześniej wymienione przedmieścia zostały już włączone do Poznania.

Alojzy Sikorski, zamieszkując w Bartheldshof, otworzył tam zakład fotograficzny, na co wskazują zachowane kartoniki pod fotografie z tym adresem. Po przeprowadzce na Jeżyce przeniósł tam zakład. W 1907 roku przeniósł zakład na ulicę Bukowską 21, a rok później rodzina zamieszkała na ulicy Cesarza Wilhelma 18. Alojzy Sikorski zmarł 30 grudnia 1908 roku.

Chociaż z zachowanych tekturek pod fotografie wiemy, że A. Sikorski miał też zakład fotograficzny w Zbąszyniu, nigdzie nie natrafiłem na wzmiankę o nim. Najprawdopodobniej otworzył go w domu rodzinnym na początku swej działalności. Wdowa Anna Sikorska mieszkała i prowadziła zakład fotograficzny na ulicy Bukowskiej do 1917 roku. W księdze adresowej Poznania z 1917 roku zapisano, że Anna Sikorska mieszka i prowadzi zakład na ulicy Jadwigi 28. Jest to ostatnia wiadomość o atelier fotograficznym Sikorskich z Poznania, gdyż brak dalszych ksiąg adresowych do 1923 roku. Z kartoteki meldunkowej Poznania natomiast wiemy, że syn Gerhard we wrześniu, a syn Johann w styczniu 1919 roku powrócili z wojny do domu. Johann już w maju wyjechał do Wrocławia, a wdowa A. Sikorska z pozostałymi dziećmi zmie-

niła mieszkanie (ale pozostała pod tym samym adresem), wynajmując je od Schmidtów. 15 września 1920 roku rodzina wyprowadziła się do Szczecina. W 1941 roku Erna Hirte z domu Sikorska mieszkała w Szczecinie, Gerhard Sikorski był fotografem i mieszkał w Pyrzycach, a Johann (pisany Hans Sikorski) oraz Fritz Sikorski mieszkali w Berlinie.

Dla pełnego obrazu trzeba dodać jeszcze informacje o interesach prowadzonych przez małżeństwo Alojzego i Annę Sikorskich w Zbąszyniu. Otóż w 1894 roku kupili od wdowy Emilii z domu Fischer nieruchomości zabudowaną przy ulicy Grodzkiej (obecnie Polnej), składającą się

z trzech działek o obszarze 1,82 ha za 9000 marek. Już rok później sprzedali kupcowi ze Zbąszynia, Robertowi Krauze, działki rolne mające 1,38 ha za 1800 marek. Działkę z domem sprzedali w 1896 roku ślusarzowi ze Zbąszynia Rudolfowi Franzowi za 9300 marek. W 1896 roku kupili na ulicy Wolsztyńskiej niezabudowaną działkę o wielkości 0,44 ha. W 1897 r. wybudowali na niej dom i chlew i w 1901 r. sprzedali całość Augustowi Schmergalowi za 9700 marek. W 1898 r. kupili od Kwaśnika w Rajewie, przy ulicy Dworcowej (obecnie ul. 17 Stycznia 1920 roku), działkę 0,06 ha. Rok później wybudowali na niej dom oraz chlew z ustępem. Naj-



Rodzina Sikorskich. Trzeci od lewej (stoi) – nasz bohater – Constanty Sikorski. Na pierwszym planie rodzice: Jan i Matylda Sikorscy.

ciekawszy jest zapis adresu tej budowy. Urzędnik niemiecki w księdze podatkowej napisał „Neues Gefeff” (prawidłowo winno być Geschäft), co znaczy „Nowy zakład”. Nie wiadomo, o co tu chodzi. Hipoteka tej nieruchomości została przez pożyczki obciążona na kwotę 8000 marek. Wdowa Anna Sikorska w 1910 roku sprzedała nieruchomość rolnikowi z Jastrzębska Starego Ferdynandowi Müllerowi za 14000 marek. Na hipotece tej nieruchomości był też zapisany spadek po zmarłym mężu dla niej i dzieci w wysokości 5900 marek. Długi te nowy właściciel spłacił do 1931 roku, a przy transakcji Anna Sikorska dostała na rękę pozostałe 100 marek.

Młodszy z braci, Konstanty, ożenił się 4 maja 1903 roku ze wspomnianą już Katarzyną Riesenköning, dwa lata starszą od siebie katoliczką mieszkającą w Rheinbach, w Nadrenii Północnej Westfalii. Była córką fotografa Johanna Riesenköninga i Anny z domu Huthmacher.

Tekturka pod fotografię Johanna Riesenköninga

Konstanty Sikorski ożenił się zatem z córką fotografa i u niej jakiś czas mieszkał, zanim oboje po śmierci jego ojca przyjechali do Zbąszynia. Nasuwa się myśl, że najpierw starszy brat, a później młodszy uczyli się fachu fotografa u późniejszego teścia Konstantego Sikorskiego. Przypuszczenie takie wydaje się więcej niż prawdopodobne.

31 maja 1905 roku w Zbąszyniu zmarł krawiec Jan Sikorski. Rok

przed śmiercią małżonkowie Sikorscy zapisali swoją nieruchomość z domem przy ulicy Międzyrzeczkiej 9, wartą 9000 marek, synowi Konstantemu, za dożywocie dla siebie, płatne w ratach, w wysokości 7500 marek. Na nieruchomości ciążył dług 1500 marek dla Miejskiej Kasy Oszczędności w Zbąszyniu.

Katarzynie i Konstantemu Sikorskim urodziły się dzieci: 2 maja 1904 r. Maria Anna Matylda, która wyszła za kupca Alfonsa Marcińca z Nowego Tomysła; 26 stycznia 1906 r. Antoni Jan; w 1907 r. Jan Konstanty (zmarł w 1919 r.); 13 marca 1909 r. Józef; 22 lutego 1911 r. Małgorzata Tekla, ślub w 1939 r. w Gostyniu i ślub w 1943 r. w Lesznie (zmarła w 1944 r. w Lesznie); 26 stycznia 1913 r. Katarzyna, ślub w 1941 r. w Lesznie z Wilhelmem Schmidtem; 12 grudnia 1914 r. Marta. Po przejściu po rodzicach nieruchomości przy ulicy Wilhelma (obecna Senatorska, wcześniej Międzyrzeczka), Konstanty Sikorski w 1907 roku dobudowuje do parterowego domu atelier fotograficzne, a do chlewika ustęp.

Pocztówka z domem Sikorskich

W 1910 roku Konstanty dzieli swą nieruchomość na dwie działki. Jedna to 0,033 ha z parterowym domem z atelier fotograficznym, druga powstała z ogrodu i miała 0,04 ha. W roku tym fotograf pożyczył z Miejskiej Kasy Oszczędności w Zbąszyniu 20000 marek oraz 12000 marek od

osób prywatnych. Za te kwoty w tym-
 że roku wybudował na działce z ogro-
 dem kamienicę stojącą do dzisiaj. Na
 zdjęciu z kamienicy, w której mieściły
 się różne sklepy, bije dostatek. Jednak
 inaczej to wygląda, gdy się przegląda
 księgi gruntowe tych nieruchomości.
 W 1919 roku Konstanty Sikorski spła-
 cił 12000 marek pożyczonych na bu-
 dowę kamienicy od osób prywatnych.
 Pieniądze pożyczone w Miejskiej Ka-
 sie Oszczędności nie zostały spłacone.
 Na sumę tę (20000 marek) oraz na
 1500 marek także dla Kasy, ciężące
 na hipotece domu parterowego sto-
 jącego obok, udało się K. Sikorskie-
 mu znaleźć wierzycieli w 1920 roku
 w osobach Alojzego Ratajczaka i jego

żony Krystyny z domu Riesenkönig
 z Kolonii w Niemczech. Czyżby była
 to zamożna siostra żony K. Sikorskie-
 go, która z mężem zgodziła się odku-
 pić dług szwagra? Zapłacili oni Kasie
 Miejskiej te sumy, a sami zostali zapi-
 sani w księdze gruntowej nierucho-
 mości jako wierzyciele tego długu. Na
 hipotekę tę w 1929 roku zapisano też
 dług gruntowy 4000 zł dla Komunal-
 nej Kasy Oszczędności w Zbąszyniu.
 W 1937 roku K. Sikorski pożyczył od
 urzędnika banku w Nowym Tomysłu,
 Krügera, 6000 zł w złocie do zapłaty
 z odsetkami do października 1940
 roku. Suma została zapisana na hi-
 potece nieruchomości. W 1938 roku
 Urząd Skarbowy w Nowym Tomysłu



*Widok na okazały nowy dom Sikorskich z okolic Zaułka Tkackiego lub placu Wolności.
 Woda na zdjęciu to z pewnością wiosenne rozlewiska Obry.*

mocą uzyskanego wyroku sądowego spowodował zapisanie na hipotece nieruchomości kwoty 2000 zł długu za niezapłacone podatki, gruntowy i obrotowy. Na hipotece sąsiedniej nieruchomości z domem parterowym ciążył dług 7500 marek, którą to sumę syn zobowiązał się zapłacić swym rodzicom, oraz 3000 marek pożyczki zaciągniętej od małżonków Vierhut. Wszystko to świadczy, że Konstanty Sikorski miał poważne kłopoty finansowe, po prostu nie był w stanie spłacać swych zobowiązań.

Pocztówka z kamienicą

W 1914 roku, prawdopodobnie mieszkając u jednej ze swoich córek w Berlinie, zmarła matka fotografa Matylda Sikorska. Przed 1929 rokiem (także nie w Zbąszyniu) zmarła żona Konstantego Sikorskiego, Katarzyna. Ponieważ kilkoro dzieci było jeszcze małych, jak często w takich przypadkach się zdarzało, wdowiec żenił się powtórnie. 20 lutego 1929 roku Konstanty wziął sobie za żonę Martę Janelt, pannę wyznania katolickiego urodzoną w Małej Lipce w powiecie nowotomyskim, dwadzieścia lat młodszą od siebie. 19 marca 1931 roku urodziła się im córka Agata, a 12 lutego 1932 roku syn Konstanty. Ojciec Konstanty, jak sam stwierdza w jednym z pism do Sądu Grodzkiego w Zbąszyniu, jest obywatelem polskim narodowości niemieckiej, nieposługującym się językiem polskim.

Dalsze losy K. Sikorskiego są nieznane. Według wiadomości, ale nie

z pierwszej ręki, prawdopodobnie w 1945 roku Rosjanie aresztowali go w Zbąszyniu i wywieźli na wschód, a w czasie jazdy zmarł w wagonie z zimna. Znając losy kilku Niemców i Polaków, którzy podpisali w czasie okupacji niemiecką listę narodowościową i pozostali w Zbąszyniu po wojnie, taki los mógł go spotkać. Że później się nie odnalazł, świadczy zapis urzędnika USC w Rheinbach (Niemcy) na akcie małżeństwa Konstantego Sikorskiego i Katarzyny Riesenköning z 1903 roku. Notatka została wpisana w 1963 roku i mówi o przeprowadzeniu rok wcześniej postępowania sądowego, w wyniku którego uznano go za zaginionego 31 grudnia 1945 roku.

Córka Sikorskiego z drugiego małżeństwa, Agata, mieszkała w rodzinnym domu przez okupację i jeszcze później. Luźna kartka w aktach gruntowych budynku wskazuje, że w 1945 roku zainteresowany wydzierżawieniem gmachu był dentysta Edmund Bąkowski. W czasach PRL kamienicę potraktowano jednak jako mienie ponemieckie i dlatego przeszła na rzecz Skarbu Państwa. W latach 60. XX wieku Agata Sikorska mieszkała w mieszkaniu przy ulicy gen. Świerczewskiego 41/3 (obecnie Senatorska). 30 października 1954 roku wyszła za mieszkającego w Strzyżewie ewangelika Helmuta Eichorsta. Urodziły się im dzieci: w 1955 r. Urszula i w 1957 r. Eryka. Cała rodzina 15 listopada 1971 roku wyjechała do Niemieckiej Republiki Federalnej.

Po drugiej wojnie

Ciekawostką jest, że w kamienicy fotografa sprzed II wojny światowej po tejsze wojnie też ulokował się fotograf. W 1946 roku do mieszkania nr 4 wprowadził się i otworzył zakład fotograficzny Władysław Sołtysik, urodzony w Chrośnicy, a poprzednio mieszkający z żoną Urszulą z domu Stępniewską w Kielcach. Sołtysikowie mieli córką Wiesławę. W Zbąszyniu urodziła im się jeszcze córka Grażyna i syn Artur. Obie córki zostały nauczycielkami, ta pierwsza krótko była moją wychowawczynią. W tejsze kamienicy prowadził również praktykę stomatologiczną dentysta E. Bąków-

ski, a później jego syn. Na parterze budynku natomiast przez długie lata mieściła się jedyna w mieście księgarnia „Domu Książki”, którą prowadził Dopierała. Pod koniec działalności, już w XXI wieku, należała do wolsztyńskiej firmy „Maruszewski”. Ostatecznie księgarnia została zlikwidowana w XXI wieku. Stary, parterowy dom Sikorskich już za Polski został rozebrany, a na jego miejscu urządzono skwer. Niedawno jednak na skwerze wybudowano nowoczesny gmach ze sklepem, ozdabia go świetlny zegar na ścianie frontowej.

 **Zygmunt Kaczmarek**

Zygmunt Kaczmarek jest z wykształcenia leśnikiem, zaś z pasji – regionalistą, mieszkańcem Nądni. Zainteresowała go historia wsi, w której mieszka, przy okazji poznał wiele innych tematów, którymi się zajął.

Źródła:

Księgi metrykalne parafii Zbąszyn – Archiwum Archidiecezjalne w Poznaniu; Księgi USC w Zbąszyniu – Archiwum Państwowe w Zielonej Górze; Księgi gruntowe Zbąszynia – Archiwum Państwowe w Zielonej Górze; Księgi podatku budynkowego Zbąszynia – Archiwum Państwowe w Zielonej Górze i Gorzowie Wlkp.; Bolesław Kumor „Spis ludności parafii katolickiej Zbąszyn z 1796 r.” Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne T. 43, 1981; „Poznań Projekt” wyszukiwarka małżeństw zawartych w Wielkopolsce w XIX wieku – Internet; Księgi adresowe miasta Poznania z lat 1890–1917 – WBC Internet; Kartoteka meldunkowa miasta Poznania – Archiwum Państwowe w Poznaniu; Rejestr mieszkańców Zbąszynia 1960–1976 – Archiwum Państwowe w Zielonej Górze; Księga burmistrzowska Zbąszynia 1592–1897 – Biblioteka Kórnicka w Kórniku; Cechy miasta Zbąszyn – Archiwum Państwowe w Poznaniu; Marian Andrzejak „Przechadzki po mieście” – „Zbąszynianin” 1995; USC Rheinbach – Archiwum miasta Rheinbach; USC Leszno – Archiwum Państwowe w Lesznie; „Tekturna pod fotografię fotografa Johanna Riesenkönig” – Internet; „Pocztówka z domem Sikorskich” [w:] Halina i Jan Ciszewscy „Zbąszyn (Bentschen) na dawnych pocztówkach (1895 -1945)” Zbąszyn 2010; „Pocztówka z kamienicą i domem Sikorskich” [w:] Krzysztof Rzepa „Zbąszyn na dawnej pocztówce” Nowy Tomyśl 2012.

Chorągiew kościelna z nazwiskami trzech Polaków

Ponad 105 lat temu zakończyła się pierwsza wojna światowa, w której brali udział żołnierze powołani do wojska z parafii katolickich w Babimoście i Nowym Kramsku. Niestety, wielu z nich poległo. Z parafii babimojskiej, do której należały w tym czasie jeszcze Nowa Wieś Zbąska i Grójec Mały i Wielki, zginęło 90 mężczyzn. Oprócz katolików zginęło jeszcze ponad 50 ewangelików z Babimostu, obu Podmokli i Lasek.

Na początku lat 20. XX wieku stawiano pomniki na cześć poległych. W Babimości pomnik postawiono na Rynku przed ratuszem. Front pomnika zdobiła płaskorzeźba sztandaru i krzyż. Oprócz tego umieszczono napis w języku niemieckim o treści: „Poległym na wojnie światowej bohaterom wdzięczny Babimost” i daty „1914–1918”. Na dwóch bokach okazałego pomnika, od północnej i południowej strony zostały umieszczone imiona, nazwiska i daty zgonu poległych (ponad 50). 10 lipca 1927 roku w Laskach Górnych odsłonięto i poświęcono pomnik poległych z tej wsi. W Starym Kramsku natomiast poległych (23 nazwiska) upamiętniono na tablicy, którą przymocowano do kapliczki przydrożnej. Czy były podobne inicjatywy w pozostałych miejscowościach obu parafii – nie wiadomo.

Ciekawostką Babimojszczyzny jednakże jest, że po pierwszej wojnie światowej z prywatnej inicjatywy powstał inny, nietypowy pomnik – chorągiew kościelna Najświętszego Serca Jezusa związana z osobami poległymi podczas Wielkiej Wojny, jak ją wówczas nazywano. Obecnie, po prawie stu latach, mocno podniszczona chorągiew znajduje się w Archiwum Diecezjalnym w Zielonej Górze. W 2017 r. ks. Marcin Siewruk opublikował w katolickim czasopiśmie „Gość Niedzielny” artykuł o tej chorągwi i przypomniał o jej istnieniu. Jednak przez dziesiątki lat chorągiew znajdowała się w babimojskim kościele św. Wawrzyńca. Używano jej



Odrestaurowana płyta z starokramskiej kapliczki z 23 nazwiskami poległych w I wojnie światowej



Rewers babimojskiej chorągwi z nazwiskami poległych

do obrządków religijnych. Co roku była noszona w procesji Bożego Ciała przez członków rodziny Wojtków i Piątyszków. Do lat 60. XX wieku zabiegała o to Marta Wojtek, mieszkająca w Podmoklach Wielkich 42.

Cóż zatem możemy obecnie powiedzieć o chorągwi? Na jej awersie umieszczono wizerunek Pana Jezusa wskazującego prawą ręką na swoje Najświętsze Serce. Pod spodem wyhaftowano napis: „Najśw. Serce Jezusa módl się nad nami!”. Rewers chorągwi zdobi wyhaftowany złoty krzyż, a wokół niego napis: „Bądź wierny aż do śmierci, A dam Ci wieniec żywota”.

Niżej znalazł się napis o treści: „Na pamiątkę poległych na wojnie Leona Steina, Franciszka Woitki i Antoniego Cichego.” Napisy na chorągwi sporządzono w języku polskim!

Nasuwa się oczywiste pytanie, kim byli wymienieni na chorągwi polegli, co ich łączy oprócz śmierci na tej samej wojnie i kto ufundował chorągiew, upamiętniając tych ludzi w tak szczególny sposób.

Pierwszy z nich, najmłodszy, Leon Stein urodzony 1 czerwca 1895 roku w Podmoklach Wielkich, to syn Jana i Marianny. Poległ w wieku 23 lat, z wymienionej tu trójki najpóźniej, prawie pod koniec wojny, 26 sierpnia 1918 roku w północnej Francji na froncie między miastami Arras a Cambrai. Drugi, Franciszek Wojtek, urodzony 28 września 1892 roku również w Podmoklach Wielkich w domu pod numerem 49, to syn Józefa i Elżbiety; walczył we Francji, został ranny i zmarł tam w szpitalu polowym w lipcu 1916 roku, mając niespełna 24 lata. Dokładna data śmierci i miejsce nie są udokumentowane. Trzeci, najstarszy, Antoni Cichy, urodzony 27 grudnia 1889 roku w Starym Kramsku jako syn Jana i Józefy, poległ w pierwszym miesiącu wojny, 27 sierpnia 1914 roku w wieku 24 lat.

Fundatorami chorągwi był teść wspomnianej wyżej Marty, Józef Wojtek ze swoją drugą żoną – Marianną. Józef żył w Podmoklach Wielkich od 1862 do 1931 roku i ze swoją pierwszą żoną Elżbietą miał kilkoro dzieci. Między innymi wspomnianego syna Franciszka, poległego na wojnie. Dla



Chorągiew wśród sztandarów na procesji Bożego Ciała przy kościele w Babimoście w latach międzywojennych niesiona przez Wacława Wołka z Podmokli Wielkich

tego jako fundatorowi zależało mu, aby wspomnieć o nieżyjącym już synu. Współfundatorka Marianna była drugą żoną Józefa Wojtka. Wychodząc za niego w 1909 roku, też była już wdową. Urodziła się w 1868 roku w Starym Kramsku 52 jako najstarsza córka Jana i Józefy Cichych. Dziesięć lat młodszym bratem Marianny był Jan Cichy – późniejszy znany działacz polski, tzw. Król Polaków w Nowym Kramsku. Wśród liczego rodzeństwa miała jeszcze jednego brata, który był od niej 21 lat młodszy – to właśnie wspomniany na chorągwi poległy Antoni Cichy.

W roku 1886 Marianna w wieku 18 lat wyszła za mąż za Jana Steina. Był już wdowcem o 23 lata starszym od niej. Pochodził z Podmokli Wielkich 43. Małżonkowie długi czas nie mieli dzieci. Dziewięć lat po ślubie Marianna urodziła swojego pierwszego syna Leona. Więcej dzieci nie miała. Leon Stein dorastał w Podmoklach Wielkich. Miał siedem lat, gdy zmarł jego ojciec. Krótko po śmierci ojca mama Leona wyszła za Józefa Wojtka. 16 maja 1909 roku Leon przystąpił w kościele św. Wawrzyńca do pierwszej komunii św. Kilka lat później poległ we Francji. Marianna straciła więc swojego jedyne go syna Leona i prawdopodobnie to ona dążyła najbardziej do tego, aby ufundować chorągiew kościelną i umieścić na niej jego imię. Mąż zgodził się na niebywale duży wydatek, upamiętniając i swojego syna Franciszka. Marianna dodała jednak „na chorągiew” jeszcze swojego najmłodszego brata Antoniego i tak powstał rodzinny pomnik w formie chorągwi, który upamiętnia do dziś trzech poległych w pierwszej wojnie światowej Polaków, którzy zginęli za nie swoje sprawy...

 **Aleksander Waberski**

Aleksander Waberski jest babimojskim regionalistą zakochanym w historii swej ziemi. Opublikował szereg prac z nią związanych. M.in.: *Kurkowe Bractwo Strzeleckie w Babimostcie* (2008), *Stakiel. Podmokle Wielkie* (2000), *Wokół babimojskiej synagogi, czyli krótka historia Żydów babimojskich* (2003), *Duchowieństwo Kosieczyna* (2014) oraz liczne artykuły. W poprzednim numerze „Szkiców” tekst „Powiat babimojski kolebką Regionu Koźła”.

Wśród łąk i pól wije się gmina Siedlec

Krajobraz to obszar, jaki postrzegamy wzrokiem, może być płaski, połańdowany, górski, nadmorski, rolniczy. Wśród elementów tworzących go wyróżniamy różne formacje roślinne, wody, różnorodne skały i rozmaitą rzeźbę terenu. Krajobraz ulega dynamicznym zmianom, np. pory roku sprawiają, że jego wygląd się zmienia wraz ze zmianami temperatury lub w związku z działalnością człowieka (wycinka lasów, ponowne zadrzewianie, działalność rolnicza, budownictwo, rozwój przemysłu, budowa dróg). Krajobraz może być wytworzony siłami natury (naturalny) lub przekształcony przez człowieka (antropogeniczny).

Na łąkach

Łąki to zbiorowiska różnych wieloletnich traw i ziół, którym towarzyszą owady, pajęczaki, płazy, gady, ptaki i ssaki oraz wiele innych organizmów tworzących bioróżnorodność gatunkową. Na łąkach rosną rośliny przeważnie trawiaste, znoszące dobrze koszenie, przygryzanie, udeptywanie, oraz zbitą powierzchnię gleby. Koszenie łąk zapobiega zarastaniu i ekspansji krzewów i drzew. Zarastanie łąk prowadzi do degradacji całego ekosystemu; pojawiają się nowe, obce gatunki, a wiele dotychczasowych organizmów ginie. Również odwadnianie i osuszanie łąk

poprzez rowy melioracyjne oraz zasypanywanie oczek wodnych jest bardzo niekorzystne, bowiem zubaża to bioróżnorodność organizmów.

Możemy wyróżnić trzy typy łąk ze względu na genezę powstania:

- naturalne (zalewowe z wysokim poziomem wód gruntowych);
- półnaturalne zbiorowiska trawiaste z udziałem człowieka (łąki kośne i pastwiska);
- sztuczne zbiorowiska trawiaste (mogą być świeżo założone, krótkotrwałe, przekształcane przez człowieka poprzez zabiegi: nawożenie, podsiewanie, wałowanie).

Łąki można podzielić również ze względu na:

- dominujące w runie rośliny (trzęślicowe, selernicowe, wyczyńcowe, ostrożeńcowe, solniskowe, rajgrasowe, kaczeńcowe);
- sposób użytkowania (trwałe, przemienne);
- produktywność (małowartościowe, niskoproduktywne, intensywne);
- położenie (górskie, niżowe, dolinowe);
- rodzaj siedliska (grądowe, zalewowe, bagienne, półbagienne).

Trwałe użytki zielone winny stanowić 14,34% w stosunku do całkowitej powierzchni użytków rol-

nych (wskaźnik referencyjny ustawy z 2015 r.). Łąki od pastwisk różnią się sposobem gospodarowania. Łąki kośne użytkowane są w celu pozyskiwania paszy dla zwierząt (w postaci siana lub przetwarzają się trawę na kiszonki). Pastwiska to obszary porośnięte trawami, na których wypasa się zwierzęta (bydło, konie, owce, kozy). Na pastwiskach po wypasie zwierząt pozostają tzw. niedojady (część roślin niezjedzona przez zwierzęta), które co jakiś czas są wykaszane.

W gminie Siedlec łąki występują głównie na terenach przyrzecznych i wokół jezior oraz w obniżeniach terenu, w miejscach okresowo podmokłych. Są to łąki półnaturalne, trwale użytki zielone, które są koszone dwu lub trzykrotnie w sezonie wegetacyjnym. Dla środowiska przyrodniczego najbardziej pożądane jest występowanie łąk naturalnych i półnaturalnych. Gospodarowanie ekstensywne, tzw. tradycyjne z wypasem bydła jest korzystne, bowiem nie wykorzystuje się tu ciężkiego sprzętu i środków chemicznych. Na opisywanym te-



Wypas bydła na łące w okolicy Kopanicy

renie można spotkać coraz rzadziej bydło lub konie wypasane na łąkach. Coraz rzadziej można spotkać krowy na łąkach, niewielkie stada są wypasane koło Kopanicy i Żodynia.

W dolinie Obry i Kanału Dźwińskiego występują łąki wilgotne na glebach potorfowych, a oddalając się w stronę lasów, przechodzą w łąki świeże. Ze względu na występującą roślinność można wyróżnić tu łąki rajgrasowe. Na przedwiośniu po obu stronach kanału Obry wskutek opadów deszczu łąki są podtopione, wtedy można zaobserwować stada gęsi gęgawy i kaczek krzyżówek. W pobliżu Jeziora Kopanickiego podczas wysokich stanów wód można zaobserwować wiele gatunków ptactwa wodnego, m.in. bernikłę kanadyjską, cyrankę, czernicę, kaczki krzyżówki, czaple białe, łyski, łabędzie, na drzewach nieruchomo stojące kormorany.

Funkcje łąk:

- hydrologiczna – magazynują wodę;
- hydrosanitarna – wody spływające na łąki z obszarów pól wyżej położonych skażone nawozami i pestycydami są „filtrowane” i oczyszczane przez rośliny i mikroorganizmy żyjące na łące;
- klimatyczna – 1 ha łąki pochłania rocznie 130 kg dwutlenku węgla, a produkuje ponad 100 kg tlenu do atmosfery, i z 1 ha łąki wyparowuje 2500 l wody w ciągu doby;
- biocenotyczna – schronienie dla wielu organizmów;

- glebotwórcza – rośliny trawiaste zwiększają urodzajność gleb;
- krajobrazowa – użytki zielone są często oddzielone miedzami, na których rosną krzewy i drzewa zapobiegając wysuszeniu gleby poprzez zmniejszanie siły wiatru;
- rekreacyjna – łąki dają perspektywę, piękno krajobrazu, w różnych porach roku przybierają odmienne barwy kwitnących traw i ziół;
- ochronna – roślinność trawiasta chroni łąki przed erozją wodną i wietrzną.

Istotne znaczenie dla zdrowia zwierząt ma skład gatunkowy runi łąkowej. Najbardziej pożądanymi trawami na łąkach są: rajgras wyniosły, wiechlina łąkowa, kupkówka, tymotka, życica trwała oraz roślina z rodziny bobowatych, koniczyna biała, i czerwona. Do ziół rosnących na łąkach bogatych w składniki pokarmowe zalicza się mniszek lekarski, babkę lancetowatą, krwawnik pospolity, brodawnik jesienny, tymianek. Korzystne jest występowanie w runi łąkowej niewielkiej ilości ziół, które poprawiają smakowość zielonki oraz wykazują właściwości prozdrowotne dla zwierząt. Takie zioła jak tymianek, macierzanka, szalwia, nostrzyk przyspieszają proces trawienia i stymulują przemianę materii. Zioła wzbogacają ponadto run łąkową w makro i mikroelementy i wykazują działanie prozdrowot-

ne. Przykładowo mniszek lekarski wykazuje działanie mlekopędne, krwawnik stymuluje działanie układu krwionośnego.

Występowanie niektórych roślin na łąkach jest z kolei niekorzystne. Do takich roślin zalicza się ostrożeń, szczawie, śmiałek darniowy, sity, turzyce. Niektóre rośliny mogą mieć działanie toksyczne dla zwierząt, np. wilczomlecz, szczwół plamisty, rzeżucha łąkowa czy ziarnopłon wiosenny. Do zachwaszczenia łąk dochodzi wtedy, gdy pojawiają się niepożądane rośliny w runi. Dzikie sprzyjają rozprzestrzenianiu się chwastów na łąkach. Pojawiają się, poszukując dżdżownic i pędraków, które wydobywają spod powierzchni ziemi. Na runi porytej przez dziki łatwo zakotwiczą się różne niepożądane na łące nasiona chwastów przyniesione przez wiatr, np. osty, rdesty, taszniki.

Roślinność łąkowa podlega zmianom w zależności od wilgotności podłoża. W lata suchsze trawy szla-



Knieć błotna (kaczeńce) na wilgotnej łące



*Rzeżucha łąkowa w okolicach Kopanicy
i w okolicach Jaromierza*

chetniejsze usychają (bardziej pożądane przez zwierzęta), natomiast kiedy jest więcej opadów jesiennych i wiosennych, wtedy łąki są podtapiane i pojawia się więcej gatunków lubiących wilgotne podłoże. Jeszcze w latach osiemdziesiątych można było spotkać w gminie Siedlec na łąkach kaczeńce (knieć błotną). Obecnie rzadko występują kaczeńce, jedną z przyczyn jest obniżanie się poziomu wód gruntowych. Na łąkach coraz rzadziej występują także mniszki lekarskie i koniczyna czerwona.

Na zbyt mokrych łąkach lub w wilgotne lata pojawiają się turzyce, która są mało wartościowe jako pasza, gdyż zawierają dużo krzemionki, a to z kolei powoduje uszkodzenie błony śluzowej żołądka u bydła. Takie łąki wymagają szybszego koszenia trawy, gdyż turzyce, gdy są młode, zawierają mniej krzemionki. Podtopienia łąk występują najczęściej wczesną wiosną w okolicach Kopanicy oraz Małej Wsi

i wzdłuż Kanału Północnego Obry w stronę Jeziora Wielkowiejskiego.

Łąki i mokradła są dziś zagrożone zanikiem i zarastaniem. Jest to efektem działalności człowieka. W latach 60. osuszano tereny, co spowodowało obniżenie się poziomu wód gruntowych. Ponadto zaniechanie ekstenywnego użytkowania łąk przyczyniło się do pojawiania się roślinności krzaczastej i drzewiastej. Na terenie gminy Siedlec można zaobserwować zasypywanie przez rolników oczek wodnych, bagien, stawków występujących na łąkach i polach. Niepokojącym zjawiskiem jest zaorywanie łąk i przekształcanie tych obszarów na grunty orne lub na grunty budowlane.

Fauna łąk gminy Siedlec

Ptakami żerującymi na łąkach i gniezdzącymi się na ziemi są: czajka, bażant, przepiórka, skowronek, pliszka. Możemy tu również spotkać dość licznie występujące w ostatnich latach żurawie, bociany białe i gęsi gęgawy. Na łąkach pokarm zdobywają także dudki oraz drapieżniki – kania ruda, kania czarna czy myszołów.



Ptaki żerujące na łąkach i gniezdzące się na ziemi



Zerujący bocian biały na łące

Na polach...

Pole to sztucznie utworzony agroekosystem, który jest regularnie poddawany zabiegom pielęgnacyjnym, wymaga stałego nawożenia i czasem nawodnienia. Na danym polu z reguły rosną pojedyncze gatunki roślin. Pole różni się od łąki tym, że co roku uprawia się tu inne rośliny (płodozmian), a na łąkach rosną te same rośliny przez wiele lat.

Powierzchnia ogólna gminy wynosi 20.464 ha. Struktura użytkowania gruntów w gminie Siedlec w 2021 roku: użytki leśne oraz grunty zadrzewione 27,5%, użytki rolne zajmują powierzchnię 13,219 ha, co stanowi 64,6% powierzchni gminy, grunty zurbanizowane i zabudowane 1,3%.

Struktura użytkowania gruntów rolnych w 2019 r. była następująca: grunty orne 11.198 ha, 54,720%, sady 21 ha, 0,103%, łąki 1.396 ha, 6,822%, pastwiska 236 ha, 1,153%, grunty pod stawami 1ha, 0,005%.

Pomimo dużego udziału gleb słabych, piaszczystych dominującą for-

mą działalności gospodarczej w gminie Siedlec jest rolnictwo. Gleby słabe, piaszczyste wytworzone z gleb bielicowych oraz z lżejszych gleb brunatnych i płowych powstałych z żwirów gliniastych i piasków stanowią aż 2/3 gruntów ornych gminy. Przydatność rolniczą gleb określa się na podstawie klas bonitacyjnych. Najsłabsze gleby należą do klasy V i VI i stanowią 67% powierzchni gminy. Gleby średniej jakości należące do klasy IVa i IVb obejmują 25% gruntów ornych w gminie. Gleby wyższych klas bonitacyjnych, tj. klasy IIIa i IIIb zajmują tylko 7%, brak jest gleb najwyższych klas, czyli klasy I i II. (Uchwała Rady Gminy Siedlec z 2021 r. – podaje się, że występują w gminie gleby klasy II i III, co stanowi 18,1% powierzchni gminy i 21,4 ha powierzchni użytków rolnych). Gleby wyższych klas bonitacyjnych nie stanowią zwartych kompleksów, przeplatają się z gleba-



Mapa gminy Siedlec

Tabela 1. Zestawienie klas bonitacyjnych gruntów ornych w gminie Siedlec (w % gruntów ornych).

Klasy bonitacyjne gruntów ornych wyrażone w procentach								
I	II	IIIa	IIIb	IVa	IVb	V	VI	VI RZ
0	0	5	13	12	13	12	30	1

(źródło: WIOŚ Poznań, 2001)

mi słabszymi. Najżyźniejsze gleby występują w okolicach miejscowości Zakrzewo, Godziszewo, Karna, Belecin i Nieborza. Niewielkie połacie żyznych gleb występują również na zachód od Kiełpin i w Wielkiej Wsi.

Gleby o podobnych właściwościach rolniczych, które mogą być w zbliżony sposób użytkowane, zalicza się do tzw. kompleksów przydatności rolniczej. W gminie wyróżnia się kompleks żytni (bardzo dobry, dobry i słaby) i zbożowo-pastewny. Na żyźniejszych glebach kompleksu żytniego uprawia się pszenicę, owies, jęczmień, pszenżyto, mieszanki zbożowe, buraki pastewne i cukrowe, ziemniaki, rzepak, oraz warzywa: cebulę, marchew, czerwone buraki, kapustę, kalafior, seler, pietruszkę. Na słabszych glebach kompleksu żytniego w zasiewach dominuje żyto. Natomiast na glebach kompleksu zbożowo-pastewnego sieje się żyto, kukurydzę, owies, mieszanki roślinne jednoroczne, czasem rzepak.

Plony zbóż

Na dobrych glebach klasy III i IV uzyskuje się: 6 do 8 ton jęczmienia z ha, 9 ton pszenicy z ha, 5 ton żyta

z ha, natomiast na słabych glebach klasy VI w lata suche zbiera się 1 tonę żyta z ha, a w lata wilgotniejsze 2 do 2,5 ton żyta z ha.

W gminie Siedlec bardzo dobrze prosperują gospodarstwa ogrodnicze w Chobienicach oraz w Jaromierzu. Gospodarstwo ogrodnicze w Jaromierzu zajmuje się produkcją warzyw i roślin ozdobnych nieprzerwanie od 1946 roku. Obecnie gospodarstwo posiada 10 ha ziemi (z tego 2 ha znajdują się pod osłonami – szklarnia i tunele foliowe) i zajmuje się uprawą i sprzedażą rozsady warzyw, roślin jednorocznych i wieloletnich dla gospodarstw domowych i ogrodów.



„Kwitający tunel foliowy” w ogrodnictwie w Jaromierzu

Fauna pól

Na polach występują przepiórki, rzadko kuropatwy, skowronki. W wilgotniejszych fragmentach spotkamy

słowiki – rdzawego i szarego, a w pobliżu gospodarstw: krogulce, sierpówki, wróble mazurki, jaskółki dymówki i oknówki, bociany białe, szpaki.

Zwierzęta hodowlane w gminie Siedlec

Gmina Siedlec, w której zamieszkuje 12 680 osób, składa się z 26 miejscowości. Jest to gmina rolnicza, w której jest zarejestrowanych 1436 gospodarstw rolnych. Średnia wielkość gospodarstwa wynosi 9,27 ha. W ostatnich latach obserwuje się tendencję spadkową ilości najmniejszych obszarowo gospodarstw rolnych o powierzchni do 5 ha (spadek o 1/4), a o 10,5% spadła ilość gospodarstw od 5 do 10 ha. Natomiast wzrosła liczba gospodarstw obszarowo dużych, 50 ha i więcej (wzrost o 35,7%). Najwięcej gospodarstw rolnych o dużej powierzchni jest w miejscowości Karna. Niektóre duże i średnie gospodarstwa rolne zajmują się nie tylko produkcją roślinną, ale również hodowlą zwierząt gospodarskich. W gminie istnieją duże ферmy zajmujące się hodowlą bydła mlecznego i opasowego, ферmy trzody chlewnej oraz drobiu (indyków, brojlerów, kur niosek). Hoduje się także gęsi, rzadziej konie. Duże ферmy drobiu znajdują się w wielu wsiach, m.in. w okolicach Borui, w Kiełpinach, w Jaromierzu/Marianicach i w Wojciechowie. Hoduje się kury nioski i brojlery, indyki oraz nieduże stada gęsi. Produkcja drobiu (brojlerów i kur niosek) w gospodar-

stwach odbywa się w oparciu o własne pasze, a część potrzebnej paszy dokupuje się od miejscowych rolników. Dla indyków kupuje się gotowe mieszanki paszowe.



Ferma indyków

Ponieważ trudno jest kupić prosięta do odchowu w kraju, rolnicy sprowadzają prosięta z Danii. Część rolników hoduje maciory i korzysta wtedy z własnego stada podstawowego – prosiąt. Hodowcy trzody chlewnej w Karnej mają nowoczesną chlewnię i hodują zwierzęta w tzw. cyklu zamkniętym, to znaczy mają maciory – około 100 sztuk – i odchowują prosięta na tuczniki, następnie je sprzedają. W hodowli trzody chlewnej wykorzystują własne pasze, a część paszy dokupują. Tucz prosiąt na tuczniki trwa około 4 miesiące, w ciągu roku rolnicy robią tzw. 3 wsady zwierząt w chlewni w ciągu roku (są to tzw. rzuty). Przykładowo stado trzody chlewnej to około 4000 sztuk w jedno-

razowym rzucie, tucz trwa 3 miesiące, łącznie takie gospodarstwo produkuje 12 000 sztuk rocznie. Tuczniaki karmi się śrutą ze zmielonych zbóż: pszenica, pszenżyto, żyto, otręby pszenne.



Nowoczesna chlewnia tuczniaków

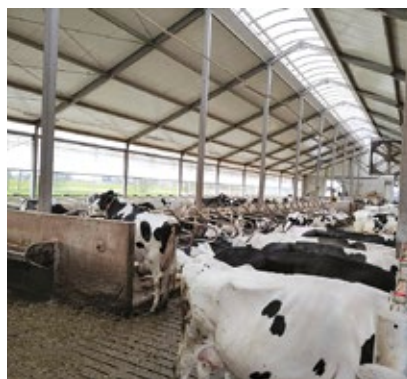
Rolnicy, którzy hodują bydło opasowe, kupują młode byki, tzw. odsadki o wadze 300 kg, następnie tucz je przez 12 miesięcy, gdy zwierzęta osiągną masę około 1200 kg, wtedy je sprzedają. Niektórzy rolnicy odchowują własne cielęta na opas, wtedy tucz trwa dwa lata. W gminie są również hodowcy bydła mlecznego. Jedną z takich dużych ferm bydła mlecznego znajduje się w Karnej.

Bydło karmi się przede wszystkim sianokiszonką, zielonką z kukurydzy i kiszonką z kukurydzy, wytłokami z buraków, sianem oraz paszą pochodzącą z własnej produkcji rolnej. Rolnicy stosują też śrutę sojową i olej sojowy, aby wzbogacić paszę w ener-

gię. Do produkcji sianokiszonki wykorzystuje się trawę we wczesnym stadium wzrostu, muszą być po skoszeniu częściowo podsuszone, następnie się beluje lekko podsuszoną trawę i zawija w folię. Zaletą takiej sianokiszonki jest większa wartość odżywcza niż siana. Czas fermentacji wynosi około 6 tygodni. Innymi paszami dla bydła są śruty uzyskiwane z ze zbóż, niektóre pasze się dokupuje. Bydło w dużych fermach przez cały okres rozwoju i wzrostu jest hodowane w oborach.

Wydajność mleczna krów

Od krowy w pełni wieku produkcyjnego można uzyskać około 40 l mleka na dobę, a przeciętnie uzyskuje się około 30 litrów mleka na dobę. Jest to uzależnione od wieku krowy, kondycji, czy jest przed wycieleniem, czy po wycieleniu, oraz od rodzaju paszy. Niektórzy rolnicy hodują bydło opasowe, np. w Chobienicach, Wąchabnie, Małej Wsi, Kopanicy. W Ja-



Bydło mleczne w nowoczesnej oborze

romierzu/Marianicach są duże fermy drobiu – hoduje się indyki, około 40 000 rocznie, w drugiej fermie hoduje się 105 000 indyków, a także trzodę chlewną (tuczniki) – 5200 sztuk

rocznie. W Kopanicy jest kilku gospodarzy hodujących bydło opasowe, w przykładowym gospodarstwie hoduje się 70 sztuk bydła opasowego i 50 krów mlecznych.

Tabela 2. Zestawienie dużych i bardzo dużych gospodarstw, ich hodowla w gminie Siedlec

Miejscowość	Przykładowe gospodarstwo	Trzoda chlewna (tuczniki) liczba sztuk / rok	Bydło mleczne liczba sztuk	Bydło opasowe liczba sztuk / rok	Kury noski liczba sztuk	Brojlery liczba sztuk / rok	Indyki liczba sztuk / rok
BORUJA	Ferma indyków						210 000
CHOBENICE	Gospodarstwo			60			
GODZISZEWO	Duża chlewnia	12 000					
JAROMIERZ	Hodowla trzody chlewnej	1000					
JAROMIERZ/ MARIANICE	Ferma indyków nr 1						105 000
	Ferma trzody chlewnej Ferma indyków nr 2	5200					33 000
JĄŻYNIEC	Ferma trzody chlewnej	3300					
KARNA	Nowoczesna obora nr 1		130				
	Nowoczesna obora nr 2		150				
	Nowoczesna chlewnia	2300					

KIEŁKOWO	Ferma trzody chlewnia nr 1	3000					
	Ferma trzody chlewnia nr 2	3000					
	Ferma trzody chlewnia nr 3	9000					
	Ferma trzody chlewnia nr 4	4500					
KIEŁPINY	Ferma drobiu nr 1				30 000		
	Ferma drobiu nr 2				700 000		
	Ferma drobiu nr 3					b.d.	
KOPANICA	Gospodarstwo rolne nr 1		50	70			
	Gospodarstwo rolne nr2		10	70			
MAŁA WIEŚ	Ferma trzody chlewnej Hodowla bydła opasowego	12 000					
			60 do 100				
NIEBORZA	Duża chlewnia Ferma drobiu	b.d.				b.d.	
SIEDLEC	Ferma trzody chlewnej nr 1	1200					
	Ferma trzody chlewnej nr 1	1200					
TUCHORZA	Dwa gospodarstwa – fermy świń Dwa gospodarstwa – duże obory	b.d.					
			b.d.	600			
WĄCHABNO	Gospodarstwo rolne	600					
	Gospodarstwo rolne	100					

WOJCIECHOWO	Ferma drobiu					280 000	
ZAKRZEWO	Gospodarstwo rolne – 2 obory		300				

Dane zawarte w tabeli są szacunkowe (przybliżone). b.d. – brak danych (opracowanie własne)

 **Joanna Rostkowska**

Piśmiennictwo:

Tygodnik Sanocki 7 VII 2019 r.

Strony internetowe:

[https://pl.wikipedia.org/wiki/Plik:Siedlec_\(gmina\)_location_map.png](https://pl.wikipedia.org/wiki/Plik:Siedlec_(gmina)_location_map.png)
 (<https://mpzp.igeomap.pl/doc/wolsztyn/siedlec/000.pdf>).https://siedlec.bip.net.pl/?p=document&action=show&id=5480&bar_id=3375

Joanna Rostkowska jest absolwentką Akademii Rolniczej w Poznaniu na kierunku rolniczym. Uzyskała tytuł doktora na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu. Pracuje jako nauczyciel przyrody, biologii i chemii w Szkole Podstawowej w Kopanicy. Oprócz zainteresowań przyrodniczych bliskie jej są takie tematy jak zdrowie człowieka, odżywianie i aktywny tryb życia. Mieszka w Kopanicy. W poprzednich numerach „Szkiców” zamieściła tekst nt. gniazd bocianich w gminie Siedlec oraz „Leśne opowieści” z gminy Siedlec.

Burmistrzowie Zbąszynia (najnowsze ustalenia)

Przedstawiona niżej lista włodarzy zbąszyńskiego grodu nie jest z pewnością pełna. Nie udało się odtworzyć spisu wszystkich osób pełniących tę zaszczytną funkcję, jak też dokładnie określić okresów ich rządów w mieście. Brak źródeł. Można przyjąć, iż przez długie wieki kadencja burmistrza trwała dwanaście miesięcy. Jeśli przekraczała ten czas, wówczas kolejny burmistrz rozpoczął swą pracę nieco później. Czy w związku z tym pełnił funkcję tylko do końca „swego roku”? Nie wiadomo. Na najnowszym liście wielokrotnie zaznaczono fakt, iż w danym roku burmistrzem były dwie osoby, ale ta druga przystępowała do pełnienia obowiązków zapewne dopiero w marcu, maju czy kwietniu. Zapis takiej sytuacji został tutaj odnotowany w następujący przykładowy sposób: Wojciech Adam Mybys//Jan Samuel Draszer (nazwiska są oddzielone podwójnymi ukośnikami). Oznacza to, iż pierwsza z wymienionych osób kończy swoją kadencję z poprzedniego roku, zaś burmistrzem właściwym jest druga z podanych postaci.

Dwoma głównymi źródłami do stworzenia listy są: wylczenia burmistrzów Zbąszynia (tu: od najdawniejszych czasów począwszy) przytaczane przez Józefa Krasonia w jego monografii pt. „Zbąszyń do przełomu wieku XVI i XVII” (1935) oraz

wykaz zbudowany przez dr Magdalenę Binią-Szkopek na podstawie rękopisu „Księgi miejskiej Zbąszynia” odkrytej w Bibliotece Kórnickiej, obejmującej lata 1588-1914 (publikacja w „Pamiętniku Biblioteki Kórnickiej” Z. 35). Wykaz sześciu powojennych burmistrzów zawiera publikacja Stanisława Kluja „Po II wojnie światowej” w „Zbąszyń. Zarys historii dziejów miasta” (1985). Pozostałe nazwiska pochodzą z wielu rozsiaanych źródeł polskich i niemieckich zazwyczaj okazjonalnie wymieniających imię i nazwisko gospodarza grodu Zbąskich.

Na podstawie wypisków z Krasonia udało się zbudować pierwszy wykaz zbąszyńskich włodarzy, rozpowszechniany przez niżej podpisanego od początku lat 90. XX wieku, z czasem „zawieszony” w internecie lub fizycznie w ramce w sekretariacie ratusza przy ul. Żwirki 1. Publikowany także w „Region Kozła. Vademe-cum” (2018). Zawierał „zaledwie” kilkadziesiąt nazwisk, od Jakóbca w 1440 roku począwszy. Przełomem okazała się ww. publikacja dr Magdaleny Binią-Szkopek z 2018 r., która w znaczący sposób uzupełniła ów pierwotny spis o kilkadziesiąt osób, częściowo tylko powtarzając ustalenia J. Krasonia. Obecnie można mówić o ok. 200 nazwiskach występujących w aktach i dokumentach

w ciągu kilku wieków. Gdyby wypełnić luki między rokiem 1329 a 1440, następnie w półwieczu między 1453 a 1501 oraz liczne braki w wieku XVI i kolejnych, to można by się spodziewać, iż ilość zarządzającym grodem wzrosłaby może nawet do 300. Zbąszynianie mają się czym chlubić!

Jednak mimo korzystania z materiałów historycznych można mieć wątpliwości dotyczące brzmienia nazwisk zbąszyńskich włodarzy, niekiedy też lat ich rządów (czasem nakładających się na siebie). Wszystko bowiem zależało w zamierzchłej przeszłości od osoby dokonującej pierwotnego wpisu (czy potrafiła biegle pisać, czy znała dobrze język polski, czy raczej posługiwała się niemieckim lub może łaciną), a następnie od kolejnych ludzi przeszukujących po wiekach dokumenty i – bywało – rozmaicie interpretujących np. nieczytelny wyraz lub imię. Dr Biniś-Szkopek wymienia nazwiska różniące się niekiedy od tych ze spisów Krasonia. Badaczka wskazuje jednak w swej publikacji o „Księdze miejskiej Zbąszynia” – a jest to bardzo istotne stwierdzenie – iż ten znakomity dla historyków dokument tworzyli przez lata i wieki różni ludzie o zróżnicowanym stopniu znajomości języka i prowadzenia ksiąg administracyjnych lub sądowych, nie mówiąc już o poziomie ich wykształcenia. Nie dziw, że w „Księdze” do pewnego stopnia jest chaos. Wpisywano różne fakty, zdarzenia, czasem po latach dokonywano uzupełnień

na pozostawionych pustych kartach. Dlatego nie zawsze można być pewnym chronologii wydarzeń odnotowanych w owej „Księdze”.

Podobnie mogło być z konotacją nazwisk gospodarzy grodu. Zwróćmy uwagę, iż wątpliwości sekretarza ratusza – już momencie zapisu, zatem w tamtych wiekach – dotyczą nawet sposobu odnotowania imienia, nie mówiąc już o nazwisku: Wawrzyn lub Wawrzyniec, Janas lub Janes. Inny przykład: Piotr Kunowski czy Konowski? Wojciech Bagiński czy Bagniński? Ignacy Stolze, Stolpe czy Sztolpe? Jeszcze większe różnice mamy przy nazwisku: Drayer, Dragier lub Dreszer. A może to trzy różne osoby? Z kolei od opcji narodowościowej zapisującego (sekretarza) mogło zależeć, czy odnotował tak: Carl J. Kappe, czy tak: Józef Karol Kappe. A obie formy występują na liście burmistrzów. Ciekawe, czy pisała to jedna i ta sama osoba, czy chodzi o kilku sekretarzy ratusza na przestrzeni lat?

Jeszcze inny przypadek i zarazem ciekawostka. Chodzi bowiem (chyba) o dwie różne postaci pełniące funkcję burmistrza. Ale pewności nie ma. W 1766 r. pojawia się Jan Samuel Draszer lub Drescher. A dwa lata później Samuel Daniel Draszer, lecz zapisany także jako Daniel Drasse. Czy takie wątpliwości da się rozstrzygnąć? W którym kierunku? Jeszcze coś innego – w 1767 występuje Wojciech Maisner. Można domniemywać, iż sekretarzem wówczas był jakiś Polak, który nie znał niemiec-

kiego i nie wiedział, iż to nazwisko w oryginale pisze się jako Meisner. A może było inaczej? Dorzucmy wątek ortograficzny, bo pana Bogusława odnotowano raz jako Chumulta, a raz jako Humelta. Pozostawmy zatem na nowej, skompilowanej liście burmistrzów różne formy zapisu nazwisk (zgodnie z odmiennymi źródłami), choć miejmy świadomość, że często chodzi o tę samą osobę. Na

wszelki wypadek wątpliwości zostały zaznaczone zapisem (w nawiasie) innej wersji tego samego miana.

Pierwsza pisana wzmianka o istnieniu urzędu burmistrza w Zbąszyniu pochodzi z roku 1329. Nie wiadomo jednak, o kogo chodziło; brak nazwiska lub choćby imienia. Obecnie znamy następujących rządców miasta:

Jakóbiec	1440
Mikołaj Grünberg	1442
Jach (Jaśko)	1447
Mikołaj Grünberg	1453 (spalony na stosie)
Andrzej	1496-1498 i 1501 (szlachcic)
Budych	1526
Maciej Grysik	1543
Łazarz Kłoszynek	1564-1568
Jan Sukiennik	1583
Walenty Woszczyna	1585
Brykcy	1590
Łukasz Budich (Budych)	1592
Łukasz Budich (Budych)	1593
Grzegorz Kuśnierz	1596
Łukasz Budych	1598
Mikołaj Koszisko	1599
Świętosław Szewc	1601
Świętosław Świętek (Szewc)	1602
Brykcy Kowal	1603
Stanisław Woszczynka	1605
Stanisław Woszczynka	1606
Świętosław Świętek (Szewc)	1609
Stanisław Kowal	1609
Świętosław Szewc	1610
Świętosław Szewc	1611
Paweł Motyka	1612
Paweł Motyka//Paweł Fatazik	1613
Paweł Fatazik//Stanisław Brykcewicz	1614

Stanisław Brykcewicz//Świętosław Świętek	1615
Stanisław Ratuszny//Paweł Motyka	1616
Paweł Motyka	1617
Marcin Śmiotanka	1618
Marcin Śmiotanka	1619
Jan Sitka	1620
Jan Sitka//Wojciech Gozdzikowic	1621
Wojciech Gozdzikowic	1622
Wojciech Gozdzikowic	1623
Wojciech Gozdzikowic	1624
Wojciech Gozdzikowic//Michał Kostka	1625
Wojciech Goździkiewicz	1634
Wojciech Goździkiewicz	1640
Wojciech Goździkiewicz	1647
Wojciech Lugostar	1654
Wojciech Lugostar	1655
Wojciech Goździkiewicz	1655
Wojciech Gozdzikowic	1668
Jan Ciemnik	1669
Michał Sprecha	1677
Michał Sprecha	1678
Mateusz Czubek	1680
Mateusz Czubek	1681
Mateusz Czubek	1682
Mateusz Czubek	1683
Eliasz Renc	1684
Andrzej Śmietanka (Smietana)	1685
Andrzej Śmietanka (Smietana)	1686
Andrzej Śmietanka (Smietana)	1687
Andrzej Śmietanka (Smietana)/ /Maciej Marlicz (Marlica) alias	
Chłopka (Chłopkowicz)	1688
Jan Chroseinski	1689
Jan Chroseinski	1691
Maciej Marlicz (Marlica) alias	
Chłopka (Chłopkowicz)	1692
Jan Chrościnski	1693
Maciej Marlicz (Marlica) alias	
Chłopka (Chłopkowicz)	1693

Maciej Marlicz alias Chłopka (Chłopkowicz)	1694
Maciej Marlicz alias Chłopka (Chłopkowicz)	1695
Maciej Marlicz alias Chłopka (Chłopkowicz)	1697
Maciej Marlicz alias Chłopka (Chłopkowicz)	1698
Maciej Marlicz alias Chłopka (Chłopkowicz)	1699
Maciej Marlicz alias Chłopka (Chłopkowicz)	1700
Maciej Marlicz alias Chłopka (Chłopkowicz)	1701
Maciej Marlicz alias Chłopka (Chłopkowicz)	1702
Maciej Marlicz alias Chłopka (Chłopkowicz)	1704
Maciej Marlicz alias Chłopka (Chłopkowicz)	1705
Tomasz Szukwinski	1706
Tomasz Szukwinski	1707
Tomasz Szrecki	1709
Tomasz Szrecki//Marcin Dorazalski	1710
Marcin Dorazalski	1711
Marcin Dorazalski	1712
Marcin Dorazalski//Marcin Gusman	1713
Józef Nietulski	1714
Józef Nietulski	1715
Piotr Marleski	1716
Piotr Marleski	1717
Józef Nietulski	1718
Józef Nietulski	1719
Józef Nietulski	1720
Józef Nietulski	1721
Józef Nietulski//Szymon Cichoszewicz	1722
Szymon Cichoszewicz	1723
Szymon Cichoszewicz	1724
Wawrzyn (Wawrzyniec) Janas (Janes)	1725
Joachim Hanczka	1726

Jan Molicki	1727
Szymon Cichoszewicz	1728
Jan Molicki	1729
Jan Molicki	1730
Wawrzyn (Wawrzyniec) Janas (Janes)	1731
Szymon Cichoszewicz	1732
Szymon Cichoszewicz//Marcin Gusman	1733
Bartłomiej Konował	1734
Maciej Laktanski (Śmietana)	1735
Grzegorz Śmigielski	1736
Andrzej Nietulski	1737
Andrzej Nietulski/ /Marcin Kolewski (Koleski)	1738
Marcin Kolewski (Koleski)	1739
Marcin Kolewski (Koleski)	1740
Marcin Kolewski (Koleski)/ /Wawrzyniec Janas (Janes)	1741
Wawrzyniec Janas (Janes)	1742
Wawrzyniec Janas (Janes)/ /Wojciech Baginski (Bagniński)	1743
Wojciech Baginski (Bagniński)	1744
Wojciech Baginski (Bagniński)	1745
Wojciech Baginski (Bagniński)	1746
Wojciech Kiermasz	1747
Wojciech Kiermasz	1748
Bartłomiej Konował	1749
Maciej Laktanski (Śmietana)	1750
Maciej Laktanski (Śmietana)	1751
Grzegorz Śmigielski	1752 (zapis: 3 maja)
Józef Dyslinski	1752
Józef Dyslinski	1753
Józef Dyslinski	1754
Józef Dyslinski/ /Piotr Kunowalski (Konowalski)	1755
Piotr Kunowalski (Konowalski)	1756
Piotr Kunowalski (Konowalski)/ /Wojciech Bagiński (Bagniński)	1757
Wojciech Bagiński (Bagniński)	1758
Wojciech Bagiński (Bagniński)	1759
Wojciech Adam Mybys	1760

Wojciech Adam Mybys	1761
Wojciech Adam Mybys/ /Jan Samuel Draszer	1762
Jan Samuel Draszer	1763
Jan Samuel Draszer/ /Andrzej Sokołowski	1764
Jan Samuel Draszer//Józef Webr	1765
Jan Samuel Draszer (Drescher)	1766
Bogusław Chumult (Humelt)/ /Wojciech Maisner	1767
Samuel Daniel Draszer (Daniel Drasse)	1768
Jan Christian August Rörich	1768
Bogumił Chumult (Humelt)	1769
Baltazar Piniecki//Ludwik Niedbała	1770
Wawrzyniec Adamski	1771
Wawrzyniec Adamski (Baltazar Piniecki – wiceburmistrz)	1772
Carl J. Kappe	1772
Wawrzyniec Adamski/ /Ludwik Niedbała (Niedbał) (Baltazar Piniecki – wiceburmistrz)	1773
Jan Drayer (Dragier)	1774
Jan Drayer (Dragier)	1775
Jan Drayer (Dragier, Dreszer)	1776
Carl J. Kappe	1777
Józef Karol Kappe	1778
Godlob Poluh (Gottlob Polok)	1779
Godlob Poluh (Gottlob Polok)	1780
Godlob Poluh (Gottlob Polok)/ /Józef Karol Kappe	1781
Józef Dyszliński	1781
Carl J. Kappe	1782
Gottlob Polak (Poluh, Polok)/ /Józef Karol Kappe	1783
Józef Karol Kappe	1784
Jan Bogumił Kierszka	1785
Jan Bogumił Kierszka/ /IgnacyStolze (Stolpe, Sztolpe)	1786
Ignacy Stolze (Stolpe, Sztolpe)	1787

Ignacy Stolze (Stolpe, Sztolpe)/ /Józef Karol Kappe	1788
Józef Karol Kappe	1789
Józef Karol Kappe	1790
Józef Karol Kappe	1791
Józef Karol Kappe//Jan Bogumił Kierszka	1792
Jan Bogumił Kierszka//Józef Karol Kappe	1793
Carl J. Kappe	1793
Jan Christian August Rörich	1795
Józef Karol Kappe	1798
Jan Christian August Rörich	1800
Kaercher	1800-1802
Carl J. Kappe	1806
Warmiński	1806-1817
Franke	1817-1822
Zimmer	1822-1832
Hoffarth	1836
Kunkel von Loewenstern	1836-1840
Hein	1840-1842
Kulm	1842-1843
Ambrosius	1843-1853
Telke	1854
Consbruch	1855
Lehmann	1855
Reichmann	1855-1857
Carl Noack	1858-1869
Lange	1870-1872
Hausfelder	1872
Eduard Schramm	1872-1864
Knifel	1864-1869
Adrian Hilschler (Hieltscher)	1879-1908
Joachim Butz	1908-1920
Franciszek Niedbał p. o.	od 1 V 1920
Wiktor Węclewski	1920-1922
Franciszek Tomaszewski	1922-1924
Antoni Szostak	1925-1928
Wincenty Lewandowski	1928-1930
Zygmunt Magiera	1930
Zygmunt Wagner	1930-1931
Franciszek Ferfet	1931-1933



Stefan Łuczak p.o. (sekretarz)	VI 1933	
Eugeniusz Michalik	1934?-1939	
G. Leszczyński (komisaryczny)	IX 1939 (okupacja niemiecka)	
Friedrich Lauchstaedt (komisaryczny)	od końca IX 1939 (okupacja niemiecka)	
Zygfried Pomesny	29 I 1945 – 3 VII 1945	
Michał Frankowski	11 VII 1945 – 30 VII 1947	
Stefan Palicki	16 VIII 1947 – 1 VII 1948	
Leon Jankowiak p. o.	1 VII 1948 – 1 IV 1949	
Stanisław Łysiak p. o.	1 IV 1949	
Jerzy Komarnicki (naczelnik)	1973-1990	
Aleksander Kobusiński	20 VI 1990 – 11 IX 1990	
Romuald Szczepaniak	12 IX 1990 – 6 XI 1998	
Rafał Suchorski	6 XI 1998 – 6 XII 2006	
Leszek Leśny	6 XII 2006 – 2010	
Tomasz Kurasiński	2010-2024	

opracował

 **Eugeniusz Kurzawa**

komunikaty





„Szkice” o naszej przeszłości i nie tylko

Obchody 750-lecia Zbąszynia, które odbyły się w 1984 roku (trochę nieszczęśliwie, bo przecież nic istotnego dla historii miasta nie zdarzyło się 750 lat wcześniej!), znacznie ożywiły zainteresowanie przeszłością miasta i jego najbliższej okolicy, tym bardziej że do 1984 roku ukazało się stosunkowo niewiele publikacji, a przede wszystkim brak było monografii Zbąszynia. Powstałe wówczas (z inicjatywy Zenona Matuszewskiego i pozostające pod jego redakcją do 2019 roku) „Szkice Zbąszyńskie” stawiały sobie za główny cel prezentowanie artykułów popularnonaukowych pióra zarówno regionalistów, jak i pracowników naukowych, dla których ważne było pokazanie obecnym i przyszłym pokoleniom historii Zbąszynia i okolic. Efektem końcowym i znaczącym tej inicjatywy miało być wydanie monografii Zbąszynia, co nastąpiło jednak trzy dekady później w zmienionych okolicznościach.

„Szkice Zbąszyńskie” zatem zaczęły się ukazywać staraniem Z. Matuszewskiego jako nieregularny periodyk. Było to możliwe dzięki współpracy miejscowego oddziału PTTK z Regionalną Pracownią Krajoznawczą Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Zielonej Górze. Czasopismo nosiło podtytuł „Materiały z historii i kultury Zbąszynia i regionu”.

Pierwszy numer ukazał się w 1984 r. w formacie A5 i liczył 41 stron. Zawierał dwa ważne artykuły: Zdzisława Linkowskiego „Rozwój przestrzenny Zbąszynia w 750-leciu” oraz Mieczysława Pohla „Emigracja ze Zbąszynia i okolicy do Australii w XIX wieku”. Następne wydanie „Szkiców” pojawiło się w 1985 r., było nieco obszerniejsze (66 stron) i zawierało cztery publikacje o zamku, muzeum, przyrodzie i wspomnienia Antoniego Janiszewskiego. Trzeci numer (firmowany już przez Zbąszyńskie Towarzystwo Naukowo-Kulturalne) wyszedł w 1989 r., liczył 104 strony, mówił o procesach czarownic, „Tygodniku Parafii Zbąszyńskiej”, folklorze, prezentował miejscowe legendy opracowane przez Eugeniusza Kurzawę.

Po dziewięciu latach następcą tego wydawnictwa stały się „Szkice Nadobrzańskie”, których wydawcą zostało Stowarzyszenie Gmin RP Region Kozła, ale redaktorem pozostawał Z. Matuszewski. Czasopismo zwiększyło zasięg tematyczny i terytorialny. Zawierało materiały dotyczące wszystkich gmin RK. Autorzy wywodzili się z miejscowego nauczycielstwa, regionalistów, nie brakowało również naukowców (m.in. prof. Michał Kobusiewicz, prof. Jerzy Piotr Majchrzak, prof. Krzysztof Rzepa, dr Jarosław Lewczuk). Teksty mówiły

zwłaszcza o historii i kulturze Regionu, o oświacie, czasopismo zawierało dokumentację prasową dotyczącą RK. Nr 1(4) ukazał się w 1998 r., kolejny 2(5) w 2000, a ostatni w 2002. I na tym dość niespodziewanie dobrze zapowiadający się „organ kulturalno-historyczny” Regionu skończył żywot. Przyczyną prawdopodobnie był brak pieniędzy.

Na szczęście wówczas w życiu publicznym pojawił się internet. Ta forma komunikacji daje możliwość zamieszczania publikacji o dowolnej tematyce w bardzo szerokiej przestrzeni publicznej. Dlatego w 2007 roku narodził się pomysł powołania do życia „Internetowego Kantoru Wydawniczego Muzeum w Zbąszyniu – Szkice Zbąszyńskie”, również pod redakcją Zenona Matuszewskiego. Nowe teksty przygotowane z myślą o „Szkicach Zbąszyńskich” „zawisły” zatem na stronie internetowej Zbąszyńskiego Ośrodka Kultury, pod którego skrzydłami działało i wciąż działa Muzeum Ziemi Zbąszyńskiej i Regionu Kozła. Jako redaktor naczelny Matuszewski prowadził „Szkice Zbąszyńskie” do roku 2019, kiedy choroba uniemożliwiła mu dalszą aktywność. W latach 2020–2022 opiekę nad „Szkicami Zbąszyńskimi” przejęła Urszula Seifert, archiwistka oraz historyczka, pracująca w muzeum od 2013 roku.

Do tej pory autorzy zaangażowani w wydawanie wcześniejszych (papierowych) „Szkiców”, jak i te osoby, które włączyły się w edycję interne-

tową, napisały i umieściły wiele znaczących materiałów (wykaz poniżej). Niektóre przedrukowano we wznowionych „w papierze” aktualnych „Szkicach Nadobrzańskich”. Materiały te można znaleźć w ramach projektu „Wirtualny spacer po zasobach muzeum w Zbąszyniu”. Warto do nich zaglądać ze względu na naprawdę ciekawe i nieznanie powszechnie publikacje.

Bibliografia

- „Szkice Zbąszyńskie”, red. Zenon Matuszewski, nr 1/1984 Regionalna Pracownia Krajoznawcza ZW PTTK w Zielonej Górze, nr 2/1985 Regionalna Pracownia Krajoznawcza ZW PTTK w Zielonej Górze, nr 3/1989 Zbąszyńskie Towarzystwo Naukowo-Kulturalne.
- „Szkice Nadobrzańskie”, red. Zenon Matuszewski, nr 1(4) 1998 Stowarzyszenie Gmin RP Region Kozła, 2(5) 2000 Stowarzyszenie Gmin RP Region Kozła, 3(6) 2002 Stowarzyszenie Gmin RP Region Kozła.
- „Szkice Nadobrzańskie”, red. Eugeniusz Kurzawa, nr 1(4) 2022 Stowarzyszenie Gmin RP Region Kozła, 1(5) 2023 Stowarzyszenie Gmin RP Region Kozła.

Publikacje

w ramach Internetowego Kantoru Wydawniczego Muzeum w Zbąszyniu – Szkice Zbąszyńskie (<https://archiwummuzeumziemizbasyńskiej.zck.org.pl/kategoria-produktu/archiwalia/szkice-zbasyńskie/page/3/>)

1. Zenon Matuszewski „Twierdza Zbąszyń” (maj 2018; data publikacji),

2. Gertruda Jazdon „Losy Floriana Dzięcioła z Zakrzewa od pierwszej do początku drugiej wojny światowej” (grudzień 2019),
3. Agnieszka Kwaśnioch „Abraham Zbąski. Biografia komentowana” (maj 2021),
4. Urszula Seifert „Trudna droga muzealnictwa na Ziemi Zbąszyńskiej” (styczeń 2021),
5. Zenon Owoc „Com się ja, Zenon Owoc (92 lata), dowiedział od swego ojca powstańca wielkopolskiego o jego wojnach i życiu w obu Rzeczpospolitych” (styczeń 2021),
6. Zenon Matuszewski „Pomnik powstańców wielkopolskich w Zbąszyniu z 1924 r.” (wrzesień 2018),
7. Zenon Matuszewski „Pałac w Zbąszyniu” (maj 2017),
8. Zenon Matuszewski „Marcin Czechowic – zapomniany zbąszynianin w 400 rocznicę śmierci” (styczeń 2014),
9. Zenon Matuszewski „Życie i losy wikariuszy zbąszyńskich z czasów powstania wielkopolskiego” (styczeń 2014),
10. Zenon Matuszewski „Przyczynek do historii obszarów wodnych Zbąszynia” (marzec 2012)
11. Aleksander Koehler „Wspomnienia”; wstęp Zenon Matuszewski (wrzesień 2010),
12. Zenon Matuszewski „Upamiętnienie powstańców wielkopolskich w mieście i gminie Zbąszyn” (luty 2010),
13. Izabela Sołtyśik „Walory krajoobrazowo-kulturowe obszaru chronionego krajoobrazu dolina Obry (maj 2009),
14. Stanisław Michalczak „Życiorys [moja służba wojskowa]” (luty 2009),
15. Zenon Owoc „Moja druga wojna światowa. Wrzesień 1939 r.” (wrzesień 2008),
16. Jan Janowski „Ochotnicza Straż Pożarna w Zbąszyniu 1904 – 1994. Kronikarski zapis dziejów”, cz. II 1955–1994 (styczeń 2008),
17. Teodor Żychliński „Zbąszyń w „Tygodniku Ilustrowanym” (styczeń 2008),
18. Leon Adamczyk „Stanisław Tuczyński – dziedziczny pan Zbąszynia” (listopad 2007),
19. „Wspomnienia, relacje i zeznania powstańców wielkopolskich” (styczeń 2008),
20. Zbigniew Żołnierkiewicz „W 102 dni pieszo dookoła Polski” (listopad 2007),
21. Zbigniew Żołnierkiewicz „Ostatnie dni przed wielką burzą światową” (listopad 2007),
22. Andrzej Wędzki „Teksty źródłowe dotyczące Zbąszynia” (styczeń 2008),
23. Czesław Horowski „Zwycięski bój opaleniczan pod Nowąwsią Zbąską w dniu 13 lutego 1919 roku” (styczeń 2008),
24. Marian Frasz, Jerzy Jańczak „Zarys historii klubu sportowego «Obra» Zbąszyń” (styczeń 2008),
25. „Z oswobodzonych kresów zachodnich” (listopad 2007),
26. Zbigniew Mitzner „Inferno w Zbąszyniu” (listopad 2007),
27. Zbigniew Żołnierkiewicz „Handel i rzemiosło w Zbąszyniu w latach przed wybuchem II wojny światowej (listopad 2007)
28. „Tajne Archiwum w Berlinie” [G. St. A. Berlin – Dahlem] (listopad 2007),

29. „Powstanie wielkopolskie na odcinku zbąszyńskim” (listopad 2007),
30. Franciszek Małycha „Powstanie wielkopolskie – moje wspomnienia” (listopad 2007),
31. Zbigniew Żołnierkiewicz „Bractwa oraz stowarzyszenia religijne i świeckie w Zbąszyniu w latach międzywojennych” (listopad 2007),
32. Przemysław Kozłowski „Organizacja życia samorządowego mieszczan zbąszyńskich w XVI i XVII wieku” (listopad 2007),
33. Agnieszka Kozak „Początki osadnictwa na terenie Zbąszynia w świetle badań archeologicznych” (listopad 2007),
34. Wacław Czuchwicki „Wydalenie Żydów z Niemiec w 1938 r. w okolicach przygranicznego Zbąszynia” (listopad 2007),
35. Marian Stanisław Andrzejak „Zbąszyński garnizon wojskowy w okresie międzywojennym w latach 1921-1936” (listopad 2007).

oprac. (saw.)

Krzyż Brzózkowej w Karszynie

Już po raz trzeci w tym roku przyszło mi dzielić się historią rodzinną sprzed lat. W styczniu pisałem o krzyżu w Karszynie na łamach portalu aleteia.pl (ukazał się również przedruk w edycji francuskiej), dwa miesiące później opowiadałem na antenie Radia Wnet, a teraz, jesienią 2023, spisuję tę opowieść dla „Szki-ców Nadobrzezańskich”. Zastanawiam się, czy dzieje się tak dlatego, że historia dotyka rzeczywistości nadprzyrodzonej, a tam, jak wiadomo przypadków nie ma. A może to po prostu piękna opowieść, którą warto przekazywać wciąż dalej i dalej.

Rodzinna opowieść dostaje drugie życie

Historię przydrożnego krzyża opowiadała swoim dzieciom moja babcia Jadwiga. Jednak, co się często zdarza, ustna relacja z biegiem lat przestała być przekazywana. Babcia zmarła w 1998 r., była ostatnim świadkiem tamtych zdarzeń i gdyby nie pewna koincydencja, rodzinny przekaz zniknąłby w mrokach niepamięci.

Od ponad dekady mój tata spędza połowę roku w swoich rodzinnych stronach, dosłownie kilka kilometrów od domu, w którym się urodził. Mimo słusznego wieku ojciec jest bardzo aktywny – wciąż czynny zawodowo jako naukowiec, przy tym znajduje czas, by zająć się absorbującą gospodarką na przyni-

skich włościach, dodatkowo żywo interesuje się sprawami swojego regionu. Ja, mieszkający od urodzenia w Kongresówce, nazywam ten rodzaj hiperaktywności wielkopolskim ADHD. Któregoś dnia ojciec znalazł w lokalnej prasie wzmiankę o promocji książki Tadeusza Mąkosy. Czytelnikom „Szki-ców” chyba nie trzeba przedstawiać autora opracowania „Karszyn we wspomnieniach i źródłach historycznych”. Poznałem Tadeusza Mąkosę, kiedy zbierałem materiały do swojego artykułu i było to jedno z bardziej inspirujących spotkań w ostatnim czasie – człowiek z pasją i energią społecznika, kopalnia wiedzy o regionie. Dzięki panu Mąkosie, a pośrednio też jego żonie, pisarce Zofii Mąkosie, rodzinna historia ożyła na nowo.

Podczas prezentacji swojej książki, latem 2013 r., Tadeusz Mąkosa przywołał opowieść o krzyżu z Karszyna – autor oczekiwał przybycia kogoś z naszej rodziny, ale te osoby niestety nie dotarły. Wtedy jednak mój tata ujawnił się jako wnuk bohaterów tamtejszych zdarzeń. Niedługo potem historia sprzed niemal stu lat zyskała ciekawy epilog.

Ale od początku.

Historia krzyża w Karszynie

Przed I wojną światową pradziadkowie Stanisław i Monika Brzózkowie gospodarowali w Karszynie. W sierp-

niu 1914 r., kiedy wojna wybuchła, pradziadek Stanisław jako poddany cesarza Wilhelma II Hohenzollerna został powołany do wojska. Wysłano go na front wschodni i już w grudniu sprawna pruska administracja wojskowa przysłała zawiadomienie o zaginięciu żołnierza. I tyle – *der Fall ist abgeschlossen*. Po pradziadku wszelki śluch zginął. Mijały wojenne miesiące i lata. Monika Brzózka dzieliła los setek tysięcy polskich kobiet, które musiały samotnie uporać się z trudami wychowania dzieci i utrzymania rodziny. Prababcia jakoś sobie radziła, ale nietrudno sobie wyobrazić, że w tamtych realiach musiało być jej niezwykle ciężko. A do tego żadnych wiadomości o mężu – zginął, ale co to naprawdę znaczy? Czy żyje, czy jest w niewoli, ranny? Czy...

Wielka Wojna była przede wszystkim hekatombą armii – poległy miliony żołnierzy, najwięcej na froncie zachodnim i wschodnim. Zginęło też wielu karszyniaków, ale nikt nie stwierdził, że Stanisław Brzózka nie żyje. W końcu, musiało się to wydarzyć w 1917 r., w poczuciu absolutnej bezsilności Monika zdecydowała się zawierzyć wszystko Bogu. Oddajmy teraz głos Tadeuszowi Mąkosie, który znakomicie opisał to w swojej książce: „Gdy już straciła wszelką nadzieję i pogodziła się z losem, postawiła przy drodze do Kargowej krzyż – symbol katolickiej wiary, w której

z mężem wychowywali swoje dzieci, zanim zabrała go okrutna wojna. Był solidny, dębowy. Na jego ramionach przymocowany został wyrzeźbiony także z dębowego drewna Chrystus z koroną cierniową na głowie. Dobrzy ludzie pomogli domniemanej wdowie tę ciężką konstrukcję zawieźć na pole, gdzie tuż przy drodze krzyż został wkopany w ziemię.”¹ Nie wiemy, co działo się w sercu Moniki Brzózki. W relacjach rodzinnych przetrwał przekaz, że kobieta ufundowała krzyż jako wotum zaufania Bogu, bowiem wciąż żywiła nadzieję na powrót męża z wojny. I kiedy modliła się z dziećmi przy przydrożnym krzyżu, to z wiarą w szczęśliwe zakończenie. Koszmar wojny się skończył. W dalekim Compiègne w wagonie sztabowym marszałka Francji Ferdynanda Focha podpisano zawieszenie broni pomiędzy aliantami a Niemcami. Ci, którzy przeżyli tę potworność, wracali do domów, ale los pradziadka pozostawał nieznany.

W Wielkopolsce wybuchło powstanie, synowie Brzózków, Hieronim i Teodor, poszli walczyć. Niestety, obaj zginęli. Moja babcia, Jadwiga, jako kilkunastoletnia dziewczynka została powstańczą łączniczką. Dziecko przynoszące wojenne meldunki nie wzbudzało u Prusaków podejrzeń – dlatego właśnie jej zdecydowano się powierzyć to niebezpieczne zadanie. Nastąpił rok 1919,

1 Tadeusz Mąkosa, *Karszyn we wspomnieniach i źródłach historycznych*, Gminna Biblioteka Publiczna im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej, Kargowa 2013, s. 72-73.

kilkanaście kilometrów od Karszyna, za nową granicą odradzała się wolna Polska, za którą oddali życie synowie Moniki i Stanisława. W Karszynie, który znalazł się w granicach Republiki Weimarskiej, powoli odradzało się normalne życie, lecz w domu Brzózków panował smutek, bo o zaginionym gospodarzu wciąż nie nadchodziły żadne wieści.

Modlitwa i wiara

Monika jednak nie porzuciła modlitwy, stale powracała pod krzyż, by tam zanosić swoje błagania i powierzać Zbawicielowi swój ciężki los. Któregoś letniego dnia we wsi powstało zamieszanie. W Karszynie pojawił się nieznajomy, „dziad” w łachmanach, który koniecznie chciał rozmawiać z Moniką Brzózką. Miejscowi posłali po gospodynię pracującą w polu z dziećmi. Prababcia chcąc nie chcąc przerwała pracę polu i wróciła do wsi. Nie pożałowała...

Zarośnięty przybysz w łachmanach okazał się jej mężem! Niewola, cierpienia i długi powrót w rodzinne progi do tego stopnia zmieniły Stanisława, że swoi z Karszyna go nie poznali. Ale poznała go żona, która z wiarą i nadzieją wyczekiwała jego powrotu. Pradziadkowie postanowili, że odtąd krzyż pozostanie w polu, jako wotum wdzięczności za ocalenie i powrót Stanisława do domu.

Brzózkowie postanowili zamieszkać w Polsce. W tamtych czasach można było dokonać wymiany gospodarstw – pradziadkowie prze-

nieśli się do Jaromierza i zamieszkali w domu, który niegdyś należał do niemieckiej rodziny, Niemcy zaś przeszli dawną gospodarzkę Brzózków w Karszynie.



Krzyż Brzózkowej przy drodze wiejskiej w Karszynie

Fot. Łukasz Witkiewicz

W rodzinnych albumach widnieje fotografia z 1955 r. (jest również umieszczona w książce Tadeusza Mąkosy), pamiątka po jubileuszu 60-lecia małżeństwa. Na zdjęciu oboje siedzą w centrum kadru, na honorowych miejscach, otoczeni liczną rodziną – stareńcy już, ale wciąż dziarscy. Kilka lat po tej uroczystości pradziadkowie syci swych dni zakończyli swój pracowity żywot i odeszli do Pana Boga.

Przetrwiał ponad 100 lat

Stoi po dziś dzień w polu, przy szosie, jakby obok pędzącej cywilizacji. Przetrwiał barbarzyństwo niemieckiej młodzieży, która w latach 30. XX w. za cel postawiła sobie zniszczenie wszelkich katolickich symboli w całej okolicy. W latach 50. dębowy krzyż Brzózkowej znacznie się pochylał, ale wtedy pan Antoni Prus, przybysz spod Kalisza, postawił na jego miejscu kolejny, również drewniany krucyfiks. Na początku XXI w. wotum pradziadków znów wymagało gruntownego remontu. Z pomocą pośpieszył Grzegorz Balcerak, lecz tym razem zdecydował się na trwalszy materiał – stal. Kiedy prosił mieszkańców wioski o materiał na renowację, jeden z ziomków podsumował go: – Ty masz albo mnóstwo grzechów, albo pieniędzy, że krzyż stawiasz.

Pan Grzegorz odparł: – Nie, on już tam stoi od dawna, ja go tylko remontuję!

Epilog

Jesienią 2013 r. pod karszyńskim miejscem pamięci zebrało się liczne grono – moja rodzina, pan Tadeusz Mąkosa, ostatni renowator krzyża pan Grzegorz Balcerak, a także ówczesny burmistrz pobliskiego miasta Kargowa. Przybyli, by odsłonić tabliczkę ufundowaną przez wnuka Stanisława i Moniki. Pomysłodawczynią upamiętnienia była druga żona mojego ojca, Anna, którą poślubił po śmierci mojej mamy. Każdy, kto dziś zatrzyma się przy karszyńskim krzyżu, może przeczytać: „W tym miejscu, podczas Pierwszej Wojny Światowej, Monika Brzózka, czekając na powrót z niewoli rosyjskiej męża Stanisława, postawiła dębowy krzyż. Stanisław wrócił, a Krzyż Brzózków, choć nie ten sam, pozostał jako symbol wiary, nadziei i miłości”. Tak oto, po niemal stu latach historia postawiła kropkę.

 Łukasz Witkiewicz

Niechciane nazwy ulic w Regionie Kozła

Sprawa nazewnictwa ulic jest dużo ważniejsza niż to się na pozór wydaje. Nazwa może bowiem wyrażać treści, które w danym momencie dziejów niekoniecznie są dla wszystkich zrozumiałe (przykładem dawna ul. Skoczna w Babimoście). Istotne jest jednak, że miana traktów, uliczek, placów, zaułków – po latach – mogą łączyć się z określoną epoką, mówić o czasach minionych oraz społecznych lub politycznych preferencjach instytucji i ludzi. Warto też wiedzieć, że nazwa im starsza, tym bywa dostojniejsza i bardziej znacząca dla potomnych, nawet jeśli jest to tylko banalna ulica Kozia, Poczтовая, Szewska, Kościelna czy Szkolna. Pokazuje bowiem w sposób wyraźny historię danego zakątka miasta, jego funkcje w przeszłości, mówi o zakorzenieniu w historii danej miejscowości i jej określonego fyrtila. Szkoły, poczty lub kościoła dawno już może nie będzie, ale pamięć o nich zachowa się w ulicznym zapisie. O takie właśnie treści w przestrzeni publicznej – widoczne na zielonych, niebieskich czy innych tabliczkach – należałoby szczególnie dbać i je pielęgnować.

Co jeszcze wypadaloby wiedzieć? Że najdłużej trwają (i przechodzą do historii) te miana ulic, które są najczęściej używane. Noszą je zaułki i uliczki na starym mieście, przy głównej

arterii, a często także trakty wylotowe. Długo trwają ponadto określenia związane z miejscami będącymi ważnymi adresami. To „adresowe zaczepienie” bywa bardzo istotne, gdyż ronda „imienia”, zielone skwery z bohaterскими nazwiskami albo zaułki, przy których nikt nie mieszka, mogą niestety z czasem pójść w zapomnienie. Nieużywane nazwy – przepadają! Dobrze zatem, jeśli adres nie zmienia się przy łada pogodzie (politycznej), zwłaszcza gdy mieści się przy nim poważny urząd, placówka państwowa, istotny lokal publiczny. Wtedy takie miejsce jest łatwo identyfikowalne, od razu kojarzone przez (kolejne pokolenia) miejscowych, a po latach może być pomocne historykom w określeniu jakichś zdarzeń, w odnajdywaniu innych obiektów, adresów, postaci.

Wiemy, iż miana ulic bywają – niestety – często poddawane mechanizmom manipulacji politycznych. Nie zmienia się to mimo upływu kolejnych epok historycznych. Trudno bez dogłębnych studiów porównać, jak różnorakie procesy polityczne oddziałują na nazwy w sąsiednich krajach, ale zdaje się, iż Polska jest na ten mechanizm szczególnie podatna. W Paryżu wciąż istnieje ulica lub aleja Obrońców Stalingradu, co w naszym kraju jest dziś wręcz niewyobrażalne. Berlin nie wypiera się Karola Mark-

sa czy Róży Luksemburg. Po prostu patronują ulicom, bo byli częścią historii miasta lub państwa. To tylko dwa drobne przykłady, choć można je pomnożyć. Zejdźmy jednak z poziomu europejskich stolic do prowincjonalnej Polski i do stolic Regionu Kozła. Tutaj, w wyniku zmian politycznych w kraju, narzucono lokalnym samorządom konieczność usunięcia z tabliczek nazwisk patronów wcześniejszej epoki i zasugerowano (żeby nie powiedzieć – narzucono) innych. Niekoniecznie przez lokalną społeczność akceptowanych. Dobrze zatem – w tym kontekście – się stało, że w Babimoście po ostatnich czystkach politycznych na placach i ulicach przynajmniej ocalał Jurij Gagarin, który przecież wylądował na lotnisku w Nowym Kramsku. A jak to wyglądało gdzieś indziej?

Lecz nie to jest głównym tematem tych rozważań. Idzie o istnienie w Regionie Kozła – a raczej brak – takich nazw ulic, które integrowałyby ów obszar i wskazywały na wzajemny szacunek i pozytywne relacje wchodzących w jego skład sześciu samorządów. Czyli rzecz w nadawaniu – przy okazji powstania nowych osiedli i traktów miejskich w jakiejś miejscowości – nazw związanych z pozostałymi pięcioma gminami (lub miastami). Wydaje się, iż to nie powinien być problem, ale z jakichś powodów jest. Zbadajmy obecną sytuację. Zaczniemy od północy Regionu. Istnieje w Trzcielu ul. Zbąszyńska, jednak trudno byłoby znaleźć

w Zbąszyniu Trzcielską (za Niemca ul. Trzcielską była obecna Graniczna). Na ul. Zbąszyńskiej wyczerpuje się w mieście Trzciel nazewnictwo związane z samorządami z RK. Czy nie można by – gdy pojawi się okazja w postaci nowych ulic – usatysfakcjonować zaprzyjaźnionych (miejmy nadzieję) miejscowości ich nazwami?

W Zbąszyniu (a właściwie w Nądni) są wprawdzie ulice: Dąbrowiecka, Chlastawska, Kosieczynska, Kramska, jednak żadne miasto RK „nie dostało zaszczytu” posiadania w grodzie Zbąskich „swojego” traktu. Dlaczego nie uczyniono takiego gestu? W Zbąszynku istnieje wprawdzie ul. Zbąszyńska, lecz na tym określeniu się kończy inwencja lokalnej społeczności i władz. Podobnie jest w przypadku Kargowej i Babimostu. Drogi wylotowe z tych gminnych stolic noszą miana związane z ośrodkiem położonym na końcu drogi nr 313; czyli w jednym jest ul. Babimojska, w drugim Kargowska, lecz to była inicjatywa sprzed wielu dekad, zanim powstał Region Kozła, a może nawet jest to automatyczne tłumaczenie dawnych niemieckich nazw. Siedlec ma („od wieków”) ul. Zbąszyńską. Nawet mieści się przy niej siedziba władz, zwana Starym Browarem. Lecz w Zbąszyniu nie dojrzy się ul. Siedleckiej.

Ten opór władz samorządowych, rajców i urzędników, jak też brak oddolnych inicjatyw, żeby uhonorować sąsiada – pobliską gminę, jej stolicę – jest niezrozumiały. Wygląda wręcz jak niechęć – o czym w prasie

pisano niejedną raz – do podkreślania dobrych kontaktów z gminami połączonymi w ramach RK. Odnosi się też wrażenie, że poszczególne samorządy niechętnie przyznają się do oficjalnej przynależności do Regionu Kozła. Tylko w Przyprostyni istnieje mało ważna osiedlowa uliczka Kozłarska. I Klarinetowa (brakuje Skrzypcowej, żeby powstała kapela). Tylko w Babińcu jest (wymuszony przez wielkiego miłośnika folkloru Zbigniewa Skoczylasa) Skwer Muzyków Ludowych (szkoda, że nie kozłarzy). I tylko w Zbąszynku powstał Skwer Tomasza Kotkowiaka z tablicą upamiętniającą tę ważną postać. W tej gminie jeszcze dochodzi nazwa – ustalona w konkursie prasowym – Jezioro Kozłarskie. Dodać wypada ulice regionalistów i folklorystów – Antoniny Woźnej, Antoniego Janiszewskiego i Tomasza Śliwy na os. Przysiółki w Zbąszyniu. Woźna ponadto jest patronką szkoły w Przyprostyni i ma przed budynkiem swe popiersie. I to wszystko!

A przecież łatwo byłoby sięgnąć do książek i publikacji wydawanych przez RK, gdzie wymieniane są na pęczki (za przeproszeniem) nazwiska wybitnych kozłarzy i dudziarzy. W cyklu wydawnictw „Portrety Regionu” znajdują się nie tylko biografie znakomitych folklorystów, muzyków lub budowniczych kozłów, ale też ich zdjęcia. Czyż

te osobowości nie powinny zostać upamiętnione na ulicach?! Czy określenia ulic: Liściasta, Mirabelkowa, Renklodowa, Projektowana są lepsze niż Hirta, Brudły, Prządki, Domagały, Modrzyka, Skotarczyka, Łakomego, Żoka, Rybickiego, Rabiegi?! Tym bardziej że w niektórych wypadkach władze potrafią się ustawić pod pewne „zamówienia”, niekoniecznie społeczne, raczej kapitalistyczne. W pobliżu przedsiębiorstwa IKEA raptem pojawia się ul. Szwedzka. Upamiętnia się na rondach postaci zasłużone dla kapitału. Dlaczego nie dla Regionu? Zamiast upamiętniania regionalistów, postaci historycznych, dawnych starostów, kasztelanów, powstają uliczki, których nazwy brane są „z czapy”, jak wymienione wyżej – Renklodowa lub kuriozalna Projektowana.

Aktualny wykaz najczęściej nadawanych nazw ulic w Polsce mówi, iż mamy: na pierwszym miejscu – 3515 ulic Leśnych, 3432 ulice Polne, 2935 ulic Słonecznych, 2520 ul. Krótkich, 2382 ul. Ogrodowe, 2378 ul. Szkolnych, 1973 ul. Brzozowych, 1935 ul. Lipowych, 1876 ul. Sosnowych, 1780 ul. Kwiatowych. Proszę bardzo, to „światna” ściągą dla samorządów sześciu gmin. Jest z czego korzystać. Powodzenia!

 **Franciszek Stroński**

Przygotowując do druku niniejszy numer „Szkiców Nadobrzańskich” zwróciliśmy się do wielu osób rozsianych po kraju i świecie, a wywodzących się z gmin Regionu Kozła, z prośbą o wypowiedź. Zależało nam na głosach, które odpowiadałyby na pytanie: co Państwa (wciąż) przyciąga w rodzinne strony. Czy to jest sentyment, wspomnienia, czy mieszkająca jeszcze rodzina lub może jakieś konkretne sprawy (dom, mieszkanie, chęć zobaczenia zmian w swojej małej ojczyźnie; w tym kontekście dobrze by było precyzyjniej nazwać te zmiany, ocenić ich walory). A może jest odwrotnie – są kwestie, które odpychają, nie zachęcają wręcz do odwiedzin i utrzymywania więzów. Warto byłoby je określić. Każda wypowiedź będzie istotna.

Odpowiedziało w sumie niewiele osób, ale ich głosy wydały się nam na tyle ciekawe, że zamieszczamy je poniżej.

(red.)

Coś się nam udało

Z Regionem Kozła łączy mnie wiele wspomnień. Jako burmistrz Trzciela byłem jego współzałożycielem. Wspominam te rozmowy na temat idei powołania stowarzyszenia, które swym zasięgiem obejmowałoby kilka gmin na pograniczu trzech ówczesnych województw – zielonogórskiego, gorzowskiego i poznańskiego, na terenie których próbowano wrócić do wspólnych tradycji, kultury, krzewienia współpracy w obszarze edukacji, organizacji pozarządowych oraz gospodarki. Pamiętam rozmowy ze znanymi i szanowanymi wówczas politykami, a przede wszystkim ludźmi o ogromnej kulturze osobistej, doświadczeniu i umiejętności zjednywania ludzi do wspólnych działań. Byli

to między innymi Zbyszko Piwoński – kurator oświaty, wojewoda zielonogórski, senator RP, Zdzisław Jarmużek – wybitny lekarz psychiatrii, współzałożyciel Lubuskiego Stowarzyszenia Pomocy Szkole, senator RP, czy też Jolanta Danielak – psycholog, działaczka społeczna, senator RP. To oni utwierdzali nas w przekonaniu, że warto podejmować niekonwencjonalne inicjatywy mające na celu aktywizację lokalnej społeczności.

Często podkreślam, że mogę się czuć prawdziwym Lubuszaninem, bowiem urodziłem się w Rogozińcu (gmina Zbąszynek, dawne województwo zielonogórskie). Tam mieszkałem 25 lat, tam mam pochowanych rodziców na cmentarzu komunalnym, tam

też należę od ponad 55 lat do jednostki Ochotniczej Straży Pożarnej. Stąd też często odwiedzam moją rodziną wieś, nie zapominając o wsparciu mieszkańców znajdujących się w trudnej sytuacji materialnej. Następnie przez 23 lat pracowałem i mieszkalem w Trzcielu (wtedy województwo gorzowskie), a po reformie administracji samorządowej, w wyniku której powstało województwo lubuskie, mieszkam w Zielonej Górze.

Z Trzciela wyjechałem 25 lat temu, obejmując funkcję wicemarszałka województwa lubuskiego oraz radnego województwa lubuskiego, którym jestem do dzisiaj. Często wracam do Trzciela z ogromnym sentymentem. Znam tam wielu wspaniałych ludzi, z którymi lubię nie tylko powspominać stare dzieje, ale również porozmawiać o przyszłości, o ich potrzebach, o problemach, z którymi boryka się trzecielski samorząd. W okresie mojego burmistrzowania udało się zrealizować wiele ważnych inwestycji, takich jak chociażby oczyszczalnia ścieków, pierwsze kolektory kanalizacyjne, stacja uzdatniania wody wraz z budową sieci wodociągowej, budowa szkoły podstawowej w Brójcach i rozbudowa szkoły w Trzcielu, remonty dróg gminnych, czy uporządkowanie cmentarzy z budową kaplicy w Trzcielu. Pamiętać przy tym należy, że wówczas nie było jeszcze środków wsparcia Unii Europejskiej ani wsparcia z budżetu państwa, które dzisiaj pozwalają na uzyskanie ogromnego dofinansowania do realizowanych inwestycji. Pamiętam,

jak z Romualdem Szczepaniakiem, ówczesnym burmistrzem Zbąszynia podjęliśmy – wydawałoby się karkołomne – przedsięwzięcie związane z lokalizacją węzła autostradowego w Trzcielu na planowanej budowie autostrady A2. To co wydawało się niemożliwe, stało się faktem w 2011 roku. Podjąłem również starania o opracowanie koncepcji tzw. dużej obwodnicy Regionu Kozła, która miała na celu nie tylko wyprowadzenie ruchu poza obszar zabudowany, ale również bezkolizyjne połączenie właśnie z węzłem autostradowym w Trzcielu oraz rozwiązanie trudnego układu komunikacyjnego w Zbąszyniu. Niestety, tym przedsięwzięciem nie był zainteresowany samorząd wielkopolski, ale chyba też nie było większych nacisków ze strony władz regionalnych. Niemniej dzięki uporczywości i konsekwencji burmistrzów Babimostu i Zbąszynka, w końcowej fazie znajduje się budowa małej obwodnicy.

Obserwując rozwój poszczególnych samorządów członkowskich Regionu Kozła, odnoszę wrażenie, że samorząd trzecielski nie w pełni wykorzystuje swój potencjał. Myślę, że w większym stopniu może sięgać po środki finansowe z programów Unii Europejskiej i budżetu państwa. Mam nadzieję, że kolejna inicjatywa wybudowania obwodnicy Trzciela łączącej węzeł autostradowy A2 z drogą krajową nr 92 doprowadzona zostanie do końca. Są podpisane stosowne porozumienia, jest rozpisany montaż finansowy, stąd też mam nadzieję, że

tą obwodnicą pojedziemy do końca 2026 roku. Takie rozwiązanie niewątpliwie spowoduje, że gmina Trzciel i nie tylko, stanie się atrakcyjna

dla wielu potencjalnych inwestorów, których tak dzisiaj brakuje.

 **Edward Fedko**

Edward Fedko, rocznik 1954, w przeszłości radny i burmistrz Trzciela (1990-98), wice-marszałek województwa lubuskiego (1999-2006), radny województwa lubuskiego (1999 roku do dziś), prezes Zarządu Wojewódzkiego Związku OSP RP Województwa Lubuskiego (od 2002 roku). Wykształcenie wyższe politologiczne: podyplomowe studia na Wydziale Prawa i Administracji UAM w Poznaniu oraz w Wyższej Szkole Humanistycznej w Pułtusku w zakresie współpracy międzynarodowej.

Chodź, stworzymy poezję (uwagi napisane w pozycji leżącej)

*Chodź, stworzymy poezję,
Która niczego nie wie,
A mówi o wszystkim*

Eugenio Montale z wiersza
„Suonatina di piano forte”

Na szybkie – reporterskie pytanie – z czym kojarzy mi się Region Kozła, odpowiedziałbym, że z lasami, jeziorami i... Eksperymentem. Eksperyment jest corocznym międzynarodowym spotkaniem artystów dziejącym się od ponad 20 lat w Zbąszyniu pod czujnym okiem jego twórcy – Ireneusza Solarka. Celowo podaję informację o trwaniu Eksperymentu raczej nieprecyzyjnie, gdyż nie jest moim celem skupiać się na (niewątpliwie fascynującej) jego historii. Jak sądzę, takie opracowania będą się pojawiać,

bo jest o czym pisać. To fenomen, który wielokrotnie już sam z zachwytem opisywałem – łatwo dostępnym przykład podam poniżej. Sam mam z Eksperymentem porachunki prywatne, gdyż w jakiś sposób zdecydował, że od 20 lat wakacje spędzam w Zbąszyniu. Jest to rodzaj „stacjonarności”, w którą przed tymi 20 laty bym nie uwierzył. Dodatkowo odnajduję tu osobisty element optymistyczny – sprowadzający się do hasła, że „jak człowiek odpowiednio długo się kręci, to się w końcu wkręci”. Zasada optymistyczna, ale przestrzegałbym przed uzasadnianiem ogólnej zasady przypadkiem indywidualnym (tu: moim). To powszechnie popełniany błąd, ale obowiązuje reguła Gombrowicza o nożu i rybie: skoro

już wiemy, że to błąd, to możemy już go spokojnie popełniać.

Wracając do wkręcenia – w roku 2022 Experyment miał za temat hasło „Bezkręś – infiniti”. Ta angielska część tytułu w pełni uzasadniała moją czynną obecność. Kto, jak nie zawodowy, akademicki matematyk miałby mówić o nieskończoności? No i I. Solarek zaprosił mnie (czyli „wkręcenie” nie było nazbyt nachalne). Był to jednak niewątpliwy akt odwagi ze strony Organizatora. Wprowadzie Experyment, jak sama nazwa wskazuje, jest (i powinien być) akcją otwartą, ale nie trzeba dużej przenikliwości, by zauważyć, że odróżniam się od statystycznego profilu uczestnika. Jako typowy przedstawiciel mojej dziedziny, jestem konkretny, skupiony, nieufny i wątpiacy. Wszak „pochodzę” od Kartezjusza i mam głęboko w swojej mentalności, że należy wątpić („De omnibus dubitandum est”). Czyli reprezentuję profil dokładnie przeciwny do statystycznego: przeciwny w sensie „- / +”. W każdym razie wykład się w owym 2022 roku odbył, a moje wynurzenia jego dotyczące opublikowałem w czasopiśmie popularnym (a więc nie należy się pochopnie przerażać treścią) „Delta”. Artykuł dostępny jest on-line (dla wszystkich chętnych) pod adresem: <https://www.deltami.edu.pl/2023a/08/2023-08-delta-art-01-lachowicz.pdf>

Warto zwrócić uwagę na zdjęcie wykonane przez fenomenalną Dorotę Bulińską, na którym można zobaczyć

plakat tego Experymentu (zaprojektowany przez Przemysława Szydlowskiego – dla mnie mistrzostwo świata!), oraz – istotny element wykładu w Zbąszyniu – papierową wstęgę Möbiusa, jedną z wielu pracowicie posklejanych przez moją żonę Kasie. Można też zobaczyć piękną grafikę z lat 80. z ludzikiem chodzącym po wstędze Möbiusa – nieoficjalne logo Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki UW z tamtych czasów. Takie sobie chodzenie po wstędze Möbiusa (nieskończoności) wyszło z mody.

Wykład więc odbył się i został dobrze przyjęty przez zgromadzoną publiczność. W każdym razie Organizator zaproponował „bis” w roku następnym.

Experyment w roku 2023 miał tytuł „Oderwanie”.



Plakat również został zaprojektowany przez niezawodnego P. Szydłowskiego. Skoro tytułem jest oderwanie (my, matematycy, przejmujemy się tytułami), to pomyślałem sobie, że jest jakaś granica, a następnie jej przekroczenie. Jest w tym trochę gry słowem, które ma różne znaczenia, ale ostatecznie tytuł wykładu wyszedł mi „Lim” – czyli *limes*, czyli granica.

Na załączonym **poniżej** zdjęciu zadaję pewne fundamentalne pytania, zwalając trochę na Paula Gauguina i jego słynny obraz, a dokładniej na tytuł tego obrazu. Podkreślię, że w tym czasie mam na sobie (widoczną na zdjęciu) koszulę wyprodukowaną przez zakłady ZPO „Romeo” Zbąszczyń...



Według mojej oceny koszula (nadal biała) może mieć około 50 lat. Gdyż tylko przed 50 laty można było

ją po prostu kupić w sklepie. Losy tej koszuli są jednak dla mnie zagadką.



Prof. Mirosław Lachowicz w trakcie wykładu podczas Festiwalu Experyment. Na sobie ma koszulę wyprodukowaną przez „Romeo” Zbąszczyń. Na zdjęciu obok – metki z teje koszuli.

Gdyby tytuł obrazu Gauguina uznać za trzy fundamentalne pytania, to w zasadzie można by było na każde z nich w miarę precyzyjnie odpowiedzieć. Choć nie wiadomo, czy odpowiedzi satysfakcjonowałyby twórcę. Byłby to jednak temat na zupełnie inny cykl wykładów. Następnie dodałem popularne (ale raczej nie w Polsce) zdanie o rodowodzie średniowiecznym:

„Przychodzę, nie wiem skąd.

Jestem. Nie wiem kim.

Umrę, nie wiem kiedy.

Idę. Nie wiem dokąd.

Dziwię się, że potrafię być radosny”.

Zdanie to przytacza Karl Theodor Jaspers (1883-1969), psychiatra i filo-

zof, przedstawiciel egzystencjalizmu, w książce „Wiara filozoficzna wobec objawienia”. Na pierwszy rzut oka można to zdanie uznać za skrajnie ponure, ale wcale tak nie jest. Potrafię być radosny! Choć nie wiem dlaczego. Próbowałem to zdanie unowocześnić i wyszło mi (dużo oczywiście gorzej i bardziej pesymistycznie):

„Przychodzę, nie wiem skąd.

Jestem. Nie. wiem kim.

Umrę, nie wiem kiedy.

Idę. Nie wiem dokąd.

Dziwię się, że potrafię przestać się śmiać”.

To nawiązuje do mojego ulubionego cytatu z nieprzetłumaczonej (na razie?) na język polski książki „Prima che tu dica »Pronto«” włoskiego pisarza Italo Calvino (1923-1985):

„Zatrzymałem się, otworzyłem szeroko oczy; nie rozumiałem niczego.

Niczego, niczego z wszystkiego: nie rozumiałem przyczyn, ludzi, wszystko było bez sensu, absurdalne.

I wtedy zacząłem się śmiać.”

Owo „otwarcie szeroko oczu” może nawiązywać do Kartezjusza i jego rady, aby refleksje o świecie rozpocząć po zamknięciu oczu i odwołaniu się do tego, co jest niewątpliwe w nas.

Jak sobie dać radę w tym pomieszaniu, zagubieniu i niepewności? Mam nadzieję, że nikt nie oczekiwał, że 21 lipca 2023, o godzinie 18.00, na Rynku w Zbąszyniu rozwiązę takie problemy raz na zawsze dla ludzkości. Porozmawiać o drodze jednak mogłem.

Nawiązałem do pomysłu syntezy nauki i sztuki. Pierwszy problem, jaki się tu pojawia, to wieloznaczność słowa *nauka* w języku polskim. Może to słowo oznaczać „proces poznawania świata” (i to jest ten sens, który mi pasuje), ale również proces męki edukacji szkolnej (gdzie bardziej chodzi o przystosowanie „*elementu*” do otaczającego świata). Po angielsku jest lepiej – *science* – nie budzi wątpliwości. No, ale bawimy się zabawkami, którymi dysponujemy.

O takiej syntezie pisał np. Edward Stachura w „Wszystko jest poezja” w fenomenalnych dyskusjach z biofizykiem. Biofizykiem (Stachura konsekwentnie używa formy męskiej) była pani Barbara Czochralska (1928-2020), profesor chemii z Uniwersytetu Warszawskiego, która historię znajomości ze Stedem przedstawiła w książce „Ktoś spoza planety: spotkanie z Edwardem Stachurą”. Z książki „Wszystko jest poezja” pochodzi bardzo trafne określenie nauki (rozumianej jako *science*). Z powodu ograniczonego miejsca zacytuję tylko końcówkę tych rozważań: „Można również nazwać naukę zamglonym okiem świata”.

Dlaczego warto szukać takiej syntezy? Zarówno sztuka, jak i nauka, przetwarzają naszą wiedzę, nasze doświadczenia i nasze intuicje dotyczące świata. Przetwarzają w zupełnie inny sposób zapewne także inne elementy rzeczywistości. Niemniej mogą się dopełniać. Warto więc poszukiwać.

Ktoś może zadać pytanie, czy są istotne przykłady powiązań sztuki i nauki. Takich przykładów jest bardzo dużo i wskazują, że przenikania mogą być bardzo głębokie. To był temat mojego wykładu na Experymencie w 2023 roku.

Niestety powtórzenie tych rozważań przekracza znacznie rozsądne rozmiary tego artykułu. Rozmiary marginesu są zbyt małe, bym mógł to zmieścić (ten „dowcip” jest zrozumiałe tylko dla tych osób, które znają historię Wielkiego Twierdzenia Fermata).

Zainteresowane czytelniczki i zainteresowanych czytelników zachęcam do własnych poszukiwań, których efekty będą, zapewne, bardziej wartościowe niż moje wynurzenia. W razie sukcesu – prośba o kontakt.

Kończę zdjęciami ze spektaklu teatru „Terminus A Quo” z Nowej Soli, którego jestem wiernym kibicem. Spektakl ten zamknął Experiment

2023. Zarówno spektakl, jak i zdjęcia (choć całkowicie amatorskie), wyrażają istotę naszych czasów.



 **Mirosław Lachowicz**

Mirosław Lachowicz, prof. zw. matematyki (od 2004), Uniwersytet Warszawski, badania naukowe w matematyce stosowanej, w szczególności opis zjawisk fizycznych, biologicznych, medycznych, a nawet społecznych za pomocą modeli (równań) matematycznych. Wykładał między innymi na uniwersytetach włoskich (Rzym, Genua, Mediolan, Udine, Mesyna, Politechnika w Turynie), RPA (był honorowym profesorem w Uniwersytecie KwaZulu-Natal w Durbanie, Pretoria, Stellenbosch). Od dziecka związany ze Zbąszyniem.

Na obrzeżach Obry i Obrzyca

*Nazwy rzek jeszcze tobie zostały.
Jakże długo umięją trwać rzeki...*

Cz. Miłosz

Nazwy rzek jeszcze tylko zostały...

Dojca, Paklica, Obrzyca, a pomiędzy nimi czy raczej ponad nimi – Obra. Natomiast zmianie, i to kilkakrotnej, uległy historyczne nazwy ulic. W Babimoście główna ulica, bo prowadząca na Rynek i do kościoła, nazywała się (po polsku i po niemiecku) ul. Brójecka – Brätz/Broitzestrasse. Jej przebieg odtwarzał kierunek dawnego traktu północ – południe. W połowie lat pięćdziesiątych XX wieku zmieniono nazwę na Świerczewskiego, teraz mamy Piłsudskiego. W latach szkolnych, ulubionym miejscem zabaw mojej tzw. ecki była ulica – nomen omen – Skoczna. Grając w piłkę, palanta i skacząc, oczywiście nie byliśmy świadomi tego, że – według legend – tą ulicą płynęła kiedyś krew polskich dzieci, którym Szwedzi ponoć kazali skakać przez rapiery...

W tym roku odwiedziłem Brójce i zostałem zaskoczony, i to dwakroć. Przez ponad pięćset lat miasto, dziś tylko wieś, ale ciągle urokliwa miejscowość, stała się skansenem architektury małomiejskiej, bez modernistycznego wysadzania się, bez wpływu pseudo-Bauhausu (którego bloki zeszpeciły babimojski rynek). Ciekawe, że Brójce, będąc – jak Babimost – królewską komorą celną, mają identycz-

ny herb, co potwierdza dawną więź obu miast, które strzegły zachodniej granicy Wielkopolski. Sądzę, że można by znaleźć jeszcze więcej powodów uzasadniających afiliowanie Brójec do Regionu Kozła.

Region Kozła, co ciekawe, nazwę wziął od instrumentu muzycznego, ale nie jest nim forminga/lira ani też trąbita, i z tego powodu nasuwają się ciekawe analogie i parantele (o czym niżej). Kozioł swym brzmieniem przypomina kornet, ale zupełnie wyjątkowy jest tu nie dźwięk, ale jego **organiczność**. Na tę unikatową cechę składają się: naturalne tworzywo, zewnętrzne podobieństwo do kozła i dźwięk wydobywający się z piszczałek stroikowych. Świst powietrza wydobywającego się z miechów i powodujący wibrację stroika w piszczałce to przecież opis organów.

Instrument – orkiestra. Paradny wystrój kozła podnosił rangę uroczystości i nadawał obrzędowości ludowej (podkoziołek, zapusty) oryginalną oprawę muzyczną, a rytmiczna modulacja dźwięków porywała do tańca. Notabene u F. Nietzschego („Narodzinny tragedii z ducha muzyki”) czytamy, że tancerze świętujący obchody Dionizjów odziani byli w kozłęcę skóry. Zadziwiająca parantela, która jednak coś tłumaczy. W wiejskich zagrodach, ale i małomiejskich podwórkach ro-

ilo się od różnych zwierząt, ale to kozioł dostąpił aż takiego zaszczytnego wyróżnienia („suka” biłgorajska nie przebiła się na ponadlokalny poziom kultury). A do tego jeszcze kozioł ofiarny René Girarda...

Mój osobisty kontakt z Regionem Kozła zakończył się ewidentną porażką, więc to opiszę. Działo się to w roku 2014, kiedy jako prezes Fundacji Pogranicza Zachodniego BabiMost złożyłem w biurze stowarzyszenia w Kargowej opracowany niemalym nakładem czasu i sił wniosek w konkursie na małe projekty, ogłoszonym przez Lokalną Grupę Działania Regionu Kozła. Ubiegaliśmy się o dofinansowanie projektu dotyczącego stworzenia i udostępnienia Izby Rękodzieła Artystycznego w Kuligowie (babimojskim przysiółku). Powód był dwojaki: po pierwsze, chcieliśmy w ten sposób uczcić 200 lat istnienia nowego Kuligowa (nowego, bowiem jak twierdzi A. Waberski, znawca historii Babimojszczyzny, w 1814 roku drewniana zabudowa Kuligowa doszczętnie spłonęła). Powód drugi – chcieliśmy udostępnić do zwiedzania zbiory zgromadzone przez lata. Nasz projekt uzyskał 50 pkt. i zostaliśmy wycięci przez dwa wnioski złożone przez Urząd Miejski w Babimoście. Jeden dotyczył wydania folderu informacyjno-promocyjnego (63 pkt) za kwotę, bagatela, 23 200 zł. Tu na marginesie dodam, że dziesięć lat temu za pięć tysięcy zł można było

wydać książkę o objętości 10 arkuszy wydawniczych. Wniosek drugi – Jarmark bożonarodzeniowy (60 pkt) nagrodzono kwotą 19 059,84 zł. Chociaż – tak jak niemiecki Weihnachtsmarkt – była to impreza czysto komercyjna (nikt nie polewał grzańca gratis).

Dziwiliśmy się, że nikt z nami się nie skontaktował, nie zwizytował miejsca i nie chciał poznać oryginalności pomysłu, ale kiedy ogłoszono wyniki konkursu – wszystko stało się zrozumiałe. Z tego kontaktu wywnioskowałem, że Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania Regionu Kozła – to bardzo intratna przybudówka – ale dla administracji lokalnej.

Województwo – to nie region. Gmina – to nie tylko podstawowa jednostka administracyjna, ale źródłowo i etymologicznie Gemeinde (niem.), czyli wspólnota lokalna. Jest zatem przestrzeń fizyczna, rejon administracyjny, ale są też obszary wyodrębniane wedle innych kryteriów. Powierzchnia wydzielona administracyjnie i geograficznie wypełniona jest ludnością, ale jak nazwać mieszkańca regionu, wspólnoty lokalnej? Jest wiele różnych określeń: autochton, ziomek albo w nowomodnym żargonie – ziomal lub lokals. Kiedy w połowie lat siedemdziesiątych XX w. prowadziłem badania (z regionalistyki) na Ziemi Sądeckiej, natrafiłem na stosowane tam inne odpowiedniki tych określeń. W użyciu było rozróżnienie: ptoki,

adversus krzoki. Jak mi wyjaśniano, to krzoki sprawiają, że zieleni się i rozkwita sądecka mała ojczyzna. Wraz z powyższym odróżnieniem pojawia się fundamentalna kwestia zakorzenienia, czyli problem: jak sprawić, aby nie tylko pojawiły się nowe nasadzenia, ale – co ważniejsze – by krzoki nie odleciały hen jak ptoki. Kiedy poznałem na wylot mechanizm funkcjonowania nauki, postanowiłem zostać krzokiem. Oczywiście nie mam zamiaru snuć teorii dotyczących zakorzenienia i sposobów budowania tożsamości indywidualnej czy zbiorowej. Ograniczę się jedynie do dwu kwestii: założenia i podania przykładów pochodzących z naszej Heimat (niem.) [małej ojczyzny – red.].

Odnosnie do założenia, jakie bez zbędnego dowodzenia przyjmuję, to po pierwsze, dochodzenie do jednostkowej tożsamości wymaga instytucjonalnego wsparcia. Aby obowiązek budowania tożsamości dokonywał się przez zakorzenienie, konieczna jest współpraca rodziny, szkoły, samorządu terytorialnego i Kościoła. A teraz kolej na dwa przykłady obrazujące, jak proces zakorzenienia aktualnie przebiega w Regionie Kozła. Ksiądz proboszcz mojej babimojskiej parafii ogłosił konkurs na najpiękniejszą palmę wielkanocną dla dzieci i młodzieży. Zaiste godna uznania inicjatywa. W Niedzielę Palmową będzie można owe palmy kupić, a dochód pochodzący z ich sprzedaży zostanie przeznaczony na wyjazd uczestników konkursu do...

No właśnie, dokąd? Do Międzyrzecza, gdzie w 1003 roku, w tamtejszym klasztorze benedyktyńskim ofiarę śmierci złożyło „pięciu braci męczenników” (pierwsi w Polsce błogosławieni męczennicy). Gdzie znajduje się dziś jedno z ciekawszych muzeów regionalnych z bogatą kolekcją portretów trumiennych. A może do Gniezna albo na Ostrów Lednicki? Otóż nic z tych rzeczy, żadna z tych historycznych „ramot” nie zasługuje na wyróżnienie nagrodą. Palma pierwszeństwa przypadła największej atrakcji Ziemi Lubuskiej, jaką jest Majaland – park rozrywki (sic). Przykład drugi. Opowiada mi nauczycielka szkoły podstawowej z Regionu Kozła, że na koniec roku szkolnego, jako wychowawczyni, chciała wycieczkę klasowa zorganizować do Krakowa, ale napotkała zdecydowany opór rodziców. „Coś takiego, do Poznania i Krakowa to myśmy jeździli za komuny, a teraz żyjemy w innych czasach...”, więc biuro podróży, na życzenie rodziców, zorganizowało wycieczkę do Pragi. Zrozumiała jest rzecz, że proboszcz musi również uwzględniać turystyczne preferencje, żeby zupełnie nie stracić kontaktu z młodzieżą, która szerokim łukiem zaczyna omijać kościół. A co mogą nauczyciele?

Żyjemy w zglobalizowanym świecie, przemieszczając się w nim niczym plemiona nomadów. To, że ktoś ucieka z wielkiego miasta i buduje dom

w zlewisku Obry, wcale nie oznacza, że zapuści korzenie i stanie się krzakiem. Identyfikacja z prowincją jest czymś degradującym kulturalnie i towarzysko. Dlatego pojawiło się „plemię anywheres”, czyli ludzie znikąd, którzy deklarują swoją przynależność do efemerycznych grup społecznościowych osadzonych w medialnej chmurze.

Brak pietyzmu dla pamiątek i pomników historii, dla autentycznej spuścizny pozostawionej przez przodków spowodował niemałe spustoszenie. Poznikały toposy – owe „czakramy” pozwalające sycić się historią, identyfikować z czymś ważnym dla trwania wspólnoty. Z kulturowych „pustostanów” nie zrodzi się więź emocjonalna ze swoją małą ojczyzną. Proces zakorzenienia został zaburzony również z tego powodu, że administracja terenowa obrała inne cele, wyprowadzone z błędnie rozumianej nowoczesności i krótkowzrocznej modernizacji. A konkretnie, jakie? Odpowiedź dosłownie leży na ulicy. Wystarczy przejść się po Babimostcie: granitowe krawężniki, na rynku podświetlane ledami drzewa, nasadzone w miejsce rosnących tam wcześniej jarzębin, hala targowa i sportowa – ta ostatnia „wizytówka” Babimostu eksponowana na billboardach wjazdowych do miasta. Tyle że „kultura fizyczna” tyle ma wspólnego z kulturą, co „kultura techniczna”, albowiem kultura to Geistkultur. A piszę to słowo

od dużej litery nie tylko dlatego, że jest to rzeczownik niemiecki, ale ponieważ znaczy: *cultura animi* (kultura uduchowiona).

Babimost – jako najbardziej na zachód wysunięty przyczółek Wielkopolski – historia wyposażyła w trzy zespoły zabytków, każdy z nich o sakralnym charakterze (była też bóżnica, ale jej adaptacja w latach pięćdziesiątych na kino zupełnie pozbawiła obiekt walorów estetycznych). Dwa zespoły zabytków (kościół pw. św. Wawrzyńca wraz z organistówką oraz lokalna nekropolia z kaplicą św. Jacka) są we władaniu parafii rzymskokatolickiej, natomiast trzeci zabytkowy zespół, czyli poewangelicki zbór (1782-1790) i dom pastora – z powodu braku zarządcy ulega systematycznej dewastacji. A trzeba podkreślić, że tworzą one wręcz podręcznikowy przykład architektury sakralnej wyznania luterńskiego. Niszczyje nie tylko kościół, ale w wyniku samowolki budowlanej – dosłownie na oczach administracji samorządowej – zdewastowany został dom pastora, tworzący ze zborem integralną i stylistyczną całość.

Uważam to za empiryczny dowód na to, ku czemu zmierza kultura na szczeblu lokalnym. W przewodniku S. Kowalskiego „Zabytki województwa zielonogórskiego” czytam: „Dawny kościół ewangelicki, obecnie remontowany z przeznaczeniem na muzeum regionalne”. Jest chyba przesądzone, że takie muzeum nie powstanie, bo mająca być jego zaczątkiem izba regionalna zwyczajnie znik-

nęła, a postępująca dewastacja sprawi, że renowacja będzie już nieopłacalna. Próbowałem tą sprawą zainteresować władze Towarzystwa Miłośników Ziemi Babimojskiej, ale bez rezultatu.

Kościół ewangelicki czeka zapewne taki sam los jak inne obiekty, które kiedyś istniały przy ul. Kargowskiej, a które nadawały miastu wyższą rangę cywilizacyjną. Była kiedyś w Babimoście gazownia – klasyczny przykład architektury przemysłowej z drugiej połowy XIX wieku. Na rogu ul. 1 Maja i ul. Kargowskiej stał budynek ośrodka zdrowia – inny przykład udanego połączenia willi miejskiej z funkcjami usługowymi (przyziemie i parter – przychodnia lekarska, piętro i poddasze – mieszkanie dla lekarza). Kiedy zbudowano pawilon nowej przychodni, budynek opustoszał i skazany na dziką dewastację w końcu spłonął, chociaż było to idealne miejsce dla... ogniska muzycznego.

A takowe przez długie lata „paliło” się w Babimoście. Za czasów dyr. A. Janiszewskiego z PSM w Zbąszyniu ognisko muzyczne było filią zbąszyńskiej szkoły muzycznej; lekcji gry na koźle udzielał mistrz Tomasz Śliwa. Na koniec roku szkolnego orkiestra szkolna dawała koncert. Dziś ognisko nie istnieje. Edukacja muzyczna – po co? Wystarczy raz w roku w czasie Dni Babimostu zorganizować rockowisko. Wykonywanie kompozycji S. Moniuszki? – Po co? Wystarczy ulica jego imienia.

Ale wracając jeszcze do dawnego ośrodka zdrowia, kiedy stał się bezu-

żytecznym, niszczał, aż wreszcie dziwnym trafem spłonął, robiąc miejsce dla hal produkcyjnych IKEA Industry. Oto w zabudowę małomiejską wbija się gigant przemysłowy, zamykając ul. 1 Maja blaszaną ścianą (nie mówiąc już o emitowanym hałasie). Na końcu tejże „promenady strat” przez ul. Sportową dochodzi się do przedwojennego budynku zlokalizowanego na terenie dawnego stadionu, który – choć go spisano na straty – o dziwo, jeszcze widać z obwodnicy.

Chciałbym pokreślić, że powyższa lista bezpowrotnych strat dotyczy obiektów architektury, a nie budownictwa. To fundamentalna różnica. Architektura bowiem należy do sztuki, natomiast budownictwo – do przemysłu. Można zobaczyć, jak wygląda remiza strażacka zbudowana na miejscu gazowni, można obejrzeć nowy ośrodek zdrowia (nie ma na czym oka zatrzymać) i porównać „styl” hali sportowej z budynkiem na dawnym stadionie. A przecież jest naszą powinnością, władzy i świadomych obywateli aktywnych w samorządach, ocalić i przekazać następnym pokoleniom substancję zabytkową, aby ci, którzy po nas przyjdą, mieli świadomość tego, skąd wyszli, albowiem tylko wówczas będą wiedzieli, dokąd mają zmierzać. To bardzo odpowiedzialne zadanie, w którego realizację przede wszystkim włączyć się powinna szkoła.

A co w rzeczonej sprawie robią nauczyciele?

Na frontonie babimojskiego ratusza widnieje inskrypcja: „Ziemia Ba-

bimojska od wieków polska”. Ale oto dowiaduję się, że szkoła w Nowym Kramsku przyjęła nazwę: „Szkoła im. Bojowników o Polskość Ziemi Kramskiej”. Jestem zaskoczony, że nauczyciele (pardon – nauczycielki) historii tej denominacji nie oprostowali. Powiat babimojski, Ziemia Babimojska to przecież określenia historyczne (komu został przyznany Krzyż Grunwaldu?, no komu?), a nazwa „Ziemia Kramska” – od miedzy do miedzy – to mało wychowawczy przejaw partykularyzmu i małostkowości. A skoro rozpoczęła się parcelacja Ziemi Babimojskiej, to czekam, kiedy mieszkańcy Podmokli upamiętnią „Bojowników o Polskość Ziemi Podmoklańskiej”.

Zdecydowana większość ósmoklasistek – mających tylko jeden pomysł na łatwe życie – wybiera jako szkołę średnią „handlówkę” albo szkołę gastronomiczną. Właściwie nie jest to wybór, ale pójdzie za głosem przeznaczenia, albowiem współczesny człowiek ma przed sobą tylko jedną perspektywę: coraz więcej konsumować. Absolutem takiej handlówki nabywa dwie umiejętności: umie obsługiwać kasę i wie, jak porozkładać produkty na półkach sklepowych. I to dziś wystarczy. Sieci handlowe – zresztą jak większość sieci – prowadząc do degrengolady spożycia, spowodowały definitywny upadek zawodu kupca i stanu kupieckiego. Niegdyś do wykonywania usług (zwłaszcza profesjonalnych) potrzeb-

ne było swego rodzaju powołanie; tak też, aby zostać kupcem – trzeba było mieć z m y s ł do handlu. Ale tak było dawniej. Przytaczam to określenie bez zamiaru jego zdefiniowania. Ale gdyby ktoś chciał zrozumieć jego znaczenie, polecam odwiedzić Zbąszyń i złożyć wizytę panom prowadzącym sklep wielobranżowy na placyku, gdzie ul. Miodowa wpada na Przedmieście św. Wojciech. Znajdą w nim wszystko, co do prowadzenia gospodarstwa domowego (i przydomowego ogródka) jest niezbędne. To ostatni moment, by zmysłowo doświadczyć, czym jest z m y s ł (do) handlu. Mogłyby do zbąszyńskiego sklepu na badania terenowe przyjeżdżać wycieczki szkolne nie tylko z handlówek, ale i studenci marketingu.

Dlaczego o tym piszę? Ponieważ dostrzegam w tymże sklepie relikt czegoś, co przeminęło bezpowrotnie, zniknęło z anturażu nie tylko zbąszyńskiego. W przybudówkach, oficynach, podwórkowych lamusach życie tętniło pracą. Warsztaty rzemieślnicze prowadzili mistrzowie, ba, arcy mistrzowie w swoim fachu. Ich zręczność, pomysłowość, staranność wykonania sprawiały, że nie tylko czuli się potrzebni, ale i docenieni. Ale nie to było najważniejsze. Obcowanie z konkretem, pokonywanie oporu przedmiotów, rozpracowywanie tajemników materii skutkowało najgłębszym zakorzenieniem w rzeczywistości. Sensualne doznania czerpane z kontaktu z tworzywem były przesłanką sensu

życia. Owszem, życie wypełnione pracą było zgrzebne (co nie znaczy uboższe, raczej bogate inaczej), było bardziej siermiężne, ale z pewnością nie było zakłamanie importowanym komfortem i imitacją bogactwa. Trzeba więc przypomnieć i do znużenia powtarzać: w realnym świecie liczy się dzieło i jego skutki.

Tradycja, *advers* nowoczesność – to fałszywa opozycja.

W innowacyjnym amoku, goniąc za nowościami, warto czasami się zatrzymać i wsłuchać się w to, co – jak zwykł mawiać Ferruccio Busoni – „staje się nowoczesne dzięki swym przejściowym cechom, a przed dyskwalifikującą staromodnością chronią je cechy niezienne”. Istota postępu, jak twierdził, polega na stałym wzbogacaniu istniejącego stanu rzeczy, a nie na ustawicznej zmianie środków.

Ja prowincjusz, sam sobie prowincjał...

Wątpliwy powód do dumy, ale z bycia prowincjuszem czerpię dwójką korzyść: zakorzenienie daje pewność, poczucie konkretności, tym samym łatwiejsze staje się wydestylowanie esencji z zagranicznych fikcji.

Moja kuligowska czasoprzestrzeń.

Przestrzeń, wprawdzie fizycznie wymiarowana – ale domknięta, określona przez czas. To czas nią roz-

porządza, wyznaczając zasięg każdego z (trzech) wymiarów.

Zima. Czas obkurcza przestrzeń do paleniska.

Lato. Gorąca letnia noc, chciałoby się spać pod rozgwieżdżonym niebem i sny utopić w Drodze Mlecznej.

Upływa dzień za dniem, a w nich: Epifanie codzienności – odkrywające wymiar wertykalny.

Złagodzona dysproporcja.

Każde zanurzenie w przeszłość sprawia, że niespiesznie odchodzi terażniejszość. Trwanie, ciągłość – osławiają przyszłość i sprawiają, że kres mniej przestrasza.

Trwanie i przemijanie – pozorna sprzeczność, złagodzona celebrowaniem cykliczności.

Okrąg przecina cięciwa łącząca skończoność z wiecznością.

Nie Lwów, Wilno czy Kraków. Nawet nie Poznań.

Przyznanie się do miejsca pochodzenia jest swego rodzaju *epitheton ornans* (Herbert – Leopolda, brzmi także dostojnie).

A tu: Babimost, co już powinno być powodem wykluczenia ze słownika bibliograficznego. Kojarzyć się może tylko z banalnym mostem albo babskimi przyrządami, np. miotłą Baby Jagi. Ale okazuje się, że zarówno most, jak i miotła czarownicy, są nieodzowne w przeprawie *zum Jenseits*, co poświadczą Jakob Taubes: „Jesteśmy tylko pielgrzymami. Nasz prawdziwy dom znajduje się nie na tym świecie.

Most, po którym będziemy musieli przejść na tamtą stronę, jest mostem zwodzonym, musi zostać spuszczone nie z naszej, ale z tamtej strony”. Ale nie mniej ważny jest przyczółek, na jakim się znalazłem „z tej strony”.

Dylematy kuligowskie:

I co ja Tu robię ?

Dlaczego jestem właśnie Tu, gdzie jestem?

Zwyczajny zbieg okoliczności czy też wyrok konieczności?

Przecież to, kim się stałem,
jest następstwem tego,

dokąd wracałem i gdzie bywałem.

Dawno temu, kiedy byłem jeszcze rolnikiem, moim ulubionym zajęciem gospodarskim były sianokosy, a wraz z nimi: zanurzenie w aromatach kuligowskich łąk, inhalacja bukietami ziół. Owszem, brutalna kośba, ale wykonywana po to, by kobierzec łąki pobudzić do jeszcze bardziej intensywnego wzrostu.

Teraz, u kresu aktywności, wraz z błogosławieństwem wszystkich świętych, oddają się prozaicznej czynności – grabieniu liści: orgia kolorów pod stopami, złośliwe igraszki wiatru; już nie zmysłowe upojnie, tylko zaduma i zmaganie się z nieuchronnością przemijania, z opadaniem.

Listopady – liścia/spady.

Sezon „puryfikacji” drzew trwa prawie dwa miesiące, bo kolejka do grudniowej „szatni” jest dość długa.

A liście mrą uroczyście.

Zaczynają klony, orzechy, kasztany, po nich wiązy, lipy, dęby – wreszcie na końcu: akacje, bzy i buki. Oczyszczoną z listowia ziemię modrzew posypuje okruchami złota. Drobną rekompensata, ale radość dla wyblakłych oczu.

Mgliście, szaro, smętnie.

Aż tu niespodzianie zjawia się szron. Co za odmiana, wszystko nagle zostaje wysrebrzone. Można zapalić świece adwentowe. Nadeszła *vigilo* – pora wyczekiwania.

 **Kazimierz Rogoziński**

Kazimierz Rogoziński ukończył Szkołę Podstawową w Babimoście, Liceum Ogólnokształcące w Wolsztynie, a studia w Poznaniu. Jest emerytowanym profesorem zw. Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, gdzie mieszka, a od 1975 również w Kuligowie; prowadzi blog [www: usluga.edu.pl](http://www.usluga.edu.pl).

Jak się zmieniło moje miasto

30 września 1958 r. wieczorem w Zbąszyniu siąpił deszcz. W tym deszczu szedłem z domu, w którym się urodziłem (na ówczesnej ul. Wolsztyńskiej 25), na duży dworzec, żeby nocnym pociągiem relacji Szczecin – Przemyśl pojechać do Krakowa. Pierwszy raz w swoim życiu opuszczałem Zbąszyń, nie wiedząc, kiedy wrócę. Następnego dnia zacząłem naukę w Oficerskiej Szkole Wojsk Chemicznych. Wróciłem do domu na kilka dni na Boże Narodzenie, potem na Wielkanoc i na miesięczne wakacje we wrześniu. Tak samo było w dwóch następnych latach.

W 1961 r. ukończyłem szkołę jako podporucznik. Mając dobrą lokatę, mogłem wybrać miejsce pełnienia służby. Poprosiłem, żeby to było jak najbliżej Zbąszynia. Zostałem skierowany do kompanii chemicznej w Międzyrzeczu. Stamtąd miałem blisko do domu. Kiedy tylko nie miałem służby, pojawiałem się w niedzielę w swoim mieście. Soboty wtedy były robocze. Zwykle jeździłem pociągiem, a czasem rowerem. Pewnej zimowej niedzieli miałem służbę wyznaczoną na godzinę 18.00. W nocy spadł duży śnieg i pociąg do Międzyrzecza nie mógł pojechać. Nie mając innej możliwości, pojechałem motocyklem. Trochę jechałem, trochę go pchałem. Cała jazda trwała ponad cztery godziny. Przyjechałem o 18.00, gdy oficer dyżurny podnosił

sluchawkę telefonu, żeby zameldować dowódcy pułku, że ppor. Witkiewicz nie zgłosił się na służbę.

Po dwóch latach w Międzyrzeczu zdałem egzamin i zostałem przyjęty na studia na Wydziale Chemii i Fizyki Technicznej Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. Znowu miałem do Zbąszynia daleko, więc nie przyjeżdżałem często. Po ukończeniu pierwszego roku studiów ożeniłem się i przez następne ponad cztery lata jeździłem do żony do Zielonej Góry.

Po ukończeniu studiów zostałem zatrudniony w WAT i wraz z żoną przeprowadziliśmy się do Warszawy. Wciąż pracuję w WAT i mieszkam w Warszawie do dzisiaj. Ale od dwunastu lat mieszkam nie tylko w stolicy. Znowu jestem w Zbąszyniu, a dokładnie w Perzynch. Mamy tam letni dom, w którym żona przebywa od kwietnia do października, a ja dojeżdżam do niej na weekendy. Wkrótce przestanę pracować i wtedy pół roku będę mieszkał w Zbąszyniu i pół roku w Warszawie.

Nie mieszkając stale w Zbąszyniu, ciągle widzę wyraźnie zmiany, jakie występują w mieście i okolicy. Dużo się zmieniło w dbałości o środowisko, na przykład miejscowości wokół jeziora są skanalizowane, bardzo dobrze funkcjonuje odbiór odpadów. Życie kulturalne jest intensywne. Interesujące są wystawy

w galerii „Baszta”. Jednak szkoda, że po wernisażu basztę się zamyka i później na wystawę nie ma wstępu. W dodatku mury w przejściu pod basztą, która jest symbolem – wizytówką Zbąszynia – są od lat w bardzo złym stanie. Nie wiem, czy przyczyną jest brak woli i zainteresowania ze strony władarzy gminy, czy też na remont brakuje środków. Pieniądze są w Brukseli, ale jak dotąd nie można ich odebrać (piszę przed 15 października 2023). Coraz więcej turystów przyjeżdża do miasta. Ale znowu szkoda, że plaża w Perzynch (Krowica) nie jest zaopatrzona w toaletę i wodę spożywczą, a kładka na tamie jest nieczynna (to może dobrze, bo ptaki mają spokój w tej pięknej okolicy). Szkoda tylko, że z tego mostku pozostała ruina.

Ważną zmianą dla miasta i młodzieży zbąszyńskiej jest to, że Szkoła Podstawowa (w której rozpoczynałem swoją edukację), to obecnie Liceum Ogólnokształcące. Z domu do szkoły miałem ok. 100 m. Nie mogłem używać wymówki, że zapomniałem zeszytu z odrobionym zadaniem, bo byłbym po niego wysłany. Pamiętam nauczycieli, którzy mogliby tak zrobić. Była to pani Jadwiga Kwiatkowska, która uczyła języka polskiego, pani Maria Śmidoda, która uczyła matematyki, fizyki i chemii, pan Florian Kwaśnik, który uczył chyba biologii. W tym czasie nie było w Zbąszyniu LO, dlatego przez cztery lata dojeżdżałem do liceum w Wolsztynie – po ciągiem, a kilka razy rowerem. Nauka

w tej szkole, bardzo ważna w moim życiu, była solidną podstawą dla dalszej drogi życiowej. Jestem bardzo wdzięczny nauczycielom, którzy mnie uczyli. Chętnie wracam do mojego LO. Od wielu lat jestem tam co roku na spotkaniu z młodzieżą z okazji Święta Szkoły. Mam wtedy okazję opowiedzieć uczniom o tym, czego nie usłyszą podczas programowych lekcji.

Zbąszyń obszarowo bardzo się powiększa. Jako dziecko po wyjściu z gaski byłem na polu. Cały obszar od tej uliczki do toru prowadzącego do Wolsztyna był obszarem ziemi uprawnej. Na polu spotykało się stadka kuropatw i zające. Kto teraz spotyka kuropatwy? Zające już nie widziałem od wielu lat. Na polu, o którym piszę, między ulicami Ogrodową, Leśną a Folwarczną, obecnie znajduje się osiedle mieszkaniowe. To dowód, jak człowiek zmniejsza obszar ziemi uprawnej i przestrzeń życiową zwierząt. To tylko jeden mały przykład, ale tak dzieje się na świecie. Napisałem między innymi o tym w książce „Czy Ziemia przetrwa inwazję człowieka?” Ziemia przetrwa, ale człowiek nie. Człowiek swoimi działaniami prowadzi do samozagłady. Jednym z tych działań, widocznych również w Zbąszyniu, jest wzrost liczby samochodów, które zanieczyszczają środowisko, przyczyniają się do ocieplenia klimatu.

Po latach wróciłem do rodzinnego miasta, z którego fizycznie wyjeżdżałem blisko i daleko, na krótko i na długo. Nigdy jednak nie wyjechałem

z niego mentalnie. W taki sposób byłem w nim zawsze. Mam w Warszawie wiele zdjęć Zbąszynia wyeksponowanych na widocznych miejscach. Otrzymałem je od synowej i syna, którzy znając moje przywiązanie do Zbąszynia, ofiarowali mi kolekcję

fotografii oprawionych w ramy. Syn, chociaż nie został urodzony w Zbąszyniu, był tam jako dziecko podczas wakacji i nadal chętnie do Zbąszynia przyjeżdża.


 **Zygfryd Witkiewicz**

Zygfryd Witkiewicz ur. 4 sierpnia 1940 w Zbąszyniu, profesor nauk chemicznych, pułkownik Wojska Polskiego. Zajmuje się analizą, szczególnie chromatograficzną, zanieczyszczeń środowiska i bojowych środków trujących. W 1958 roku ukończył Liceum Ogólnokształcące w Wolsztynie. W latach 1963-1968 studiował w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie, gdzie następnie pracował i gdzie w 1987 r. uzyskał tytuł profesora. Obecnie pracuje w WAT, pracował również na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach, członek Polskiej Akademii Nauk.

Wolałbym mieszkać przy ul. Zygmunta I Starego

Niestety, nie będę mógł napisać jak widzę Zbąszyn obecnie, gdyż byłaby to bardzo subiektywna wypowiedź. Poza tym podczas ostatnich pobytów w Zbąszyniu bardziej cieszyło mnie spotkanie z nielicznymi krewnymi i znajomymi, aniżeli przyglądaniu się zmianom jakie się dokonały w czasie mojej nieobecności w mieście. Jedno co mogę powiedzieć to, że budownictwie nowych osiedli nie kierowali

się dziejami miasta i dawną architekturą, nie trudzili się, by nowoczesność pogodzić z tym co powstało wcześniej. Niestety, pieniądze odgrywają przemożną rolę... Osobiście wolałbym mieszkać przy ul. Zygmunta I Starego aniżeli na Przedmieściu czy w nowych budynkach w pobliżu placu Wolności.

 **Eugeniusz S. Kruszewski,**
Kopenhaga

recenzje







85 rocznica Preludium Zagłady

W galerii Stary Dworzec w Zbąszyniu w początku sierpnia 2023 r. odbyła się bardzo oryginalna ekspozycja dotycząca deportacji polskich Żydów z różnych miast III Rzeszy do granicznego wówczas miasta i stacji kolejowej.

Nietypowość tej wystawy polegała na tym, iż mieliśmy do czynienia w znacznej mierze z ekspozycją dokumentów zmuszających odbiorcę raczej do czytania i myślenia, niż do ich oglądania. Oczywiście w galerii Stary Dworzec nie brakuje też ikonografii w postaci zdjęć, map, szkiców pozwalających lepiej zrozumieć, co się stało 28 października 1938 roku. Nazwano

to Preludium Zagłady (prof. Jerzy Tomaszewski), hitlerowcy zaś nazywali zdarzenie: Polenaktion.

Wysoki poziom merytoryczny wystawy zapewnił organizator: Wydział Historii Instytutu Europy Wschodniej Freie Universität Berlin oraz Aktives Museum w Berlinie. Zbąszyńska ekspozycja jest bowiem przeniesieniem, pierwotnie była prezentowana w Stiftung Neue Synagoge – Centrum Judaicum w Berlinie (w dniach od 8 lipca 2018 do 28 lutego 2019 r.). Zwiedziło ją wtedy ponad 40 tys. osób. W 2019 roku wystawę pokazano w Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie. Omawiana tu prezentacja została uzu-



Foto – podpis



pełniona o suplement dotyczący reakcji społeczności ówczesnego Zbąszynia – granicznego miasta II Rzeczypospolitej. Pod tym kątem przygotował ją Wojciech Olejniczak, szef galerii Stary Dworzec, który nadał jej tytuł „1938. Wypędzeni / Przygarnięci”.

Pomysłodawcy wystawy, przedstawiając losy kilku żydowskich rodzin wyłuskanych z 9-tysięcznego tłumu wygnańców, skupili uwagę zwiedzających na indywidualnym, ludzkim wymiarze tragedii, bo to bardziej przemawia niż wielkie liczby. Oglądaliśmy faksymile listów, kart pocztowych pisanych z wygnania do bliskich, fotografie rodzin i zostawionych sklepów czy warsztatów pracy. Z odtworzonych losów dowiedzieliśmy się, że tylko nielicznym udało się przeżyć czas wojny, a większość zakończyła życie w obozach zagłady.

Prezentacja jednocześnie zainicjowała obchody okrągłej rocznicy Preludium Zagłady w Zbąszyniu pilotowane przez Fundację „Tres” Wojciecha Olejniczaka i projekt z udziałem młodzieży pn. Zbąszyński Balagan (nazwa wzięta z języka jidysz).

Przypomnijmy dla podparcia pamięci, co wydarzyło się 85 lat temu w pięcioletnim wówczas mieście granicznym. Otóż w ciągu jednej doby hitlerowcy przywieźli tu 9 tys. Żydów zamieszkujących całą III Rzeszę, ale posiadających polskie paszporty. Ludzie ci dostali kilka minut na spakowanie się, a następnie musieli opuścić swe domy, miejsca pracy, skąd zostali przewiezieni różnymi środkami transportu na granicę polsko-niemiecką. Najwięcej z 17 tys. wypędzonych zawieziono do Zbąszynia, gdzie siłą – pod różnymi



Foto – podpis



groźbami – dosłownie przepchnięto ich (patrz: współczesne działania polskich służb mundurowych na granicy z Białorusią) na stronę polską. Z dnia na dzień trafiły do małego miasta tysiące polskich Żydów, nierzadko urodzonych już w Niemczech. Rząd w Warszawie, który sprowokował tę akcję antysemicką ustawą, w odpowiedzi na wydarzenia graniczne szybko zamknął Zbąszyń i uczynił obozem dla Żydów (na rogatkach ustawiono posterunki wojska). Gdy okazało się, że wygnańców nie uda się odesłać do Niemiec, niechętnie zaczęto wydawać zezwolenia (sic!) na wyjazd w głąb Polski, zazwyczaj do rodzin. Choć przecież ci ludzie byli obywatelami Polski i mieli prawo poruszać się po kraju wszędzie, gdzie chcieli. Stan ów trwał przez kilka miesięcy, niemal do września 1939 r., gdy ostatni ekspatrianci opuścili miasteczko nad Obrą. W te dni do Zbąszynia szła pomoc z całego świata. Szybko powstały (m.in. w stolicy) komitety pomocy Żydom, a o sytuacji pisała prasa całego globu.

Obecnie społeczność zbąszyńska (choć niekoniecznie jej część oficjalna) w różny sposób stara się co roku przypominać o tym dramatycznym wydarzeniu sprzed lat. Jednymi z najbardziej zaangażowanych w te działania są filolożka Anita Rucioch-Gołek i artysta plastyk Wojciech Olejniczak. – W ramach naszych tegorocznych działań rocznicowych powstanie spektakl na podstawie listów deportowanych Żydów, w którym udział

wezmą uczniowie naszych szkół – powiedziała A. Rucioch-Gołek. Przedstawienie zostało poprzedzone cyklem warsztatów teatralnych, które poprowadził Janusz Andrzejewski, aktor z Teatru Nowego w Poznaniu. Pod koniec października 2023 r. została ponadto zorganizowana konferencja dla nauczycieli i edukatorów z regionu (transmitowana na żywo online), podczas której uczestnicy zastanawiali się, jak pracować nad pamięcią o wydarzeniach Preludium Zagłady z 1938 roku.

Zeszłoroczny projekt był kontynuacją wieloletnich działań nad pamięcią o historii Polenaktion. W poprzednich latach w mieście wmurowano w wytypowanych miejscach w chodnikach Stolpersteiny – Kamienie Pamięci upamiętniające członków rodzin żydowskich ze Zbąszynia. Powstał też portal internetowy www.zbaszyn1938.pl, który ma służyć połączeniu w internecie rozproszonych zasobów archiwalnych dotyczących 1938 r. W 2018 roku zorganizowano uroczyste obchody 80. rocznicy wypędzenia. Wtedy Fundacja „Tres” przygotowała wizytę potomków deportowanych Żydów, a także – we współpracy ze stroną niemiecką – wyjazd mieszkańców Zbąszynia do Berlina na wystawę pt. „Ausgewiesen! Berlin 28.10.1938”. Partnerami aktualnego projektu była Fundacja „Tres”, Szkoła Podstawowa im. Arkadego Fiedlera oraz Muzeum Ziemi Zbąszyńskiej i Regionu Kozła.

 Michalina Sawicka

Pamięć domowa i peryferyjna

Zbąszyn to ważne miasto w biografii Eugeniusz Kurzawy – poety, dziennikarza i animatora kultury. Nic więc dziwnego, że jest scenerią jego ostatnio wydanej książki.

Rynek 11 to luźny zbiór uroczych, rozsypanych niczym sznur koralików, opowieści z życia autora, odsłaniających jego biografię oraz historię rodzinnego domu. Są tu wspomnienia z wczesnego dzieciństwa i obrazki z czasów szkoły podstawowej i średniej. Dzieje krawieckiego zakładu ojca oraz rodzinnych wyjazdów i powrotów związanych z Kamieńcem, rodzinną wsią matki. Świat PRL-u w małomiasteczkowym i rodzinnym wydaniu, bo w tych ramach czasowych autor osadził swe gawędy, nie jest w książce szary i przygnębiający. Wręcz przeciwnie, jest swojski, przewidywalny i ma dużo barw, Człowiek w tych latach, jak pisze Kurzawa, nie miał dużych oczekiwań wobec rzeczywistości i potrafiły go cieszyć sprawy i rzeczy małe. Książka jest powrotem do kraju lat dziecińczych i młodzieńczych, który przywołują rodzinne fotografie, zapiski i dawne przedmioty codziennego użytku, przechowywane przez pisarza z czułością i pietyzmem. By – przypo-

minając przeszłość – łączyły z tymi, którzy już odeszli.

Tytułowy Rynek 11 w Zbąszyniu jest niemal równorzędnym bohaterem opowieści. Z tego macecznika autor wyruszy w młodości w świat i tu zawsze będzie wracał pamięcią, gdy jego bliscy już opuszczają mieszkanie w rynkowej kamienicy.

Interesującym zabiegiem poety jest przełożenie treści niektórych gawęd na syntetyczny język wierszy, które stanowią dopełnienie zbioru.

Książka, co cenne, ocala i utrwala pamięć domową i pamięć o peryferyjnym mieście, które są zazwyczaj pomijane w wielkich księgach historii. I zapewne dlatego z jej treścią może się identyfikować spora grupa czytelników. Na pamiętanie zasługują bowiem nie tylko pomnikowi bohaterowie. Codziennosc małych miast też jest ważna, i – jak widać na przykładzie książki Eugeniusz Kurzawy – inspirująca.

 **Barbara Nau**

Eugeniusz Kurzawa: *Rynek 11*. Wilkanowo – Zielona Góra 2024, nakładem własnym.

kronika





Obwodnica Regionu Kozła wreszcie otwarta

W poprzednim numerze „Szkiców” pisaliśmy obszernie o tzw. obwodnicy Regionu Kozła. Z tekstu było optymizmem, bowiem licząca kilkanaście lat idea – o dziwo – miała się wreszcie ziścić. Zarząd Dróg Wojewódzkich w Zielonej Górze zapowiedział, iż nową trasą – z Podmokli Wielkich do ronda w Chlastawie – pojedziemy w pierwszej połowie 2023 r. Tymczasem wyznaczony termin minął – a do otwarcia szosy w czerwcu 2023 r. nie doszło. Mijały kolejne miesiące. Mieliśmy obawy, że oddanie inwestycji przesunie się na kolejny rok kalendarzowy. Zwróciliśmy się wobec tego z pytaniem do „dróg wojewódzkich” o datę przysłowiowego przecięcia

wstęgi, a przy tej okazji – bo taką poprawkę sugerował ZDW – o zmianę numeracji dotychczasowej drogi wojewódzkiej nr 302. Ostatecznie jeszcze w 2023 r. przyszła do redakcji odpowiedź, a z nią pozytywna informacja, iż otwarcie nowego szlaku dla pojazdów odbędzie się 14 grudnia 2023 r. o godz. 14.00.

I faktycznie, w tym terminie dokonano przecięcia wstęgi, na której znalazł się zapis „mała obwodnica Regionu Kozła”. Uczestnicy uroczystości wzięli sobie po kawałku na pamiątkę. Widać, że władze wojewódzkie przykładały dużą wagę do tej inwestycji, bo na otwarciu przy rondzie w Chlastawie znalazł się sam



Foto – podpis



marszałek województwa Marcin Jabłoński, lubuski poseł Waldemar Sługocki, radny sejmiku lubuskiego Sebastian Ciemnoczołowski, oczywiście przedstawiciele zarządu dróg i wykonawcy inwestycji. Nie mogło zabraknąć najbardziej wytrwałych orędowników budowy, burmistrzów Bernarda Radnego (Babimost) i Wiesława Czyczerskiego (Zbąszynek).

„Zarząd Dróg Wojewódzkich w Zielonej Górze [ZDW] w odpowiedzi na Pana maila z dnia 24 listopada i 4 grudnia br. ws. inwestycji pn. »Budowa obwodnic m. Kosieczyn

i Chlastawa w ciągu drogi wojewódzkiej nr 302 oraz Podmokle Wielkie w ciągu drogi wojewódzkiej nr 304 – dojazd do węzłów na autostradzie A-2 w Trzcielu oraz Nowym Tomysłu« informuje, że roboty budowlane zostały zakończone, a Lubuski Wojewódzki Inspektor Nadzoru Budowlanego pismem z dnia 22 listopada 2023 r. powiadomił o zakończeniu postępowania w sprawie zawiadomienia o zakończeniu inwestycji drogowej (...) i nie wniósł sprzeciwu w sprawie przystąpienia do użytkowania ww. obiektu” – poinformował



Na czerwono zaznaczono dotychczasowy odcinek drogi wojewódzkiej aktualnie zaliczony do kategorii dróg powiatowych po wybudowaniu obwodnicy Podmokli Wielkich, Kosieczyna, Chlastawy w ciągu drogi DW302. Zaznaczona grubym zielonym kolorem droga jest właśnie nową tzw. obwodnicą Regionu Kozła

Marcin Ogorzałek, zastępca dyrektora ds. Inwestycji i Zarządzania Mostami Zarządu Dróg Wojewódzkich.

Nowa droga ma długość 7,4 km. Zaczyna się w Podmoklach Wielkich przed przejazdem kolejowym i „odchodzi w kierunku północno-wschodnim. Przez następne 2 km przebiega w zasadzie w linii prostej po śladzie dawnej linii kolejowej. (...) Ostatni odcinek o długości ok. 1070 m przebiega w linii prostej i włącza się w rondo na istniejącej drodze nr 302”. Rondo im. Andrzeja Szofera w Chlastawie. Droga nie jest może zbyt wielkim skrótem w porównaniu ze starym przejazdem, ale jej zaletą jest bezkolizyjność! Przez 7,4 km nie ma żadnej miejscowości ani innej przeszkody! Poniekąd jest bezkolizyjnym przedłużeniem obwodnicy Babimostu. Szkoda tylko, że bezkolizyjnie nie dociera do autostrady A2, ale o tym już pisaliśmy przed rokiem. Po prostu: nie wszystko się udało.

ZDW przekazało redakcji ponadto informację dotyczącą zmiany numeracji dróg: „Wybudowana obwodnica zastępuje dotychczasowy przebieg drogi wojewódzkiej nr 302 od skrzyżowania z drogą wojewódzką nr 303 w miejscowości Brudzewo do skrzyżowania z nowym przebiegiem drogi wojewódzkiej nr 302 za miejscowością Chlastawa. Z mocy ustawy o drogach publicznych odcinek drogi wojewódzkiej zastąpiony nowo wybudowanym odcinkiem drogi z chwilą oddania go do użytkowania zostaje pozbawiony dotychczasowej katego-

rii i zaliczony do kategorii drogi powiatowej” – uzupełnił M. Ogorzałek z Zarządu Dróg Wojewódzkich. Wyjaśnienie powyższego tłumaczenia widzimy na załączonej mapce. Dotychczasowa droga wojewódzka nr 302 zaczynała się w Brudzewie, biegła przez Kręccko, Kosieczyn, Chlastawę, Zbąszyń (ulicami: 17 Stycznia, Mostową, Miodową, pl. Targowisko, Poznańską, Warszawską, Przysiółki) do Nowego Tomysła, gdzie się kończyła (lub zaczynała). Obecnie odcinek od Brudzewa do ronda w Chlastawie stał się drogą powiatową. Zresztą słusznie, gdyż zawsze była to kiepska, wąska trasa, nie wiadomo dlaczego nadano jej rangę wojewódzką.

Natomiast obecny początek (lub koniec, zależy jak patrzeć) drogi wojewódzkiej nr 302 znajduje się odtąd na obwodnicy Babimostu, a dokładnie: na rondzie obok zakładu TFP (przy drodze na Wolsztyn). Trasa 302 biegnie z tego miejsca obwodnicą Babimostu aż do Podmokli Wielkich. Tu zaczyna się obwodnica Regionu Kozła, która dochodzi do ronda w Chlastawie i dalej prowadzi starym szlakiem w kierunku Zbąszynia.

Przypomnijmy krótko, iż pomysł zbudowania bezkolizyjnej trasy przez trzy, a nawet cztery gminy, nazwano przed laty roboczo „obwodnicą Regionu Kozła”. Była to inicjatywa burmistrzów Zbąszynka, Babimostu i Zbąszynia. Szosa miała biec po starym nasypie dawnej kolei zbąszyńsko-gubińskiej, właśnie na odcinku z Podmokli Wielkich, ale do Nądn

i Zbąszynia. Rozwiązanie znakomite ze względów komunikacyjnych, ale i gospodarczych oraz turystycznych. W jednej z prac planistycznych ukuło frazę: „Obwodnica Regionu Kozła jako oś rozwoju międzyregionalne-

go”! Dziś już wiemy, iż ta idea ziściła się tylko częściowo, bez przebiegu w Wielkopolsce. Ale ważne, że w końcu powstała!

(red.)

Konkurs Paukszty po raz 24.

29 września 2023 r. w Bibliotece Publicznej w Kargowej odbyło się uroczyste podsumowanie XXIV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Paukszty. Od lat rywalizacji prozaików z całego kraju przyświeca hasło „Mała Ojczyzna – pogranicza kultur”.

Spotkanie poprzedził wyjazd do pobliskiej Leśniczówki Linie, gdzie

Eugeniusz Paukszta często spędzał wakacje. Po tradycyjnym złożeniu kwiatów przed tablicą upamiętniającą patrona konkursu oraz biblioteki gości wrócili do Kargowej, gdzie w Mediatece „Światowid”, siedzibie kargowskiej biblioteki, odbyły się kolejne wydarzenia związane z konkursem.

Po przywitaniu gości przez kierowniczkę biblioteki, Magdalenę Mauer,



Delegacja pod Leśniczówką Linie składa kwiaty przy tablicy upamiętniającej pobytu w tym miejscu Eugeniusza Paukszty. Wśród zebranych osób – prof. Dominik Paukszta, syn pisarza.

głos zabrała Marta Paron, zastępczyni burmistrza, a później Dominik Paukšta, syn pisarza, oraz Łukasz Pokorski, przewodniczący Rady Miejskiej Kargowej.

Jednym z głównych i gorąco przyjętych punktów programu był wykład prof. Ewy Krawieckiej zatytułowany „Wielkie ukochania Eugeniusza Paukšty”. Słuchacze byli pod wrażeniem pięknej polszczyzny oraz wiedzy wykładowczynie. Jak można było usłyszeć podczas rozmów kularowych, pani profesor, pracując nad wykładem, miała dostęp do dotychczas niepublikowanych materiałów z prywatnego archiwum rodziny pisarza.

Zanim publiczność zdążyła ochłonąć po wystąpieniu prof. Ewy Krawieckiej, na mównicę został zaproszony Alfred Siatecki, przewodniczący jury

XXIV Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Eugeniusza Paukšty. Jak stwierdził, na konkurs wpłynęła rekordowa liczba prac. Było ich aż 81. Podsumowując pracę jury, Alfred Siatecki zauważył, m.in., że konkursowe hasło „Mała Ojczyzna – pogranicza kultur” współcześnie nabiera innej wymowy, ponieważ dzięki narastającemu zjawisku migracji stykamy się z coraz większą różnorodnością religijną, rasową i obyczajową. Na koniec przewodniczący jury zapoznał zebranych z werdyktem. Oto on: I miejsce – Bogdan Nowicki ze Świętochłowic za opowiadanie „Macewy”, II miejsce – Anna Piliszewska z Wieliczki za opowiadanie „Dwie rzeki”, III miejsce – Jarosław Turski z Łużnej za opowiadanie „Puszka”. Jury przyznało także dwa wyróżnienia: dla Krzysztofa Kokota za



Alfred Siatecki, przewodniczący jury konkursu im. Paukšty odczytuje werdykt komisji konkursowej oceniającej nadesłane prace

opowiadanie „Brat” i Małgorzaty Tomczyk-Jadach za „Opowieści z za szafy”.

Po części oficjalnej nadszedł czas na ucztę duchową. Dostarczyli jej uczniowie Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Mieczysława Karłowicza w Zielonej Górze. Koncert w ich wykonaniu został przyjęty gromkimi

brawami. Jak zwykle w Kargowej, uroczystość zakończyła się zaproszeniem do obficie zastawionych stołów, przy których nadszedł czas na kulturalne pogawędki, odświeżenie starych znajomości i zawarcie całkiem nowych.

(zetem)

Najważniejsze wydarzenia kulturalne półrocza 2023

W okresie kwiecień – październik 2023 Zbąszynecki Ośrodek Kultury zorganizował blisko 40 wydarzeń. Poniżej przedstawiamy bardzo subiektywny ranking tychże prezentacji – Top 10.

Miejsce 10. Spotkajmy się w sobótkę

W sobotę 8 lipca zdarzył się punkt kulminacyjny projektu pt. „Spotkajmy się w sobótkę”, który polegał na zorganizowaniu koncertu z repertuaru Zespołu Śpiewaczego „Dąbrowszczanka” z wykorzystaniem pieśni sobótkowych w przestrzeni miejskiej. Na scenie prezentowały się kolejno zespoły: „Srebrne Nutki”



(Senior-Wigor Zbąszynek), Roman Modrzyk (Zbąszynek), „Wesoła Ferajna” (Zbąszyń), „Osoria” (Szczaniec), „Perły-Sumsiodki” (Siedlec), „Tęcza” (Kolsko). Grupy przygotowały koncert o charakterze wakacyjnym. W podziękowaniu za występ artyści otrzymali upominki. Część artystyczna wydarzenia zakończyła się koncertem Kapeli zza Winkła (Nowy Tomyśl). O zmroku rozpoczęła się potańcówka pod platanami.

Miejsce 9. Jubileusz 100-lecia Regionalnego Zespołu Pieśni i Tańca im. Tomka Spychały z Dąbrówki Wlkp.

W sobotę 17 czerwca na obiektach sportowych w Dąbrówce Wlkp. odbyła się impreza pod zbiorczym tytułem „Jubileusz 100-lecia”. Wydarzenie miało na celu upamiętnienie setnych rocznic powstania Regionalnego Zespołu Pieśni i Tańca im. Tomka Spychały oraz Ludowego Klubu Sportowego „Sokół” Dąbrówka Wlkp. Wydarzenie rozpoczęło się na cmentarzu parafialnym, gdzie nastąpiło złożenie wiązanek i zapalenie zniczy na grobach zasłużonych działaczy obu klubów. O 17.00 rozpoczęła się część oficjalna obchodów. Zgromadzonych powitał Jerzy Skrzypczak (konferansjer) oraz organizatorzy wydarzenia: Wiesław Czyczerski (burmistrz), Piotr Kociołek (sołtys wsi), Malwina Kubicka (dyrektor ZOK), Marek Lochert (prezes LKS „Sokół”) oraz Marek Spychała (kierownik RZPiT). Po przedstawieniu rysów historycznych, głos zabrali goście. Część artystyczną otworzyli gospodarze: RZPiT (grupa dorosła i dziecięca), Ludowe Ognisko Muzyczne oraz zespół Dąbrowszczanka. W dalszej części widownia oklaskiwała: „Wesele” i „Koziołki Przyprostyńskie”, Perły-Sumsiodki, Kapelę zza Winkła, Górali Czadeckich oraz kapelę kozłarską Kotkowiacy. W części rozrywkowej zgromadzoną pod sceną widownię rozśmieszał kabaret Klakoty, który świętował w tym dniu 25 urodziny. Z uwagi na ponad dwugodzinne opóźnienie koncert „Kaszubskiego Brzmienia” w wyk. Weroniki Korthals z zespołem wystartował dopiero po 22.00, a potańcówka ludowa z kapelą „Wióry Leca” rozpoczęła się o północy.

Miejsce 8. Spotkanie autorskie z Zofią Mąkosą

10 maja w sali tanecznej Zbąszyneckiego Ośrodka Kultury, z okazji Tygodnia Bibliotek, odbyło się spotkanie autorskie z panią Zofią Mąkosą, autorką fascynującej trylogii „Wendyjska winnica” oraz dylogii „Makowa spódnica”. Moderatorem spotkania była Malwina Kubicka.

Miejsce 7. Finał wojewódzki Lubuskich Konfrontacji Artystycznych w kat. plastyka

W środę 26 kwietnia odbył się w ZOK finał wojewódzki dla plastyków z województwa lubuskiego w ramach Lubuskich Konfrontacji Artystycznych. Była

to II edycja konkursu. Zgłosiło się 38 młodych artystów. Tegoroczny temat „Pokój dla artysty” znany był od początku ogłoszenia konkursu, tj. od lutego 2023 r. Finałiści do wykonania pracy wykorzystywali przywiezione ze sobą materiały. Rada Artystyczna w składzie: Hubert Winnik (przewodniczący), Ireneusz Solarek, Sławomir Wrembel, przyglądała się bacznie pracy twórczej. Po jej zakończeniu finaliści zostawili swoje dzieła na stolikach i udali się do poczekalni. Oto zwycięzcy: Kat. I – Wojciech Zgierski, Kat. II – Bartosz Malec, Kat. III – Julianna Włodek, Kat. IV – Karolina Kwiatkowska. Laureaci otrzymali czeki o wartości 500 zł, statuetki i dyplomy oraz nagrody rzeczowe w postaci materiałów plastycznych, które ufundowała firma Renesans. Rada Artystyczna postanowiła przyznać wyróżnienia dla: Kat. I – Inka Idryjan, Kat. II – Zuzanna Hałoń, Kat. III – Alicja Sadanowicz, Kat. IV – Róża Wróblewska.

Miejsce 6. Mundurowa Majówka

W sobotę 6 maja w parku ZOK odbyły się oficjalne uroczystości upamiętniające 79. rocznicę bitwy pod Monte Cassino oraz Gminny Dzień Strażaka. O 13.00 ruszyła parada ulicami Zbąszynka. Prowadziła ją orkiestra dęta OSP Babimost pod batutą Agnieszki Rybickiej. Imprezę poprzedziły gminne obchody z udziałem lokalnych władz, gości i mieszkańców. Podczas Majówki największym zainteresowaniem cieszyły się stoiska i wystawy przygotowane przez członków stowarzyszenia 62. Kompanii Specjalnej Commando. Tuż po 16.00 na parkingu przy ul. Klubowej odbył się pokaz cięcia samochodu i prezentacja zabytkowej pompy konnej przez strażaków ochotników. W sali koncertowej odbywały się animacje i warsztaty artystyczne dla dzieci przygotowane przez animatorów firmy Dworzec Tworzec z Międzyrzecza. Gwiazdą deszczowej Majówki był zespół „Power Play”.

Miejsce 5. Trzy oblicza miłości

W piątek 1 września w parku ZOK odbyło się widowisko słowno-muzyczne na podstawie fragmentów powieści „Nad Niemnem” E. Orzeszkowej pt. „3. Ogniwa Miłości” w reż. Malwiny Kubickiej. Wydarzenie zorganizowano w ramach akcji Narodowego Czytania. Uczestnicy widowiska mogli również skorzystać z wyjątkowej okazji i ozdobić swoje wydanie „Nad Niemnem” pieczęcią tegorocznego NC. Widowisko dotknęło tematu miłości z trzech perspektyw, trudnej miłości ojca do syna, smutnej miłości męża do kochanki i śmiertelnej miłości matki do dziecka. Czytający: Wiesław Czczyński, Jan Makarewicz, Krzysztof Krzywak, Błażej Błoch, Hieronim Muszyński, Gabriela Budniak, Małgorzata Gołek, grupa performance: Milena Greczycho, Grażyna Wajs-Burakiewicz, Anastazja Czechowska, Maria Bręk, Dorota Gó-

ral, Barbara Zjawin, Patrycja Kosicka, wokaliści: Milena Jakubowska, Piotr Grobys, Weronika Grina. Scenografia: ekipa ZOK, światło/dźwięk: Wojciech Podemski.

Miejsce 4. Koncert jazzowy

8 października mieszkańcy gminy mieli wysmienitą okazję, aby zagłębić się w bogaty i różnorodny świat muzyki jazzowej. Wyrafinowany, klimatyczny, elegancki – to słowa doskonale opisujące zarówno cały gatunek muzyczny, jak i konkretną twórczość, z którą mieliśmy okazję spotkać się w ramach piątej edycji festiwalu Jazz Crossing Festival.

Jako pierwszy na deskach zbąszyneckiej sceny pojawił się zespół Quartet – Komeda, w skład którego wchodzi: Joanna Wojtkiewicz (wokal), Mateusz Kaszuba (fortepian), Jan Wierzbicki (kontrabas), Kacper Skolik (perkusja). Z początkiem 2023 roku wspólnie stworzyli oni projekt polegający na reinterpretacji zapomnianych lub nigdy niewydanych utworów Krzysztofa Komedy-Trzcńskiego w formie wokalnie-instrumentalnej. Zaraz po nich przed publicznością stanęła grupa Wonky Town – Michał Giłka (saksofon altowy/sopranowy, leader), Maciej Klik (gitara elektryczna), Sara Kosętka (fortepian, instrumenty klawiszowe), Marek Krause (gitara basowa), Michał Chojnacki (zestaw perkusyjny, perkusjonalia), Zuzanna Kosek-Giłka (skrzypce).

Miejsce 3. Finał Lubuskich Konfrontacji Artystycznych

W niedzielę 16 kwietnia odbył się w ZOK po raz drugi finał wojewódzki dla instrumentalistów z województwa lubuskiego w ramach Lubuskich Konfrontacji Artystycznych. Do finału zgłosiło się 22 muzyków. Na zbąszyneckiej scenie zagrały: perkusje, keyboardy, pianina, gitary elektryczne i klasyczne oraz werbel. Po wszystkich wykonaniach Rada Artystyczna udała się na obrady. A oto werdykt. Tytuł laureata w I kat. wiekowej zdobył Wiktor Brzyśkiewicz – pianista ze Świdnicy, tytuł laureata w II kat. wiekowej zdobyła Maria Lasocka – perkusistka z Kostrzyna nad Odrą, tytuł laureata w II kat. wiekowej zdobył Julian Nowacki – pianista ze Świdnicy, tytuł laureata w III kat. wiekowej zdobył Tomasz Ulatowski – gitarzysta z Kostrzyna nad Odrą. Laureaci otrzymali czeki o wartości 500 zł, dyplomy oraz pamiątkowe statuetki.

Miejsce 2. Kropla wody

„Kropla wody” to tytuł nowego spektaklu Teatru Dziecięcego „Semaforek”, którego premiera zdarzyła się 27 września. Bohaterowie spektaklu zostali umiejscowieni w mieście, w którym dostępu do wody strzeże strażnik wydzielający mieszkańcom po jednej kropli. Kiedy pojawia się tajemnicza dziewczyna, część mieszkańców ulega pokusie, buntuje się i wyprowadza z miasta.

Dziewczynki z przywódczynią na czele przemierzają lasy w poszukiwaniu wody. Zmęczenie i złość powodują rezygnację i chęć powrotu do miasta. Co się wydarzy po ich powrocie? Jaką tajemnicę odkryją? Obsada: Liwia Korbanek, Maja Wojtkowiak, Zofia Dzieciatkowska, Lukrecja Kubacka, Jakub Bura-kiewicz, Adam Ratyński, Milan Korbanek, Zuzanna Bartkowiak, Liliana Hołowacz. Scenariusz i reżyseria: Malwina Kubicka.

Miejsce 1. Dni Zbąszynka

W dniach 12-13 sierpnia na Targowisku Miejskim odbyły się obchody Dni Zbąszynka. Dwudniową imprezę poprowadził konferansjer Alex Niebrzegowski. W ramach 100-lecia miasta o godzinie 14.00 na płycie boiska mieszkańcy utworzyli napis „Zbąszynek”. Następnie przy dźwiękach orkiestry dętej z Babimostu odbył się przemarsz ulicami na plac z fontannami, gdzie burmistrz Zbąszynka zakopał Kapsułę Czasu. Tę część wydarzenia uświetniła kapela koźlarska z Dąbrowki Wielkopolskiej. Program na scenie wystartował o 16.30. W pierwszej części zaprezentowali się raperzy Kabe i Asster. Kolejno koncert muzyczny wykonał Wiktor Dydula z zespołem. Sobotnią gwiazdą wieczoru była Lanberry, którą supportowali: Milena Jakubowska i Piotr Grobys (wokaliści Studia Piosenki). Sobotni wieczór zakończył się imprezą taneczną w wykonaniu DJ: Elvas i Tim Heart.

W niedzielę w godzinach porannych przed Urzędem Miejskim rozpoczął się Piknik Wojskowy w ramach obchodów Święta Wojska Polskiego. Na targowisku



Obchody święta miasta. Nocny widok z góry na różnorakie atrakcje tego dnia.

sku miejskim ten dzień rozpoczął się od animacji dla dzieci, które poprowadziła ciocia Milenka. Tuż po 16.00 na scenie pojawiła się Izabela Trojanowska. Pod sceną zgromadziła się liczna rzesza członków fanclubu z całej Polski, których artystka zaprosiła na scenę do wspólnego wykonania kilku utworów. W tej części wręczono także tytuły „Zasłużony dla Gminy Zbąszynek”, które w tym roku trafiły w ręce działaczy kultury ludowej: Ewy Kubickiej i Wojciecha Wittke. Tradycyjnie w drugim dniu święta Zbąszynka scena należała do artystów lokalnych. Wystąpili: zespoły „Srebrne Nutki” i „Dąbrowszczanka” oraz soliści: Milena Jakubowska, Piotr Grobys, Alicja Pluskota, Nadia Ziobro, Maja Wojtkowiak, Martyna Danysz, Julia Miszta, Oliwia Banach, Oliwia Kostrzewska. Niedziela zakończyła się koncertem gwiazdy wieczoru. Tłumy pod sceną zgromadził Andrzej Piaseczny z zespołem. Potem był pokaz sztucznych ogni.

(maka)

15 lat Krumskich Osobowości

Od piętnastu lat Karczma Taberska w Janowcu przyznaje swoje niepowtarzalne nagrody – „Łopaty” – dla Krumskich Osobowości. Co roku, zawsze 1 maja, w Karczmie Taberskiej gromadzą się tłumy miłośników folkloru, dobrego jadła, muzyki ludowej oraz niepowtarzalnych postaci związanych z Nowym Kramskiem i okolicami lub dla tych terenów zasłużonych.

Pomysł narodził się w głowie Jolanty Taberskiej, która stwierdziła, że w pobliżu żyje tylu wspaniałych ludzi działających społecznie, charytatywnie, reprezentujących zanikające już profesje, lecz mało kto o nich wie, bo same nie zabiegają o żadne honory. – Wiele z takich osób już odeszło i nikt z nas nie zdążył się dowiedzieć co tak naprawdę te wspaniałe osobowości

w swym życiu zrobiły, jakimi postaciami były dla naszej lokalnej społeczności – uważa J. Taberska. I zdecydowała wraz z mężem Markiem Taberskim, że nie można zapomnieć o zasłużonych dla Babimojszczyzny (i nie tylko) postaciach. Dzięki temu narodziła się idea przyznawania nietypowego wyróżnienia noszącego ludową nazwę – Krumaska Osobowość. Jej symbolem jest łopata piekarska. – Mój ojciec, Alfons Reimann z Nowego Kramaska, był piekarzem i właśnie taka łopata ma symbolizować nasz szacunek dla wszystkich ludzi żyjących z pracy własnych rąk – wskazuje Taberska.

Pierwszą Osobowością Krumską została (trochę nietypowo) emerytowana dziennikarka „Gazety Lubuskiej” Eugenia Pawłowska, zwana



Tegoroczni laureaci, Teresa Chromińska i Eugeniusz Kurzawa, właśnie otrzymali z rąk Jolanty Taberskiej piekarskie łopaty, symbolizujące Krumską Osobowość. Gospodyni towarzyszył Jerzy Skrzypczak.

przez przyjaciół Żenią, a pisząca w swoim czasie popularne felietony pt. „I ja tam byłam...” pod pseudonimem Snobka. Pisała również o Karczmie Taberskiej i w ten sposób znalazła się w orbicie pani Jolanty. Otrzymała oczywiście łopatę piekarską, której kopia (jak i wszystkich pozostałych łopat) jest przytwierdzona do jednej z belek w Karczmie.

Przez piętnaście lat namnożyło się postaci uhonorowanych łopatami. Zwykle bowiem nagradzano (a czyni to tajemnicza kapituła) dwie osoby w ciągu roku. Są wśród nich reprezentowane takie zawody jak szewc, młynarz, rolnik, fryzjerka, cieśla, pieśniarka, stolarz, listonosz, zdun,



Uroczystości towarzyszyła kapela „Kotkowiacy” pod dykcją Jerzego Skrzypczaka oraz zespół wokalny „Wiolinki” z Nowego Kramaska

murarz, lekarz, strażacy i inni. Jak podkreśla Jolanta Taberska, Karczma nie zaprzestała przyznawania Krumskich Osobowości nawet w czasie pandemii, w 2019 roku nagrodzono nauczycielkę matematyki i stolarza-rękodzielnika, a w 2020 listonosza.

Ostatni raz (jak dotąd) hucznie świętowano w Karczmie Taberskiej 1 maja 2023 r., jednak tym razem był to mały jubileusz – impreza odbyła się po raz piętnasty! Kapituła postanowiła wyróżnić osoby popularyzujące Region Kozła. Laureatami zostali: Teresa Chromińska z Babimostu, która w przeszłości była dyrektorką biura Regionu i wprowadzała to stowarzyszenie do Unii Europejskiej oraz Eugeniusz Kurzawa spod Zielonej Góry – jak mówi wieść gminna, „ojciec chrzestny” Regionu, pisarz, dziennikarz, regionalista. Ponadto za 40 lat działalności wyróżniono nowokramski sklep „U Kubika”, niestety, już nieistniejący.

Prowadząca 1-majowe święto w swojej Karczmie Jolanta Taberska powiedziała o tym sklepie, iż było to miejsce, gdzie przychodziło się przez 40 lat nie tylko na zakupy, ale i po dobre słowo.

Gdy skończyła się główna część świętowania, której towarzyszyła kapela „Kotkowiacy” ze Zbąszynka i zespół dziecięcy „Wiolinki” z Nowego Kramaska, zebrani tłumnie widzowie wzięli się za konsumpcję, napitki i oczywiście podjęli rodaków rozmowy. Niech żałują ci, którzy nie skorzystali z okazji, ale niech zapamiętają, iż warto być w Karczmie Taberskiej każdego 1 maja.

 **Michalina Sawicka**

Krumskie Osobowości:

- 2009 Eugenia Pawłowska – Żenia, „Snobka” dziennikarka,
- 2010 Bernard Lange, architekt, Gertruda Stachecka, pieśniarka,



„Rodzinne” zdjęcie laureatów AD 2023, honorowych gości imprezy oraz muzyków i śpiewaków

- 2011 Monika Jarysz, gospodyni i szefowa KGW, Łucjan Sobota, cieśla,
- 2012 Walter Modrzyk, młynarz, Sylwester Sommer, szewc,
- 2013 Maria Banach, gawędziarka, Norbert Gospodarczyk, hydraulik,
- 2014 Lidia Maraszek, fryzjerka, Wojciech Smolarek, rolnik,
- 2015 Barnaba Muńko, zdun, Sylwester Jungowski, murarz,
- 2016 Wioletta Malinowska, pedagog, regionalistka, Zygmunt Muller, klimatyzacja,
- 2017 Irena Galas, gawędziarka, Ryszard Malitowski, dziennikarz, „sąsiad z Kolesina”,
- 2018 Zdzisław Słomiński, piekarz-cukiernik, Klub Sportowy „Polonia” Nowe Kramsko,
- 2019 Stefania Wachowska, nauczycielka, Józef Gawroński, stolarz-rękodziełnik,
- 2020 Tomasz Krieger, „nasz listonosz od 1992”,
- 2021 OSP Nowe Kramsko, OSP Stare Kramsko,
- 2022 Czesław Dudlik, lekarz, Anna Trochelepsza, działaczka charytatywna,
- 2023 Teresa Chromińska, ambasadorka Regionu Kozła, Eugeniusz Kurzawa, pisarz, dziennikarz, regionalista oraz sklep „U Kubika” w Nowym Kramsku.

85. rocznica deportacji obywateli polskich pochodzenia żydowskiego z III Rzeszy

Z okazji rocznicy deportacji polskich Żydów z Niemiec w 1938 r. w Zbąszyniu corocznie odbywają się różnorakie wydarzenia przypominające te fakty. W dniach 25-28 października 2023 r. zaplanowano z rozmachem konferencję popularno-naukową pod hasłem „Historie zebrane. Pamięci zbieranie”, ale także inne działania warte odnotowania. Imprezy odbywały się głównie w Muzeum Ziemi Zbąszyńskiej i Regionu Kozła na Rynku, ale także na

ulicach miasta, w domu kultury. Oto program zrealizowanych wydarzeń i ich uczestnicy.

25 października 2023 (środa)

14.00-19.00 Przyjazd prelegentów i gości, zakwaterowanie: Hotel „Podzamcze”, ul. Garczyńskich.
19.00-21.00 Kolacja integracyjna.

26 października 2023 (czwartek)

9.00-9.30 Powitanie i rejestracja prelegentów, gości i uczestników konfe-

- rencji w Muzeum Ziemi Zbąszyńskiej i Regionu Kozła (Rynek).
- 9.30-11.45 Przejazd bussem na dworzec PKP w Zbąszyniu, zwiedzanie w galerii Stary Dworzec wystawy czasowej „1938 Wypędzeni/Przygarnięci” – oprowadzanie kuratorskie; spacer historyczny śladami deportowanych Żydów po Zbąszyniu, powrót do Muzeum. Wystawa „1938 Wypędzeni/Przygarnięci” pozwala poznać historię Polenaktion 1938, historię wydarzeń sprzed 85 lat, której niemym świadkiem był właśnie budynek dworcowy.
- 11.45-12.00 Przerwa kawowa.
- 12.00-14.00 Wystąpienia prelegentów i dyskusja na temat „Historie zebrane”. Prowadzenie: prof. UAM dr hab. Izabela Skórzyńska, prof. UAM dr hab. Maciej Michalski (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu). „Historie zebrane żydowskich studentów Uniwersytetu Poznańskiego” – Klaudia Kimel, Celina Barszczewska, Agnieszka Zawisza (Szkoła Doktorska Nauk Humanistycznych UAM). „Z badań nad antysemityzmem na Uniwersytecie Poznańskim i w Poznaniu”. Ewa Spławska (Fundacja im. Rudolfa Mossego w Grodzisku Wlkp.) „Wokół aspektów prawnych żydowskich uchodźców w Zbąszyniu 1938-1939”.
- 14.00-15.00 Obiad.
- 15.00-17.30 Warsztaty autorskie Michała Kierzkowskiego „Szkoła Oral History”.
- 18.00-19.30 Spektakl teatralny upamiętniający wydarzenia Polenaktion 1938 przygotowany przez młodzież ze Zbąszynia (Zbąszyńskie Centrum Kultury).
- 19.30 Uroczysta kolacja.
- 27 października 2023 (piątek)
- 9.00-11.00 Wystąpienia i dyskusja na temat „Pamięci zbieranie”. Prowadzenie: prof. UAM dr Maciej Michalski. Aubrey Pomerance (Dyrektor archiwów Muzeum Żydowskiego w Berlinie) „Chusteczki pamięci”. Michał Arkusiński (Autor komiksów historycznych, grafik projektowy, ilustrator – Łódź) „Metodyka pracy nad komiksem historycznym”. Damian Amos Rączka (wiceprezes Stowarzyszenia Miłośników Starego Fordonu, aktywista, społecznik, członek Sieci Forum Dialogu (Bydgoszcz) „Bydgoski Fordon, czyli edukacja pamięcią”. Anita Rucioch-Gołek (dyrektorka Szkoły Podstawowej im. Arkadego Fiedlera w Zbąszyniu, aktywistka lokalna, członkini Sieci Forum Dialogu), Wojciech Olejniczak (kierownik Muzeum Ziemi Zbąszyńskiej i Regionu Kozła, prezes Fundacji Tres, członek Sieci Forum Dialogu) „Historia pamięci Polenaktion 1938-2023”.
- 11.00-11.30 Przerwa kawowa.
- 11.30-13.15 Warsztat autorski Izabeli Skórzyńskiej Szkoła Oratury
- 13.30-4.30 Obiad.
- 14.30 Podsumowanie.
- Zakończenie konferencji.

Obchody miejskie

28 października 2023 (sobota)

10.00-2.00 Zwiedzanie kuratorskie wystawy czasowej „1938 Wypędzeni/Przygarnięci” (Galeria Stary Dworzec).

16.00-17.00 Uroczystość upamiętniająca na zbąszyńskim cmentarzu żydowskim (Przedmieście).

17.00 Muzeum Ziemi Zbąszyńskiej i Regionu Kozła: pokazy filmów „Do zobaczenia za rok w Jerozolimie”/”Zapomniany sprawiedliwy”. „O kuchni żydowskiej – od kuchni” – opowieść o tradycjach kuchni żydowskiej i poczęstunek.

Wszystkie wydarzenia bezpłatne.

O statuetkę Łabędzia Białego

60 uczestników, uczniów klas 1-3 szkół podstawowych z gminy Zbąszyń, wzięło udział w listopadzie 2023 r. w finałowych przesłuchaniach IV Gminnego Konkursu Poezji Patriotycznej o statuetkę Łabędzia Białego. Fundatorem nagrody był burmistrz

Zbąszynia, a organizatorem wydarzenia Szkoła Podstawowa im. Arkadego Fiedlera.

Komisja konkursowa miała nielatte zadanie, gdyż poziom recytacji często był bardzo wysoki, a co najważniejsze i najtrudniejsze – pasja, z jaką dzieci



Mali laureaci zbąszyńskiej Fiedlerówki uczestniczący w konkursie recytatorskim o statuetkę Łabędzia Białego

Fot. Wiktor Woško

recytowały, wymykała się kryteriom oceny, bo przecież dziecięce emocje, te najprawdziwsze i najszczerze, trudno oceniać. Ostatecznie jury w składzie: Wioletta Jankowiak – przewodnicząca Rady Rodziców w zbąszyńskiej Fiedlerówce, Agata Jaworska-Koza – szkolna psycholożka i logopedka, Mateusz Basiński – dyrektor Zbąszyńskiego Centrum Kultury, po długich naradach wyłoniło laureatów i wyróżnionych. Oto oni: Kategoria I – klasy pierwsze: I miejsce i statuetka Łabędzia Białego – Aliaksiej Sys, II miejsce – Cyprian Gajewski, III miejsce – Oliwier Śliwa, wyróżnienie – Zofia Wiśniewska. Kategoria II – klasy drugie: I miejsce i statuetka Łabędzia Białego – Iga Gościński, II miejsce – Maria Młodystach, III miejsce – Zuzanna Napierała, wyróżnienie – Michalina Tarczewska. Kategoria III – klasy trzecie: I miejsce i statuetka Łabędzia Białego – Lena Fleischer, II miejsce – Marcel Błędnia, III miejsce – Wiktoria Iwanicka, wyróżnienie: Lena Dzioch, Helena Kupińska, Hubert Woźniak, Bartosz Nowicki.

Statuetki ufundował burmistrz Tomasz Kurasiński, który również

wręczył wszystkim uczestnikom dyplomy za udział, a laureatom nagrody ufundowane przez szkołę. Ważne, że każde dziecko wyszło z przesłuchań z dyplomem i słodkim upominkiem. W czasie przerwy konkursowej wszyscy uczestnicy zostali zaproszeni na mały poczęstunek i kawę do szkolnej stołówki. Dodatkową nagrodą dla dzieci, które otrzymały statuetki Łabędzia Białego, był występ przed pomnikiem Powstańców Wielkopolskich w Zbąszyniu w czasie uroczystości gminnych z okazji Święta Niepodległości!

Organizacja tego konkursu nie jest łatwa, ale daje ogromną satysfakcję, gdy do współpracy angażuje się tak wiele osób. Wymieńmy je. Pomysłodawczynią konkursu i jego koordynatorką jest Dorota Sikucińska. Dekoracje przygotowały nauczycielki: Monika Lauba, Patrycja Jaworowicz i D. Sikucińska. W organizacji pomogli pracownicy obsługi SP, a nad oprawą muzyczną czuwali uczniowie ze studia filmowego „Arkadia” z Wiktorem Wośko na czele.

 **Anita Rucioch-Gołek**

Pół wieku gminy Siedlec

6 października 2023 r. odbyły się obchody 50-lecia gminy Siedlec. Przed relacją z tego wydarzenia czytelnikowi należy się wyjaśnienie, skąd taki jubileusz. Gmina Siedlec, tak jak 2364 inne

gminy w Polsce, powstała 1 stycznia 1973 roku. Był to skutek reformy administracyjnej, która zniosła gromady i osiedla i przywróciła gminy. Można więc uznać, że jubileusz 50-lecia śmia-

ło może obchodzić 2365 gmin. Nie wiadomo, czy ich włodarze na to się zdecydowali, trzeba jednak przyznać, że Siedlec zrobił to z pompą.

Do restauracji mieszczącej się w kompleksie gastronomiczno-hotelowym „Ostoja” w Chobienicach zaproszono prawie 200 gości, którzy wspólnie budowali gminę, choć wiadomo, że w jej tworzeniu brało udział o wiele więcej osób. Obecni byli m.in. posłowie, wieloletni radni i sołtysi, lokalni przedsiębiorcy, były władze gminy oraz włodarze okolicznych jednostek samorządowych. W przerwie goście mogli obejrzeć wystawę wykonanych w ciągu minionych 50 lat zdjęć, upamiętniających różne inwestycje, imprezy, wizyty ważnych urzędników państwowych itp. Później zaprezentowano też film promujący siedlecki samorząd.

Marszałek województwa wielkopolskiego Marek Woźniak wygłosił wykład o roli samorządu terytorialnego w Polsce, jednocześnie podkreślając, że gmina Siedlec jest jedną z prężniej działających gmin w Wielkopolsce. Głos również zabrali posłowie: Maria Małgorzata Janyska, Marcin Porzucek i Jakub Rutnicki oraz inni goście pragnący złożyć gratulacje gminie – jubilatce. Charakter wspomnieniowy miały rozmowy o gminie. Ich uczestnikami, prócz wójta Jacka Kolesińskiego, byli Stanisław Piosik, wieloletni zasłużony włodarz gminy Siedlec, a później poseł na sejm RP dwóch kadencji, oraz prezes Zarządu Banku Spółdzielczego w Siedlcu Ele-

onora Rybarczyk. Wydarzenie miało charakter spotkania dawnych przyjaciół, którzy z uśmiechem wspominali wzajemną współpracę, przerzucali się anegdotami i opowiadali zebrany, jak dla dobra lokalnej społeczności pokonywali trudności i ograniczenia powodowane sztywnymi przepisami. W rozmowach miał uczestniczyć były wieloletni wójt Adam Cukier, któremu niestety nie udało się dotrzeć. Uhonorowane zostały osoby, które przyczyniają się do rozwoju gminy, m.in. senator Jan Filip Libicki, posłanka na Sejm Maria Małgorzata Janyska, poseł na Sejm Marcin Porzucek, poseł na sejm Jakub Rutnicki oraz dyrektor Wielkopolskiego Zarządu Dróg Wojewódzkich w Poznaniu Paweł Katarzyński.

Całe wydarzenie miało na celu uczczenie jubileuszu gminy, podziękowanie osobom, które tę gminę tworzyły bądź tworzą. Jeszcze w tym roku w holu Urzędu Gminy z okazji 50-lecia zostanie otwarta wystawa zdjęć – z lat 70. i nie tylko. Zarówno wystawa fotografii jak i kolacja, a później bogaty poczęstunek, na który składały się, m.in. wyroby lokalnych przedsiębiorców z branży spożywczej, dostarczyły okazji do indywidualnych rozmów, wspomnień i spotkań z dawno niewidzianymi znajomymi. Goście podkreślali elegancję i piękno wnętrza „Ostoi” Chobienice oraz sprawność obsługi.

Gminie Siedlec życzymy kolejnych udanych 50 lat i równie doskonałe zorganizowanych jubileuszy.

(red.)

wspomnienia





Mój powojenny, subiektywny Trzciel

Zebrałem zachowane w pamięci zdania z mojego Trzcienia, tuż po najstraszliwszej wojnie w dziejach świata. Przez ponad pięć lat okupacji do każdej modlitwy dołączałem prośbę o wolną Polskę. Marzenia spełniły się. Nadszedł czas, że mogłem uczyć się w polskiej szkole, służyć w polskiej armii, studiować w polskiej uczelni i wyznawać swoją religię. Co mogło być ważniejsze? A że było biednie, cóż, takie czasy. Natomiast miejsce, w którym dane mi było spędzić dzieciństwo i młodość, uważam za najpiękniejszą na świecie, z całą jego niepowtarzalną wspaniałością otaczającej przyrody.

Jestem prawie trzcielaniec. Prawie, ponieważ urodziłem się w odległym zaledwie o 5 kilometrów Międzichowie. Okupację przeżyłem 20 kilometrów dalej, w Zębowie, miejscu pochodzenia Mamy, gdzie do dzisiaj mieszka nasza liczna rodzina.

Do Trzcienia przenieśliśmy się w kwietniu 1945 roku. Do końca lat siedemdziesiątych mieszkała tutaj Mama. Pięć lat wcześniej (1974), na „starym” cmentarzu (jak się mówiło – „za torami”), pochowaliśmy Ojca. I tam odnajduję ślady wielu moich znajomych z czasów młodości.

Ucieczka i wysiedlenie Niemców

Niemieckie formacje militarne i administracja zostały wyparte z miasta przez żołnierzy Armii Czerwonej

na przełomie stycznia i lutego 1945 roku. Przed wycofującym się Wehrmachtem i zbliżającym frontem Trzciel opuściła większość cywilnych mieszkańców. Ich ucieczki nie widzieliśmy, nas tu wówczas jeszcze nie było.

W moją pamięć zapadła natomiast ucieczka Niemców w styczniu 1945 roku, widziana w Zębowie. To był przejmujący obraz, mróz, co najmniej minus 20°C, a przez wieś ciągnęły dziesiątki wozów konnych. Niosło się daleko skrzypienie kół na zmrożonym śniegu. Wozy załadowane dobytkiem, powożone przez polskich parobków, na nich kobiety i dzieci. Po dwóch, może trzech dniach woźnice wracali pieszo, opuściwszy swoich „pracodawców”.

Gdy sprowadziliśmy się do Trzcienia, w mieście pozostawali jeszcze nieliczni niemieccy cywile. Wysiedlano ich latem 1945 i 1946 roku. Opuszczali miasteczko przegrani, do tego nie mieli możliwości zabrania całego dobytku. Akcję przeprowadzało wojsko. Nie zapamiętałem zdarzeń drastycznych, ale nie było też z naszej strony specjalnego współczucia, a raczej obojętność. Zbyt świeża pozostawała pamięć doznanych krzywd. W kręgu naszych znajomych trudno było znaleźć rodzinę, która nie straciła bliskich. Z naszej w powstaniu warszawskim zginęło trzech mężczyzn: wuj Michał Błaszczyk (zawodowy wojskowy, piłsudczyk) i jego dwaj synowie (19 i 21 lat).

Po działaniach wojennych na śród-ku Nowego Rynku pozostał cmentarzyk czerwonooarmistów. Po kilku latach prochy żołnierzy przeniesiono na cmentarz wojenny w Międzyrzeczu.

Akcentem militarnym po przejściu frontu było stacjonowanie w mieście pododdziału ludowego Wojska Polskiego. Zajmowali dom Adamczaków naprzeciwko naszego, przy ulicy Sikorskiego. Żołnierze przebywali tam kilka tygodni zachowując się bez zarzutu. Codziennie wieczorem, na wjeździe do piekarni Roszaków, odbywał się apel kończony odśpiewaniem Bogurodzicy. Ich zadaniem prawdopodobnie było zwalczanie oddziałów dywersyjnych, operujących na tych terenach. W takich walkach jesienią 1946 roku poległ milicjant z Trzciela – Józef Mroziak. Pobyt wójaków utkwił mi w pamięci również z powodu chleba. W dni słoneczne suszyli jego pajdy, rozwieszane na sznurkach w oknach. Obraz suszonego chleba to dowód naszej siermięgi i niedoli, nawet w zwycięskiej armii. Takie były początki.

Nowi mieszkańcy

Wojna w niewielkim stopniu okaleczyła miasto. Zniszczony został pałac, most na Obrze i pobliskie budynki, a także most na Czarnej Wodzie. Kościół ewangelicki parę lat później rozebrali Polacy. W niezłym stanie technicznym zachowały się domy, ale większość z nich wymagała bieżących remontów. Była linia kolejowa, niezłe drogi, sieć energetyczna i nie-

wielka gazownia, ale chyba tylko do celów oświetleniowych.

Trzciel zasiedlali nowi mieszkańcy. Pierwszymi byli przybysze z Wielkopolski i wschodnich kresów przedwojennej Polski, głównie tarnopolanie. Kilka polskich rodzin pozostało w mieście z czasów wojny. Pojawili się również szabrownicy, wywożąc wszystko, co miało jakąś wartość. Słaba jeszcze administracja i zupełnie nieprofesjonalne służby porządkowe nie radziły sobie z tą plagą.

Wielkopolanie (pyry, poznanioki) zajmowali domy, których nie mieli w rodzinnych miejscowościach. Spodziewali się znaleźć tu szanse na godne, spokojne życie. O wyborze Trzciela decydowała ówczesna sytuacja polityczna i bliskość rodzinnych stron, nie można było przecież wykluczyć konieczności szybkiego opuszczenia miasta.

Wśród osiedleńców byli ludzie niezbędni do funkcjonowania miasta: kolejarze, rzemieślnicy, handlowcy i drogowcy. Zasiedlali domy, mając jeszcze na początku możliwość ich wyboru, w niektórych znajdowali wyposażenie. Przybywali głównie z zachodnich powiatów Wielkopolski: nowotomskiego i międzychodzkiego. Znaleźli w mieście warunki podobne do tych, w jakich żyli dotychczas. Sporo wiedzieli o swoich niemieckich sąsiadach. Ich poziom cywilizacyjny był podobny do poziomu poprzednich mieszkańców: rzemieślnicy stosowali te same metody wytwarzania; rolnicy podobne sposoby gospodarowania;

warunki klimatyczne i przyrodnicze były dokładnie takie, w jakich żyli dotychczas. Wybierali Trzciel na miejsce nowego życia niezależnie od wykonywanego zawodu. Podobnie rolnicy, zajmując gospodarstwa rolne w samym mieście, często wyposażone w urządzenia i potrzebne maszyny.

W kilka tygodni po poznaniokach do Trzcienia i sąsiednich wsi dotarli wysiedleńcy i uchodźcy ze wschodu – głównie z województwa tarnopolskiego, z powiatów Buczacz i Trembowła, a także innych miejscowości dorzecza Dniestru. To tereny położone od nas ponad tysiąc kilometrów, z odmienną kulturą. Ludzie ciężko doświadczeni podczas wojny i okupacji, zarówno przez Niemców, jak i bandy ukraińskie. Zostawili na wschodzie prawie wszystko, podobnie jak tutaj Niemcy. Jedni i drudzy stracili majątek – dorobek całych pokoleń. Tragedią polskich rodzin było dodatkowo rozdzielenie, część z nich związana małżeństwem musiała tam zostać. Jedni w Trzcielu, drudzy na wschodzie.

Zabużanie dotarli potwornie wymęczeni wielotygodniowym transportem, w niewyobrażalnie trudnych warunkach. To nie oni decydowali o zamieszkaniu właśnie w Trzcielu lub sąsiednich wsiach. To nie ich wybór, ale wskazanie losu. Po latach można powiedzieć, że zaakceptowali swoją nową małą ojczyznę, niewiele bowiem rodzin później stąd wyjechało. Zasiadlali wolne jeszcze domy i mieszkania w mieście, ale głównie gospodarstwa rolne w sąsiednich wsiach. W nie-

których byli prawie w komplecie, tak jak na wschodzie. Zastali już niestety gospodarstwa pozbawione wyposażenia. Zwierzęta mieli tylko te, które udało im się przywieźć, kupić nie było od kogo ani za co. Przywiezione krowy przez długi czas były jedynymi żywicielkami rodziny. Siłę pociągową stanowiły konie. Było ich mało, sytuację ratowały dostawy tych zwierząt w ramach pomocy UNRRA.

Repatrianci ze wschodu przywieźli z sobą inne doświadczenia z uprawy roli. Tam warunki były zdecydowanie odmienne: dłuższy okres wegetacji, bardziej kontynentalny klimat. Nad Obrą otrzymali lekkie piaski, podmokłe łąki i pastwiska. Na domiar złego wylewały rzeki, powodując podtopienia gruntów. Powtarzało się to dwa razy w roku – bardzo wczesną wiosną i tzw. świętojanką (czerwiec). Woda zalewała nawet ulice miasta, m. in. przy młynie, bo podtapiała je też Czarna Woda.

Ze zdziwieniem zauważałem, że w małych gospodarstwach zboże zbierano sierpami. Myślę, że powodem był nie tylko brak innych narzędzi, ale też wielka troska o wykorzystanie każdego kłosa, a obok tego przywiązanie do tradycji. Zabużanie szybko przystosowywali się do nowych warunków. Każdy rok przynosił zmiany i po paru latach nie istniała już różnica w sposobie gospodarowania rolników przybyłych ze wschodu i zachodu.

„Kaczmarki” i „Świerzki”

Między zabużanami a poznaniakami istniała duża nieufność. W pierw-

szych latach były to społeczności hermetyczne. Nie dochodziło do mieszanych małżeństw. Jednak, w tak niedużej miejscowości, jedni i drudzy byli na siebie skazani. Nie dało się żyć bez kontaktów.

Atrakcją ówczesnych czasów były zabawy ludowe. Odbywały się w hali sportowej lub w parku. Przy takiej okazji dochodziło do konfrontacji na „drobne sprzęty”, chociażby krzesła. Nie pamiętam jednak, aby strony czyniły sobie większą krzywdę. To była, stosownie do miejsca, „sportowa rywalizacja”. Zresztą organizatorzy tańców, a była to z reguły straż pożarna, mieli skuteczny sposób reagowania na „bitników”. Na ulicach czasem dochodziło do rękoczynów pomiędzy młodymi ludźmi, ale głów sobie nie porozbijaliśmy. Zatargi szybko szły w niepamięć.

Szkoła mogła być platformą integracji nieufnych wobec siebie grup, nie odgrywała jednak w tym większej roli. Niektóre nauczycielki nie były w stanie sprostać temu zadaniu i dzieły uczniów na swoich i tamtych. Skuteczniejszy był kościół. Ludzi zbliżał do siebie ksiądz Jan Myszka. Pół wieku po jego odejściu mogę powiedzieć, że nie spotkałem człowieka, który tak jak on potrafił jednoczyć ludzi. Trzeba jeszcze wspomnieć o najpóźniej przybyłych do miasta emigrantach z Francji. Oni pasowali do wszystkich. Przyjęto ich bez zastrzeżeń i od początku zaakceptowano.

O swarach i uprzedzeniach najszybciej zapomniała młodzież. Jed-

noczyła nas ciekawość innych ludzi, sport, zabawa, ministrantura, wspólne przebywanie w szkole. Nie pamiętam przypadku, by ktoś skoczył za kimś w ogień. Mam jednak dowód, że w wodę, dla ratowania tonących – skakano. Pamiętam taki fakt: kąpaliśmy się w Obrze przy kładce (teraz jest tam most na obwodnicy miasta). W pewnym momencie porwał mnie wir, topiłem się. Natychmiast pośpieszył z pomocą Józiu Halczuk. Uratował mi życie. Od paru lat Józek nie żyje, ale ja o nim pamiętam, także o jego rodzicach i braciach. On „wschodni” – ja „zachodni”, a ryzykował życie. Wdzięczny, chodzę na jego grób.

Minęło kilka lat, zanim nieufność Kaczmarków do Kurysiów, Świerzków zastąpiła sąsiedzka akceptacja. Gdyby postawić pytanie, kto na integracji trzcielian skorzystał, odpowiedź byłaby prosta: wszyscy! Być może więcej pożytku odnieśli zabuzanie, bo lepiej, że są tu, niż mieliby żyć w granicach dzisiejszej Ukrainy.

A jaka była atmosfera w tamtych latach? Strach przed kolejną wojną, ale też radość z tego, że okupację udało się przeżyć. Na pewno był to okres wielkiego optymizmu. Wolny, świąteczny czas spędzało się w grupie, z rodziną i sąsiadami, na których pomoc zawsze można było liczyć. Dzielono się tym, co kto miał – warzywami, owocami, a także pyszną kaszanką i pasztetową ze świeżo ubitego wieprzka. Mieliśmy świadomość, że jesteśmy biedni jak myszy kościelne, a nasze swobody są mocno

ograniczone. Jakie to miało jednak znaczenie wobec tego, co było już poza nami. Ważne, że mieszkaliśmy w Polsce.

Szkoła

To było coś osobliwego. Uczniowie rozpoczynający naukę w 1945 roku mieli od 8 do 15 lat i właściwie wszyscy nadawali się do pierwszej klasy podstawówki. Dlaczego? Wcześniej po prostu do szkoły nie chodzili, trwała wojna. Obowiązywało niemieckie prawo wykluczające naukę w języku polskim. To prawo nakazywało natomiast nauczanie Polaków w języku niemieckim po ukończeniu 10 lat.

Mając ukończone 9 lat poszedłem do szkoły po raz pierwszy, na szczęście już do polskiej. W przeciągu trzech i pół roku odbyłem całą siedmioletnią edukację na poziomie podstawowym. Efekt nie mógł być najlepszy. Dochodziły do tego kiepskie kwalifikacje wielu nauczycieli, wywołujących więcej zamętu niż pożytku, ale przecież nie miał ich kto zastąpić. Byli też wspaniali pedagodzy, mile wspominałam panią Annę Wasilewską, panów Demutha i Jana Wagnera. Do tego wszystkiego potworna ciasnota i tłok. Cała szkoła mieściła się w jednym budynku, przy ul. Mickiewicza. Niektóre zajęcia odbywały się też w budynku poszpitalnym, przy ul. Armii Czerwonej. Brak podręczników i zeszytów lepiej przemilczeć.

Językiem obcym w mojej klasie był francuski. Nauka, niestety, trwała tylko parę miesięcy. Lektorka francu-

skiego nie była pedagogiem, ale sympatyków tego języka zyskała sporo. Większość z nas pewnie pamięta do dziś „Ojczy Nasz” i „Marsyliankę” po francusku.

Z powodu niskiego poziomu nauczania, kończąc w roku 1950 trzecielską Szkołę Podstawową, mieliśmy duże problemy na egzaminach wstępnych do szkół średnich. Mój rocznik miał zamkniętą drogę do ogólniaka w Międzyrzeczu, „wylądowaliśmy” całą grupą w Krośnie. Mieliśmy spore luki edukacyjne, a katastrofą dla mnie i paru przyjaciół był język rosyjski.

Już w latach późniejszych sytuacja szkoły i młodych ludzi w Trzcielu znacznie się poprawiła. Spóźnione roczniki poszły w świat, kadra nauczycielska została niemal w całości wymieniona, a na miejscu zniszczonego pałacu stanęła nowa szkoła. W jej powstaniu najbardziej zasłużył się kierownik Franciszek Dybowski. Mój Ojciec był przewodniczącym komitetu budowy, otrzymał za to Srebrny Krzyż Zasługi.

Uczyliśmy się też gry na pianinie, lekcji udzielał organista, nazywał się Poczekaj. Opłatę za godzinę nauki stanowiła równowartość bochenka chleba. Efekt mojej edukacji nie był wielki, nie gram, ale lubię słuchać dobrej muzyki.

Skoro piszę o szkole, to wspomnę o starszych, którzy nigdy do żadnej placówki nie uczęszczali. Analfabetyzm był faktem i dotyczył naprawdę niemałej grupy naszej społeczności.

Pamiętam zażenowanie tych ludzi, gdy trzeba było coś podpisać, a oni stawiali krzyżyki. Żal było patrzeć.

Zabawy i rozrywki uczniowskie były stosowne do czasu, po prostu siermiężne, wiążące się z minioną wojną. Hitem stały się detonacje prochu wsypanego do rurki lub klucza, albo wybuchy szarego, miękkiego metalu (chyba saletry). W naszym gronie znajdowali się mistrzowie w strzelaniu z procy i łuku. Dziwne, ale chyba nikt w mieście nie stracił palców ani wzroku. Byliśmy szczęśliwcami.

Pierwszych emocji sportowych po wojnie doświadczyliśmy, gdy zawiązała się drużyna piłkarska (przy szkole budowlanej). Gościli u nas zespoły z Wielkopolski. Toczyły się niebywale zacięte i wyrównane mecze, zdarzały się autentyczne sukcesy naszych piłkarzy.

Wszyscy młodzi ludzie umieli pływać, w pobliżu były jeziora z czystą wodą, plaża, trampolina, szatnie, ławki odpoczynkowe co 50 i 100 m. Przepływaliśmy nawet na drugą stronę jeziora. Popularne było pływanie kajakiem, łodzią i innym sprzętem (balią, gdy Obra wylała). Organizowaliśmy kilkudniowe spływy kajakami w górę rzeki, spanie w szałasach, a towarzyszyło temu podkradanie śmietany chłodzonej przez gospodynie w strumykach dopływających do jeziora Lutol.

Zawzięcie graliśmy w tenisa stołowego. Zimą ślizgaliśmy się na łyżwach i innych łyżwopodobnych sprzętach. Była jazda po jeziorze i zamarznię-

tych rozlewiskach Obry. Sprawność fizyczną wykazywaliśmy wszyscy, bo sportem trzeba było się zajmować z braku innych rozrywek. Wyróżniali się w tym względzie, w różnych dyscyplinach, koledzy: Bryks, Tadeusz Kardasz, Jan Pietrzak – piłka nożna; Tadeusz Wagner, Józef Kudła, Ryszard Demuth – lekkoatletyka; Bronisław Zubel – tenis stołowy; Grabia – wyścigi motocyklowe.

Kościół

Kościół rzymskokatolicki w latach powojennych odgrywał pierwszoplanową rolę. Ludzie, niezależnie skąd przybyli, demonstrowali przywiązanie do religijnej tradycji. Katolicy rzymscy byli prawie jedynymi na tym terenie. Dziwne, ale wśród przybyśzy ze wschodu nie było rodzin wyznania grekokatolickiego. W kręgu naszych znajomych tylko jedna rodzina należała do kościoła ewangelickiego i na pewno nie spotkały ją z tego powodu przykrości.

W dni świąteczne trzcielski kościół pod wezwaniem św. Wojciecha zawsze zaludniał się po brzegi wierzynami. Plac wokół świątyni zajmowały furmanki, stanowiły wówczas podstawowy środek lokomocji, a przyjeżdżali w komplecie niemal wszyscy mieszkańcy sąsiednich wsi. W niektóre niedziele msze odprawiano również w Sierczu. W całej parafii był tylko jeden ksiądz, wspomniany Jan Myszyka. Trafił do nas z obozu koncentracyjnego. Słuchano jego mądrych kazań, wygłaszanych zawsze z wielką

ekspresją i zawsze z ambony. Ksiądz celebrował nabożeństwa wzbogacając je wieloma dodatkowymi modlitwami. Msze trwały długo, czasem ponad dwie godziny.

Plebania mieściła się tuż przy świątyni, w starym rozsypującym się budynku, bez elementarnych wygod. Ksiądz proboszcz był człowiekiem skorym do kontaktów z ludźmi, chętnie przyjmował zaproszenia na wizyty do domów. Rozmawiając, zamaszycie gestykułował. Gdy podczas jednej z wizyt u nas wspomniał pobyt w obozie – nie wytrzymało solidne krzesło. To były bardzo ważne spotkania.

Ksiądz Jan Myszka został przeniesiony do domu dla emerytowanych kapłanów w Gdańsku. Jego następcą został ks. Jan Trela. Wcześniej, jako drugi kapłan, do parafii przybył ks. Józef Hajduk.

Od początku posługę w kościele sprawowały siostry ze Zgromadzenia Misjonarek Marii, mające swoją siedzibę w urokliwej kamienicy przy ulicy Poznańskiej. Tu odbywały się też lekcje religii prowadzone przez siostry.

Organistą był muzyk z wykształcenia i jednocześnie stroiciel fortepianów. Wspomniałem już, że udzielał lekcji gry na pianinie. Żył niezwykle skromnie. Organy w kościele były niezawodne, ale gdy brakowało prądu, a zdarzało się bardzo często, wówczas, energię elektryczną zastępowano siłą nóg ministranckich. Gdy któryś z nich był zbyt słaby, z organów wychodziły „jąkające się” dźwięki.

Grupa ministrantów liczyła kilkunastu chłopców. Należałem do ich grona, a ostatnie dwa lata w roli przewodniczącego (do 1950 r.). Zebrania ministrantów odbywały się na plebanii. Mieliśmy też swoją drużynę piłkarską, ćwiczyliśmy na placyku za kościołem, często wygrywaliśmy z innymi. Ministranci mieli również przywilej organizowania grup kolędniczych (czasem pojawiała się konkurencja), a skromne datki przeznaczaliśmy na zakup potrzebnych drobiazgów do posługi.

Administracja

Ludzi z kwalifikacjami po wojnie było niewiele. Z tego też powodu do pełnienia funkcji państwowych i urzędniczych powoływano osoby bez odpowiedniego przygotowania i doświadczenia w pracy administracyjnej. Generalnie obowiązywał porządek prawny z okresu przedwojennego z elementami improwizacji lokalnej władzy. Wysoko wtedy ceniono dużą maturę (przedwojenną), miało ją jednak zaledwie kilkoro trzcielan.

Jednym z pierwszych urzędników magistrackich został mój Ojciec. Magistrat znajdował się przy Nowym Rynku, pracowało w nim niewiele urzędników. W pierwszych miesiącach ich wynagrodzenie stanowił talon na chleb (jeden dziennie). Chodziłem z tymi talonami do prywatnej piekarni przy tymże Rynku. Z czasem Ojciec awansował na przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej (1952). Za jego kadencji na miejsku

dawnego pałacu wybudowano szkołę otoczoną pięknym parkiem. Nastąpiła również przeprowadzka urzędu do budynku na ul. Poznańskiej, w którym mieści się do chwili obecnej. W czasach niemieckich znajdował się tam sąd, a na zapleczu były cele dla więźniów i aresztowanych. Napisy na ścianach dowodziły, że więziono w nich również Polaków.

Partie i organizacja

Moja wiedza na temat organizacji politycznych jest nader skromna. Od początku istniała Polska Partia Robotnicza, przekształcona w 1949 roku w PZPR. Komitet Gminny mieścił się przy Nowym Rynku, obok urzędu. Nie była to partia ani liczna, ani szczególnie ideowa – i myślę, że nie miała istotnego wpływu na zachowania trzcieliskiej społeczności. Organizowała oficjalne celebracje święta 1 Maja, 22 Lipca itp, a także czyny społeczne, a te akurat służyły miastu. Okresem nasilonej aktywności partii był czas przed referendum „3 x Tak”. Towarzyszyła temu nachalna propaganda, zastraszanie ludzi i kłamstwa. Na to nakładała się atmosfera „zimnej wojny”.

Partia bardzo zabiegała o pozyskiwanie członków. Naciskom był też poddawany Ojciec. Skutecznie. Przynależność w żadnej mierze nie wpłynęła na jego postawę i zachowania. Nie był wyjątkiem, przeciwnie, kiepsko przedstawiała się ideowość znanych mi członków partii. W Trzcielu i pewno w większości tak

małych ośrodków panował, według obecnego słownictwa, pragmatyzm, tolerowano chociażby uczestnictwo w praktykach religijnych, a zebrania zwoływano po majowym nabożeństwie. W Boże Ciało, dopóki zezwalało na procesje ulicami miast, ołtarze w Trzcielu powstawały przy domach ludzi partyjnych, naszym również. Bez tolerancji dla takich postaw partia byłaby nieliczna. Ludzi nie dziwiło, że w przykładowej rodzinie (czy tylko jednej w Trzcielu?) „głowa” była członkiem partii, a „szyja” zaangażowaną ostentacyjnie parafianką.

Oczywiście bzdur i głupot popełnianych i tak było bez liku, również w Trzcielu. Pod patronatem PZPR odbywały się akademie „ku czci”, wygłaszano prostackie referaty warszawskich autorów, współzawodniczono „w czymś”. Jaki był efekt?

Poza „przewodnią siłą narodu”, czyli PPR-PZPR, innych organizacji było niewiele. Nie pamiętam, czy istniała partia chłopska, działało natomiast harcerstwo, ZBOWiD i Ochotnicza Straż Pożarna. Oprócz gaszenie pożarów, na szczęście niezbyt częstych, strażacy organizowali zabawy i festyny. Zdobywali na nich środki na zakup wyposażenia, uświetniali również swoją obecnością, w galowych mundurach, uroczystości świeckie i kościelne.

Zdrowie

Nowi trzcielanie tuż po wojnie nie mogli poszczycić się dobrą kondycją fizyczną. Mieli za sobą lata chłodu

i głodu, wielu odbyło długą „wędrówkę ludów”. Częstymi przypadłościami były: wszawica, świerz b i awitaminoza. W szkole wlewano w nas tran, a po salach niosła się woń szarej maści. Mieliśmy kłopoty z higieną. Nie pamiętałem ani jednego mieszkania z odpowiednią łazienką. Przecież nie było wodociągów ani kanalizacji. Po paru latach urządzono łaźnię miejską i to już stanowiło postęp. Ścieki komunalne zbierane były w szambach, w większości nieszczelnych, a ich opróżnianie stanowiło problem.

Brakowało lekarza, była natomiast apteka na Nowym Rynku. Prowadziła ją pani Niesiołowska, która przez wiele lat pełniła też nieformalnie rolę lekarza. Pomagała ludziom, także mojej rodzinie. Niesiołowscy, po księdzu Janie Myszcze, byli najważniejszymi obywatelami miasta. Aptekarzowanie polegało wtedy na sporządzaniu leków, a nie sprzedawaniu gotowych medykamentów. Dopiero około połowy lat pięćdziesiątych uruchomiono izbę porodową, ośrodek zdrowia i przychodnię dentystyczną. Wydobywanie się z dna cywilizacyjnego trwało dosyć długo.

Środki komunikacji i informacji

Żyliśmy sprawami swoich rodzin, sprawami miasta i znanych nam mieszkańców okolicznych wiosek. Problemy regionu i kraju nie budziły szczególnego zainteresowania. Pano wało przekonanie, że polityką (dla własnego bezpieczeństwa) lepiej się

nie zajmować. Powszechnym pragnieniem był spokój i życzenie, by znów nie doszło do kolejnej wojny. W Europie i na świecie działo się wiele złego, wiedzieliśmy o tym wszyscy, więc obawialiśmy się o najbliższą przyszłość. Skąpa wiedza i małe zainteresowanie sprawami spoza swoich opłotków wynikały z braku informacji. Radio mieli nieliczni. Słuchano „Wolnej Europy”, ale stamtąd wiadomości raczej wzmagaly niepokój. Później, po śmierci Stalina i za rządów Gomułki, włączanie tej rozgłośni nie było już tak niebezpieczne. Za to prawie wszyscy mieli dostęp do programu pierwszego Polskiego Radia, nadawanego przez kołchoźniki, czyli sieć miejską zamontowanych w domach głośników. Obsługa tego urządzenia ograniczała się do regulacji głośności. Ważną audycją była skrzynka poszukiwań PR nadawana codziennie. Słuchała jej też nasza ciocia, mająca długo nadzieję, że z powstania ocaleli jej synowie i przebywają za granicą. Fakt ten ilustruje tragizm wojennych losów Polaków. Miałem to szczęście, że mieszkający po sąsiedzku Basińscy posiadali dobre radio i w niedzielę wystawiali je w oknie. Całymi godzinami słuchaliśmy czeskiej muzyki i południowych koncertów zespołu mandolinistów łodzianina Ciukszy.

Czytało się wówczas „Głos Wielkopolski”, mając świadomość, że informacje polityczne i społeczne są przefiltrowane przez cenzurę. Pierwszym tygodnikiem, który pojawił się

w naszym domu, była „Przyjaciółka” prenumerowana przez Mamę.

W latach pięćdziesiątych powstało w mieście kino. Seanse cieszyły się dużą frekwencją. Wyświetlano dobre i złe filmy, ważne były jednak kolejne wydania Polskiej Kroniki Filmowej. Stanowiła ona najbardziej atrakcyjną formę przekazywania informacji. Obecność w kinie zbliżała do siebie mieszkańców. Nie bez znaczenia było położenie sali kinowej, tuż przy gospodarstwie.

Od początku miasto miało swojego herolda. Przekazywał ważne dla mieszkańców informacje i rozporządzenia władz lokalnych. W wyznaczonych miejscach ogłaszał swoje przybycie sporych rozmiarów dzwonkiem lub sygnałem trąbki. Gdy mieszkańcy wylegli przed domy, donośnym głosem czytał tekst komunikatu. Było to proste i niezłe funkcjonujące rozwiązanie.

Ze światem zewnętrznym łączyła nas linia kolejowa Zbąszynek – Międzychód i miała dawniej niebagatelne znaczenie. Do dziś pozostały wspomnienia świetności trzcieliskiej kolei. Pociąg poruszał się w dostojnym tempie, a podróżujący nim ludzie tradycyjnie posilali się jajkami na twardo. Skorupkę rozbijało się o twardą, drewnianą ławkę. W miarę upływu lat i coraz szybszego tempa życia, nasz pociąg, jakby na przekór, jeździł z roku na rok wolniej. Z czasem podobno można było wsiąść, nazbierać grzybów, a idąc zgodnie z kierunkiem jazdy, ponownie wsiąść

i spokojnie dojechać do celu. Ale sentyment do kolei pozostał, również do pięknego dworca, ongiś zadbanego i czystego, z funkcjonującym w nim przez jakiś czas barem i wyszynkiem.

Gospodarka

Stanowiliśmy w Trzcielu społeczność bardzo biedną, chudziutka też była kasa miasta. Rodziny musiały zabiegać o zapewnienie sobie żywności. Wszechobecna była gospodarka samowystarczalna – ogród, własny drób i trzoda. Na szczęście ominęła nas po wojnie klęska głodu.

Przekleństwem tamtych czasów była zakodowana w świadomości tymczasowość. Fatalna atmosfera międzynarodowa sprawiała, że można było spodziewać się kolejnego konfliktu na wielką skalę, do tego pamięć o dopiero zakończonej wojnie paraliżowała wszystkich. Mówiono o możliwości powrotu Niemców i konieczności ucieczki. Gdzie mieliśmy wracać? Takie nastawienie powodowało, że w Trzcielu przez wiele lat nie zbudowano żadnego domu. Przełom nastąpił dopiero na początku lat siedemdziesiątych, kiedy zaczęto je stawiać, ale też dbać o porządek i swoje prywatne mienie. Miasto wyładniało.

Przeciętny trzcielaniec nie był majątny, bo nie miał wielu szans na godziwe dochody. Do lepiej zarabiających należeli ci, którzy znaleźli pracę w sąsiednich miejscowościach. Tutejsze zakłady nie wyróżniały się nowoczesnością ani skalą produkcji, a tym bardziej wysokością płac. Dominowa-

ło proste przetwórstwo miejscowych surowców – drewna i wikliny. W tych branżach nie zarabiano się dobrze. Uzupełnieniem rodzinnych budżetów były małe działki rolne. Miało je kilkaset rodzin. W co drugim domu trzymano krowę, a jeszcze częściej trzodę. Wszyscy mieli drób. Z czasem skala tej miniprodukcji rolniczej malała.

W późniejszych latach zaczęto wykorzystywać przyrodnicze walory miasta i okolic. Latem zjeżdżali wczasowicze oraz młodzież i dzieci na kolonie. Na Obrze organizowano spływy kajakowe. Było gwarно i ludno. Na wysokich obrotach pracowali piekarze oraz inni producenci żywności. Bazę noclegową stanowiły głównie placówki szkolne, wprawdzie bez komfortu, ale wymagania wówczas nie były wysokie. Kolonie spełniały ważną rolę promocyjną tego regionu.

Nasze miasto nie miało też szczególności do ludzi przedsiębiorczych. Tarta-

ki i wikliniarstwo nie mogły zdynamizować rozwoju. Młodzi i wykształceni znajdowali sobie miejsce gdzie indziej. To była ujemna strona naszych czasów! Miasto omijały wstrząsy społeczne i afery, a rządzący nie popadali w konflikty z mieszkańcami. Trzciel był spokojny – za spokojny.

 **Bernard Świdzki**

Materiał wspomnieniowy pt. „Mój powojenny, subiektywny Trzciel – fragmenty” był drukowany w książce „Sercem pisane. Suplement” (Trzciel 2010) wydanej przez Stowarzyszenie Miłośników Trzcienia. Przedruku dokonujemy za zgodą redaktorki wymienionej pozycji.

Mieszkańców Trzcienia zachęcamy do napisania do „Szkiców Nadobrzezańskich” podobnych wspomnień, z chęcią je zamieścimy.

(red.)

Nadgraniczne miasto i starsi bracia w wierze

(lata 1938-1943)

Złotą jesienią, rankiem 28 października 1938, Zbąszyń obudził się w innej rzeczywistości. Na ulicach pojawiła się masa obcych ludzi. Otóż wówczas przekroczyły granicę państwową między Polską a III Rzeszą niemiecką, odległą około 6 kilometrów od miasta,

tysiące Żydów. Ludzi bezbronnych, brutalnie wypędzonych ze swoich miejsc zamieszkania i siłą zmuszonych do szukania schronienia w Polsce. W dniach 29 i 30 października około 20.00 wieczorem wjechał na stację niemiecki pociąg z Żydami, po-

siadaczami polskiego paszportu. Okazało się, że wysiedlono wtedy z Niemiec około 17 tysięcy osób, z tego większość trafiła do Zbąszynia.

Pomoc Żydom z wielu stron

Ludziom wydziedziczonym i deportowanym, którzy stawali na polskiej ziemi, niezbędna była niezwłoczna pomoc. Znaczną część wygnańców w wielkim pośpiechu skierowano na teren wcześniej opróżnionych koszar wojskowych¹. Dach nad głową znaleźli w stajniach i szopach, część pod gołym niebem – na łące nad Obrą i w przyległych lasach. Udostępniono budynek nieczynnego młyna braci Grzybowskich; młyn po spaleniu został odbudowany, ale jeszcze brak było wyposażenia technicznego. Uchodźców ulokowano też w hali gimnastycznej i na boisku sportowym. Na terenie koszar, w budynku dowództwa szwadronu, zorganizowano gabinet lekarski i quasi-szpitalik. Powiatowy szpital był bowiem w odległym o 18 km Nowym Tomysłu.

Od pierwszej chwili mieszkańcy spontanicznie pośpieszyli z pomocą. W prywatnych mieszkaniach każde krzesło, fotel, leżanka stanowiły miejsce czasowego pobytu przybyszów. W naszym dwupokojowym mieszkaniu przy ulicy Granicznej prócz naszej czteroosobowej rodziny gościliśmy siedem osób w starszym wieku.

Na apel komitetu pomocy Żydom w Warszawie zaczęły napływać dary z całego świata. Komitet opłacał zakwaterowanie i inne wydatki (żywność, opał). Nieszczęśnicy przy sobie nie mieli bowiem nic, nawet zabrana z domu walizeczka, torebka czy pled po drodze z braku sił bywały pozostawione lub zgubione w czasie drogi do granicy niemiecko-polskiej. Jak mówili o sobie, byli pędzeni pieszo przez kilkanaście, a niektórzy nawet kilkadziesiąt kilometrów.

Do Zbąszynia przybyli mieszkańcy Berlina, Frankfurtu nad Menem, Hamburga i innych miejscowości z terenu Niemiec. Nieco później dowiedzieliśmy się, że aresztowania i deportacje przeprowadzano m.in. w Breslau (Wrocław) i na terenie Westfalii. Pamiętam mieszkających u nas panią Frisch (64 l.) z Hamburga, inż. Leo Heiselbecka z Heidelbergu, małżeństwo Friedlerów oraz trzech braci Feuersteinów z Duisburga, których rodzice w czasie ich wysiedlania byli akurat na wakacjach w Holandii.

Przybysze nie mówili po polsku, ale mieszkańcy miasta przeważnie znali niemiecki, więc kłopotów z porozumieniem się nie było. Pilnym i najważniejszym problemem było zakwaterowanie i wyżywienie tej wielotysięcznej rzeszy ludzkiej, której liczba na początku prawie dwukrotnie przewyższała liczbę mieszkańców Zbąszynia. Ważne było zapewnienie

1 W koszarach od listopada 1926 do września 1937 stacjonował 1. szwadron 7. pułku Strzelców Konnych Wielkopolskich.

pomocy lekarskiej, zwłaszcza osobom w podeszłym wieku i dzieciom.

Formy pomocy wygnańcom

Wkrótce przybył z Warszawy dr Ginzberg [? wydaje się, iż może tu chodzić o Emanuela Ringelbluma – red.] i zorganizował komitet pomocy Żydom. Z uwagi na brak miejscowych Żydów, członków komitetu rekrutowano z Warszawy i spośród uchodźców. Siedziba komitetu mieściła się w domu byłego burmistrza miasta, Antoniego Szostaka, przy ulicy 17 Stycznia 1920 r. Ciało to organizowało codzienne transporty z pieczywem i masłem, które rozdzielano bezpośrednio z samochodu na ulicy w dzielnicy dworcowej, gdzie było największe skupisko wygnańców.

Powoli przyzwyczajaliśmy się do zmienionego krajobrazu ulic miasta. Wcześniej właściwie nikt nie mówił o Żydach, a we wspomnieniach starszej generacji byli oni przeszłością. Kiedyś spytałem mego Ojca, ilu mieszka w mieście Żydów, i dowiedziałem się, że już przed pierwszą wojną światową znaczna część przeniosła się w głąb kraju, a w mieście pozostało zaledwie kilka rodzin. Zbąszyńska synagoga sąsiadowała ze szkołą powszechną przy Rynku, do której uczęszczałem i oczywiście widzieliśmy od czasu do czasu kilka osób wchodzących tam na modlitwę. Czasem przez duże, podłużne okna, które wychodziły na obecną ulicę Żydowską, widywaliśmy modlących się.

Wówczas, w 1938 r., przerażały nas informacje, które wygnańcy nam

przekazywali, o rzeczywistej sytuacji politycznej w Niemczech. Moi rodzice, konfrontując to z informacjami polskiej prasy i radia, odnosili wrażenie, że albo nas nie informowano, albo też otrzymywaliśmy niepełne wiadomości. Przed przybyciem uchodźców z własnych obserwacji wiedzieliśmy tylko, że kolejarze niemieccy, którzy służbowo bywali w Zbąszyniu, opuszczali miasto ze znaczną ilością żywności. Nasi bliscy krewni (urodzeni w Zbąszyniu) osiadli w Berlinie czy Düsseldorfie, którzy nas odwiedzali po dojściu do władzy narodowych socjalistów, także chętnie zabierali paczki z żywnością, wracając do siebie. W wypowiedziach byli oszczędni i nie podejrzewaliśmy, że obawiają się mówić o swoim położeniu. My natomiast widzieliśmy, że przez stację kolejową w Zbąszyniu przechodziły niemal codziennie długie transporty z żywcem (kury, gęsi, kaczki) do Niemiec. Odprawa tych transportów odbywała się na bocznicę urzędu celnego i na terenie dawnej krochmalni blisko dworca kolejowego.

W polskim życiu publicznym panował urzędowy optymizm. Wysiedleńcy z Rzeszy natomiast nie mieli wątpliwości, że wojna może każdej chwili się rozpocząć, najpóźniej na wiosnę następnego roku. Pokolenie moich rodziców nie pragnęło wojny. Sami przecież niedawno brali czynny udział w pierwszej wojnie światowej, ale sytuacja z każdym dniem stawała się coraz bardziej napięta. Dlatego też od momentu przybycia wygnańców do

Polski nie mieli oni chwili do stracenia. Dla nich rozpoczęła się pogon z czasem, by zdobyć dokumenty i wizeny różnych krajów – Anglii, Francji, Stanów Zjednoczonych. Bardzo wielu z tych, których widziałem, było ludźmi wiary, oddającym się modlitwie i nauce języków obcych. Czy wszystkim się udało wyjechać z Polski przed wybuchem?

Dodatkowa poczta

Po kilku tygodniach, z uwagi na ilość przesyłek kierowanych z zagranicy do przybyłych Żydów, pomieszczenia Urzędu Pocztowego przy dworcu nie były w stanie ich przyjąć i doręczać adresatom. W związku z tym około 5 listopada 1938 zorganizowano oddział (m.in. Wincenty Owoc, Barański) w sąsiednim budynku dawnego pruskiego dworca kolejowego. To rozwiązanie okazało się niewystarczające. Już po upływie tygodnia zorganizowano filię Urzędu Pocztowego 2 dla obsługi uchodźców żydowskich – pod kierunkiem mego Ojca. Do pomocy otrzymał zespół urzędników: Stanisława Andrysa, Franciszka Misiewiczza, Wojciecha Sołtysika i kilku dodatkowo zatrudnionych pracowników, a wśród nich matkę mego przyjaciela, Zenona Owoca, którym pomagało 26 Żydów-wygnañców.

Ilość przesyłek z każdym dniem rosła tak, że nawet w nowych pomieszczeniach robiło się ciasno. Można sobie wyobrazić ofiarność pracowników filii pocztowej, która miała tysiące interesantów bez stałego miejsca zamieszkania. Taka usługa pocztowa

jak poste restante, która w normalnych warunkach jest marginesową, tutaj była główną usługą. Poczta dla Żydów funkcjonowała jednak bez zarzutu. Urzędnicy zbierali pochwały od samych zainteresowanych, w tym komitetu pomocy Żydom z Warszawy i jej ekspozytury w Zbąszyniu, jak i przełożonych Poczty Polskiej. Filie ze względu na wyjazd uchodźców ze Zbąszynia do różnych krajów zachodnich i innych miast w Polsce według pochodzenia (Kraków, woj. wileńskie) rozwiązano z dniem 1 lipca 1939.

Wcześniej budynek starego dworca wykorzystywano jako magazyn. Jedna sala była przystosowana do emisji filmów, gdzie oglądałem m.in. „Królowę Śnieżkę” (1938), „Ben Hura” i „Ordynata Michorowskiego”. Może wydawać się to dziwne, że ośmioletni kawaler oglądał filmy dla dorosłych, ale miałem dobre znajomości – dziadka Szeffnera, pracownika kolei państwowych.

Według relacji mego Ojca, w dniu wybuchu wojny Żydów w mieście już nie było. Wcześniej opuścili miasto pociągami, łącznie z chorymi. Nasz wyjazd na początku czerwca 1939 do Wrześni nie pozwolił na obserwację dalszych ich losów – przynajmniej tych osób, które u nas mieszkały od października 1938.

Wojenny powrót do Zbąszynia

Do naszego przedwojennego mieszkania w Zbąszyniu wróciliśmy w lecie 1940 r. Miasto zmieniło swoje oblicze – stało się niemieckie. Na ulicy spo-

tkaliśmy mniej znajomych, bo część z nich została wcześniej wysiedlona do Generalnego Gubernatorstwa, szkoła i kościół zostały zamknięte. W przedłużeniu ulicy Granicznej, która teraz się nazywała Tirschtiegler Strasse (Trzcielska), na terenach dawno nieczynnej krochmalni oraz przedwojennego urzędu celnego utworzono obóz dla Żydów. Przed wojną mieszkało tam w niezmiernie prymitywnych pomieszczeniach kilku bezrobotnych obywateli miasta z rodzinami. Każdy miał jedno pomieszczenie dla całej rodziny, bez jakichkolwiek wygód. Jeden z kolegów klasowych był mieszkańcem tego miejsca niewyobrażalnej nędzy. Moja mama od czasu do czasu kazała zaprosić kolegę po szkole na obiad. Pewnego razu odprowadziłem go do domu i wówczas zobaczyłem, gdzie i jak mieszka. W roku 1940 Niemcy na tym terenie umieścili Żydów. W budynku dawnego urzędu celnego umieszczono niemiecką szkołę dla policyjnych psów. Teren obozu został odgradzony metalową siatką z jednej, a z drugiej był otoczony wysokim murem. Tam w kilku zadaszonych pomieszczeniach i pod gołym niebem umieszczono więźniów.

Żydowski obóz przy ul. Granicznej

Widok codziennego przemarszu kolumny około 200 Żydów z obozu do stacji kolejowej okrężną drogą (2 kilometry) – szosą od strony Strzyżewa przez ulicę Graniczną do przejazdu

kolejowego przy cegielni i dalej ulicą 17. Stycznia 1920 r. do dworca kolejowego – był dla okolicznych mieszkańców wstrząsem. Droga bezpośrednia z obozu na dworzec wynosiła około 300 metrów. Między urzędem pocztowym a starym dworcem kolejowym było wejście awaryjne na perony dla pojazdów kołowych. Przez to właśnie przejście do wagonów towarowych przy ostatnim, czwartym peronie, przy pomocy pałek i psów byli pędzeni Żydzi. Upychanie tych ludzi do dwóch-trzech wagonów odbywało się przy pomocy pejczy, bo miejsca na tyle osób było stanowczo za mało. Pociąg przebywał trasę 7-8 km ze Zbąszynia do Neu Bentschen (Zbąszynek), gdzie Żydzi byli zatrudnieni przy ciężkich pracach ziemnych na tamtejszym, znacznie większym i nowocześniejszym od tego w Zbąszyniu węźle kolejowym. Przemarsz kolumny szkieletów ludzkich powtarzał się każdego dnia – rano na dworzec, a pod wieczór z dworca do obozu. Na końcu kolumny poganianej przez esesmanów, współtowarzysze niedoli podtrzymywali tych, którzy już o własnych siłach iść nie mogli.

Dostęp do obozu był dobrze strzeżony, wszelkie podejmowane próby zbliżenia się do więźniów okazały się niemożliwe. Od strony muru okalającego obóz były pola uprawne, otwarta przestrzeń i dobra widoczność dla straży, natomiast z drugiej strony, w budynku byłego urzędu celnego z bocznicą kolejową, były także straże i wspomniana szkoła psów.

Starsi nie mieli żadnych szans na jakikolwiek kontakt z tymi nieszczęśliwymi ludźmi.

Harcerze w akcji

Czy wobec tego harcerski zastęp „Orłów”, zwłaszcza jego najstarsi członkowie, mogliby coś tu pomóc? Podjęto próbę, górę wziął młodzieżowy idealizm². Zastęp „Orłów”, którego byłem zastępowym w latach 1940-1943, podjął się dostarczenia małych zawiniątek do rąk więźniów lub próbował je podrzucić w czasie przemarszu kolumny na ul. Granicznej, jak i przy załadunku do wagonów. Czasem się udawało. Zawartość to ziemniak, marchewka, kromka chleba, informacja o działaniach Niemców. W akcji braliśmy udział indywidualnie, gdyż grupa nie miała żadnych możliwości, by zbliżyć się do kolumny. Wobec przemocy, jaką zastosowano wobec więźniów, byliśmy bezsilni.

Zastęp „Orłów” tworzyli rówieśnicy, dzieci sąsiadów: Stefan Ratajczak, Jan Smerda, Marian Frasz, Kazimierz Grefling, bracia Andersowie i syn kolejarza, którego nazwiska nie zapamiętałem. Opiekował się nami Franciszek Frasz, urzędnik pocztowy i kapral rezerwy, a także ojciec trzech córek i syna: Małgorzaty, Gabrieli i Moniki oraz Mariana.

Zastęp „Orłów” zbierał się nad Obrą. W czasie jednej ze zbiórek spotkał czeskich kolejarzy, którzy prac-

wali w Neu Bentschen. Wypoczywali tutaj w niedzielę nad wodą. Wówczas nawiązano współpracę w celu udzielenia pomocy pracującym w ich sąsiedztwie Żydom, która trwała do czasu mojego zatrzymania przez Niemców.

Pewnego styczniowego poranka w 1943 czasie załadowywania więźniów przy peronie czwartym byłem świadkiem, jak przy pomocy pałek dopychano ich tak długo, aż drzwi można było domknąć. Byłem przy wagonie, by oddać paczuszkę więźniowi, czego esesmani nie zauważyli. Pobiegnę na drugą stronę wagonów, by zaczekać na odjazd pociągu. Zanim pociąg odjechał, zauważyli mnie strażnicy ze swego posterunku przy ówczesnej Czarnej Drodze. Zostałem zatrzymany przez niemiecką straż kolejową i zamknięto mnie w jednym z pomieszczeń strażnicy, w pustym pokoju z okratowanym oknem, bez światła. Tak przesiedziałem na podłodze do wieczora. Po sprawdzeniu danych i adresu zamieszkania wypuszczono mnie do domu. Na tym skończyła się moja rola jako zastępowego „Orłów” w Zbąszyniu.


Przymusowe roboty

Następstwem zatrzymania było wysłanie przez niemiecki urząd pracy (1 lutego 1943), wówczas 14-letniego młodzieńca, do przymusowej pracy na folwarku Niemca Romana Schedlera w Jastrzębsku Nowym. Po mo-

2 E. S. Kruszewski, *Bądź gotów. Moja harcerska służba 1938-2018*. København, Nakładem autora, 2018. 123 s., il.

jej ucieczce w październiku tego roku z Jastrzębska do domu okupanci nie mieli jednak problemu z odnalezieniem uciekiniera i wtedy skierowali mnie od 1 listopada 1943 jako ucznia do firmy instalacyjno-blacharskiej

Woelke w Nowym Tomysłu, gdzie przebywałem do grudnia 1944 i wróciłem do domu tuż przed świętami Bożego Narodzenia.

 **Eugeniusz S. Kruszewski**

Profesor Eugeniusz Stanisław Kruszewski ur. 13 listopada 1929 r. w Zbąszyniu. Studia w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Sopocie. 16 października 1969 r., jako emigrant polityczny, wyjechał do Danii i osiadł w Kopenhadze, gdzie mieszka do dziś. Po dokończeniu studiów doktoranckich w Kopenhadze w 1974 r., Kruszewski podjął kolejne studia doktoranckie w 1976 r., tym razem w zakresie nauk politycznych w Londynie. Habilitację w zakresie historii stosunków międzynarodowych zrobił w 1980 r., profesorem zwyczajnym Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie został w 1985 r. Jest autorem 21 monografii oraz 36 rozpraw i artykułów naukowych, ponad 400 tekstów.

Wspomnienie o latach młodości

Telefon z redakcji „Szkiców Nadobrzańskich” zmobilizował mnie, żeby odbyć sentymentalną podróż do Chobienic – miejscowości rodzinnej mojego Ojca, Mariana Springera, autora publikacji pt. „Chobienice. Zarys dziejów”.

Ojciec przeprowadził się ze Świętą (gdzie się urodziłem) do Zielonej Góry w roku 1950. Nie pamiętam tego wydarzenia, gdyż miałem wtedy zaledwie 3 lata. W Zielonej Górze organizował życie oświatowe. Pracował jako kierownik Wydziału Oświaty i inspektor szkolny. Od daw-

na interesował się historią (tę wojenną sam przeżył), co skłoniło go do odbycia studiów w tym zakresie na uczelniach w Krakowie i Opolu. Pamiętam jak oczekiwaliśmy na zielonogórskim dworcu kolejowym, gdy wracał z dyplomem...

W późniejszym okresie, gdy na weekendy wracałem z czasowego (10 lat) zamieszkiwania w Poznaniu, zawsze odwiedzałem Ojca w jego zielonogórskim mieszkaniu, przywożąc zamówione książki i czasopisma. Nawet w podeszłym wieku, mając 95 lat, był na bieżąco z historią, geografią

i polityką, interesował się też nowinkami technicznymi. Tatuś mój uwielbiał rozwiązywać krzyżówki i w każdą sobotę musiałem obowiązkowo dostarczać nowych. Zawsze na biurku leżały otwarte książki, encyklopedie i wiele zapisanych ręcznie kartek, fiszek. Do końca swoich dni był czynny intelektualnie, dla mnie był autorytetem, darzyłem go synowską miłością i ogromnym szacunkiem. Zmarł spokojnie w roku 2007, a pewne oryginalne materiały, jakie pozostawił – pamiątki z pobytu w obozie jenieckim Murnau, medale i odznaczenia oraz wiele książek – przekazałem do Muzeum Wojskowego w Drzonowie, do Muzeum Ziemi Lubuskiej i do zielonogórskich bibliotek.

W okresie zbierania przez niego materiału do monografii Chobienic miałem okazję uczestniczyć w wielu ciekawych wyjazdach z Zielonej Góry, gdzie obecnie mieszkam, do Chobienic, Babimostu, Kargowej, Siedlca, Zbąszynia i okolic. Tatuś spotykał mieszkańców, prowadził z nimi rozmowy, słuchał i notował. Potem w domu zasiadał do starej maszyny do pisania, wkręcał papier, kalki i pisał. Czasami się zdarzało, że byłem pierwszym recenzentem określonego fragmentu przyszłej książki. Mimo iż towarzyszyłem mu wtedy w spotkaniach i rozmowach, mój udział ograniczał się do rejestracji fotograficznej charakterystycznych miejscowych obiektów (pomniki, szkoły, ulice, place) oraz reprodukcji starych fotografii i dokumentów.

Przez wiele lat nie odwiedziłem Chobienic, toteż tegoroczny wyjazd uświadomił mi, jak wiele się tam zmieniło. Dzisiejsze Chobienice to ładnie zagospodarowana miejscowość z odrestaurowanymi dawnymi i nowymi budynkami mieszkalnymi i gospodarskimi, wspaniały kompleks hotelowo-konferencyjny „Ostoja” i chyba tylko Rów Szarkowski, budynek starej szkoły, kościół i cmentarz oraz ruiny pałacu Mielżyńskich pozostały takie, jakie zapamiętałem z tego okresu. Myślę, że Tatuś byłby dumny, widząc, jaka przemiana nastąpiła w Chobienicach.

We wczesnych latach dziecięcych, bywało, że na wakacje Tatuś zabierał mnie i młodszą siostrę do jego rodzinnych Chobienic. Jakież to były atrakcje dla nas „miastowych”, gdy bawiliśmy się w stodole w chowanego lub biegaliśmy po babcinym ogrodzie i zrywaliśmy z krzaków dojrzały słodki agrest, wiśnie, jasne papierówki czy czerwone porzeczki – nazywane tam świętojankami! Ogród był niezbyt wielki, ale za to długi, aż do byłej niegdyś, jak mówiono, granicy państwowej. Zaraz za stodołą po drugiej stronie tzw. wygodki był swoisty park maszyn rolniczych oczekujących na kolejność wykorzystania do prac polowych. Ach, czego tam nie było, brony, pługi jedno- i wieloskobowe, i wiele innych, których nazw nawet nie znam, ale dla przyszłego inżyniera całe to żelastwo stanowiło techniczną ciekawostkę.

W niewielkim gospodarstwie wujka Wicka (Wincenty – mąż siostry Ta-

tusia) była krowa, świnki, kurki i koń zaprzęgany do wozu drabiniastego, którym wielokrotnie jeździliśmy na odległe pole po saradę, siano lub skoszone żyto. Wtedy kosiło się ręcznie kosą, więc Tatuś i jego bracia byli żniwiarzami przez kilka dni. Cała rodzina bywała zaangażowana, my dzieci też, ale nie wolno nam było zbliżyć się do koszących bliżej niż na odległość kilku metrów. Nasza pomoc to był obowiązek (i przyjemność) przynosić spragnionym dorosłym na pole pożywienie i kawę zbożową przyrządzoną przez babcię. Ten zapach kawy do dziś pamiętam. Babcia sporządzała też domowe ciemne piwo, przechowywane w „sklepie” (piwnicy), którego nam, dzieciom, nie było wolno pić, ale raz się trafiło! Bardzo dobre! Wspominam też smak babcinego masła, które powstawało w centryfudze na korbę. Najpierw oddzielało się śmietanę, a potem ubijało się w drewnianym kołowrotku. Wypieczony pachnący zbożem własny chleb z tym masłem to... palce lizać!

Wspominam także wyjazdy z Tatusiem do Zbąszynia, do cioci Marysi, jego siostry. Jej mąż, Wiktor Trocholepsz, kolejarz z zawodu, był znanym wówczas żeglarzem działającym miejscowym klubie Ligii Morskiej. Tam, w przystani wodnej nazywanej Dąbki, razem z kuzynem Mietkiem spędziliśmy wiele wakacyjnych chwil na wodzie, halsując wzdłuż i wszerz jeziora na omegach, słonkach, kadetach i innych łódkach. Pamiętam, jak kiedyś na gaflowej de-

zecie zaskoczyła nas burza z piorunami. Oj, było strasznie, baliśmy się, ale dopłynęliśmy; Tatuś i wujek Wiktor oczywiście nas „pochwalili”. Za karę następne pływanie odbyliśmy dopiero za rok, ale za to z kilkudniowym pobylem na biwaku nad jeziorem Grójeckim. Dom wujostwa w Zbąszyniu znajdował się na końcu ulicy Wigury, dalej to tylko łąki i rzeka Obra, która pewnej zimy, wylewając, utworzyła olbrzymie lodowisko. Dzięki temu po obu stronach nasypu kolejowego ciągnęła się wielka tafla lodu. Był to okres ferii zimowych, zaś Mietek miał łyżwy na „żabki”, a jego buty mi pasowały, więc co jakiś czas następowała wymiana obuwia. Godzinami nie schodziliśmy z lodu, pomimo zimna, mokrych skarpet i sinych nosów. Oczywiście czekała nas „pochwała” od rodziców, ale co tam!

Także później z wielu powodów lubiłem te wyjazdy do Zbąszynia: bliska rodzina, wielkie jezioro, Łódki i dworzec kolejowy, który zawsze wydawał mi się olbrzymi w porównaniu ze starym zielonogórskim. Tam też w pewnym okresie wujek Wiktor stworzył coś, z czego był dumny (rodzaj muzeum kolejowego) – Salę Wspomnień dworca PKP Zbąszyń.

Pewnej letniej niedzieli przypadkowo byłem świadkiem koncertu kozłarzy na zbąszyńskim Rynku. Jako uczeń zielonogórskiej szkoły muzycznej pierwszy raz usłyszałem taką muzykę, na takich instrumentach. Pierwszy raz widziałem kozły. Chyba podświadomie wczułem się w tę muzykę, zrozu-

miałem, że klimat tego miejsca jest mi bardzo bliski. Rodzice moi to Wielkopolanie (Chobienice, Rakoniewice), a ja, urodzony w Świętnie, choć wychowany w Zielonej Górze, także czuję więzi z Regionem Kozła. W okresie, gdy przez blisko dziesięć lat mieszkałem i pracowałem zawodowo w Pozna-

niu, elementy kultury, języka i gwary z tego terenu bardzo mi ułatwiały kontakty z poznaniakami. Od kilkunastu lat w Regionie Kozła wynajmuję działkę rekreacyjną w Starym Kramsku nad jeziorem Wojnowskim.

 **Bogdan Jan Springer**

Marian Springer (1912 Chobienice – 2007 Zielona Góra) urodził się w rodzinie kolejarza i powstańca wielkopolskiego. Uczył się w Chobienicach, w Wolsztynie, w Stolnie na Polesiu, został kierownikiem szkoły w Chutorach Merlińskich. Walczył potem w II wojnie światowej, dostał się do niewoli, spędził sześć lat w obozie jenieckim w Murnau. W 1945 r. podjął pracę w szkole w Rakoniewicach, następnie został kierownikiem placówki w Świętnie. W 1950 r. podjął pracę w Zielonej Górze, gdzie pracował do emerytury. Jest autorem kilku prac historycznych, w tym wspomnień („Za kratami oflagu” Zielona Góra 1977, „Żołnierskie drogi nauczycieli” Zielona Góra 1977, „Wspomnienia z pobytu w hitlerowskim obozie jenieckim w Murnau”; mps Zielona Góra 1985).

Jerzy Jańczak – wspomnienie

To się zdarza coraz częściej. Świat idzie, biegnie w nieznanym kierunku, zostawiając na poboczu tych, którzy za nim nie nadążają. Dlatego z wielkim opóźnieniem dowiedziałem się, że nie ma już między nami Jerzego Jańczaka. „Wziął i odszedł”. Zawinął się. Ale dlaczego tak wcześnie, skoro tyle jeszcze było do zrobienia? Głównie do napisania, upamiętnienia, zwłaszcza w historii zbąszyńskiego sportu.

Jurka pamiętam z dwóch okresów. Wcześniejszego, gdy był piłkarzem „Obry”, a ja chodziłem kibicować swemu ulubionemu klubowi, a następnie dużo późniejszego, gdy podjęliśmy współpracę przy robieniu pisma obywatelskiego „Zbąszynianin”. Widzę Jurka na boisku, grał w pomocy, chyba prawej. Niewiele szczegółów z wydarzeń meczowych zostało w pamięci, wszak to było ponad pół wieku temu. W bramce tamtego okresu stał

Zdzisław Seifert (potem chyba bronił Henryk „Moja” Potrawiak), na środku obrony grał jako jej opoka niezawodny Andrzej Brudło, w pomocy pracowali Sojka i Jańczak, zaś w ataku często strzelający Panu Bogu w okno, ale za to bardzo szybki Jan (Jasiu) Sobański. W jakimś momencie został sprowadzony do „Obry” (praca?) niezły napastnik Henryk Pietrusiński (Pietrusiewicz?). Oczywiście grali również Zbigniew Olejniczak – „Zbiniu” (atak), Florian Kromski – „Filip” (chyba pomoc), Ryszard Zwierzchowski. Może myślę okresy, może nie wszyscy wymienieni grali jednocześnie w tej samej drużynie, lecz mocno, wraz z Jurkiem, utkwili w młodszej pamięci. Podobnie jak pan Wichrowski (ten z Łazienek), który podczas meczów rzucał na bieżnię cukierki (w papierkach oczywiście), gdy nasi strzelili gola.

Upłynęły lata. W październiku 1989 r. udało mi się wydać „na odległość” pierwszy numer czasopisma lokalnego „Zbąszynianin”. Na odległość, gdyż mieszkałem i pracowałem wówczas w Białymstoku, gdzie na moim domowym biurku mieściła się redakcja pisma. Ów numer został wydrukowany w drukarni w Piszcu na Mazurach i przesłany do Zbąszynia. Tutaj kolportażem zajął się Zenon Matuszewski, który – jako prezes Zbąszynskiego Towarzystwa Naukowo-Kulturalnego – został wydawcą periodyku (i autorem winiety tytułowej). Dlaczego o tych szczegółach wspominam? Bo już w numerze 3(8) z 1995 r. został

wydrukowany pierwszy artykuł Jerzego Jańczaka o klubie „Obra”, a on sam, autor, trafił do stopki redakcyjnej jako członek redakcji. W następnych numerach mamy kolejne jego informacje o sporcie – duże i małe. O rozgrywkach wszystkich klas, aż po ligę oldbojów. Lub piękne wspomnienie pośmiertne o trzech kolegach z boiska (Januszu Jankowiaku, Henryku Potrawiaku i Janie Gruszczynskim). Jurek rozkręcał się z każdym numerem. Otrzymał od redakcji swoje stałe rubryki. Powstawały coraz ciekawsze teksty, niektóre (jak np. o odrodzeniu Sokoła) bogato ilustrowane. Ale hitem, który Jańczak tworzył przez dłuższy czas, był felieton Łoldboja pisany zbąszynską gwara. Świetny pomysł, wobec którego on sam jako autor początkowo miał wątpliwości, zatem usilnie namawiałem go do rozwijania tej działalności. Wyszło znakomicie! Dziś można by zebrać felietony i wydać w oddzielnej książeczce.

I jeszcze coś istotnego. Jurek od samego początku współpracy ze „Zbąszynianinem” bardzo poważnie traktował ten obywatelski organ. Nie tylko bowiem pisywał do niego, ale w pewnym okresie stał się głównym kolporterem. Znajdował różne punkty w mieście (sklepy, kioski) i namawiał ich właścicieli, żeby zgodzili się sprzedawać najnowsze wydania. Z myślą o takich osobach zamówiliśmy duże samoprzylepne napisy reklamowe – będące powtórzeniem winiety tytułowej i kroju pisma „Zbąszynianin” – które Jurek rozwoził do miejsc kolportażu

i naklejał tam na szyby, drzwi czy inne eksponowane miejsca. Naprawdę żył tą – społeczną przecie – robotą i nigdy mu tego zaangażowania nie zapomnę. Bez niego nie byłoby takiej popularności naszego pisma wśród czytelników, oczekiwania na kolejne nowe wydanie. Piękny to był czas i piękne postawy niektórych zbąszynian.

Później widywaliśmy się głównie przy okazji jego trzykrotnego prezesowania „Obrze”. Podejmował się tej trudnej i niewdzięcznej działalności, bo naprawdę zależało mu – jak mało komu – na zbąszynskim sporcie, zwłaszcza na piłce. Wyciągał zatem „Obrę” z dołka i potem wracał do swojego ulubionego (od zawsze) za-

jęcia – prowadzenia kroniki klubowej i prywatnej. Miał bowiem własne notatki i dokumentację wycinków prasowych, a wszystko to gromadził od dziesiątków lat. Chodząca encyklopedia lokalnego futbolu. Gdy potrzebowałem jakiejś precyzyjnej informacji – za telefon i do Jurka. Albo, będąc w Zbąszyniu, przy okazji wsiadałem w samochód i wpadałem na ul. Leśną. Zawsze było o czym rozmawiać. Aż pewnego dnia to się urwało... Kto teraz poprowadzi kronikę naszego życia sportowego?

Żegnaj, Jurku, niezapomniany Łoldboju!

 **Eugeniusz Kurzawa**

Jerzy Jańczak, piłkarz (1962-80), trener (1974-77, 1981-83, 1986-87), prezes klubu „Obrze” Zbąszyn (1983-85, 1996-99, 2007-2010); do jego zainteresowań należały, poza sportem, wędkarstwo oraz praca w ogrodzie.

Odszedł Dziadek Florek (Florian Wojciechowski)

28 grudnia 2022 r. mieszkańcy Zbąszynka pożegnali Floriana Wojciechowskiego – Zasłużonego Obywatela Gminy. „Pragnę do końca mojego życia od czasu do czasu ubrać się w mundur” – powiedział popularny Dziadek Florek. Urodził się 30 kwietnia 1924 r. w miej-

scowości Sroki, powiat krotoszyński, jako syn Antoniego i Stanisławy. Jego ojciec, żołnierz 11 przedwojennego pułku piechoty, hallerczyk, odsiedział za czasów Piłsudskiego półtora roku w Berezie Kartuskiej... Widać nie należał do pokornych wobec sanacji.

3 maja 1932 r., mając osiem lat, młody Florek wstąpił do zuchów – działających w Związku Gimnastycznym „Sokół” w Przybrodzie. Po ukończeniu szkoły podstawowej był uczniem w kuźni kowala. Należał następnie do Koła Młodzieży Wiejskiej, gdzie kierował grupą teatralno-artystyczną i gimnastyczną. W okresie okupacji hitlerowskiej, podczas pracy jako robotnik rolny, prowadził tajne nauczanie w zespole muzycznym i zajmował się kolportażem nielegalnej prasy polskiej. W listopadzie 1944 r. został aresztowany i osadzony we Wronkach, następnie w Domu Żołnierza w Poznaniu, po czym przydzielony do karnej grupy roboczej pracował na lotnisku pod Poznaniem, działając w Tajnej Organizacji Polskiej. Był torturowany przez Niemców i kilkakrotnie zbity do nie-

przytomności. Pod koniec grudnia 1944 r. udało mu się zbiec i schronić się w Kiekrzu, gdzie 27 stycznia 1945 wstępuje w szeregi MO i bierze udział w wyzwaniu cytadeli poznańskiej oraz likwidowaniu grup niemieckich kryjących się po lasach w okolicy Rokietnicy i Pamiątkowa.



Florian Wojciechowski przy biurku – w mundurze kolejarza



Fotografia Dziadka Florka z okresu pracy na niwie kulturalnej

26 kwietnia 1945 zostaje zmilitaryzowany i przydzielony do jednostki kolejowej rezerw MO stacji Rokietnica. W następnych latach, zapewne

w tym samym charakterze, był zatrudniony na stacjach PKP Wawrów, Wierzbo, Sarbiewo. 11 lipca 1948 r. przeniesiony do Międzyrzecza, a na



Zawsze chętny do tańca i do różańca...



Jubileusz 90-lecia. Jak się okazało – świętowali razem: dziadek Florek i miasto Zbąszynek. Tutaj na scenie domu kultury z Malwiną Kubicką.



Florian Wojciechowski jako aktor zbąszyńskiego Teatru „S” zagrał m.in. w sztuce o okrutnym kasztelanie, panu miejscowego zamku. Chętnie też brał udział w zespołach tanecznych. Sił mu nie brakło...

stępnie Gorzowa Wlkp., gdzie zostaje dowódcą drużyny operacyjnej rezerw ORMO, a także prowadzi tam zespół artystyczny. W 1951 roku zostaje wcielony do Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i skierowany do szkoły oficerskiej we Wrocławiu, a następnie w Katowicach. W czerwcu 1952 r. otrzymuje rozkaz przeniesienia na PKP do Zbąszynka jako dystrybutor ruchu. Tu w marcu 1954 r. otrzymuje mieszkanie przy ul. Kilińskiego. Pracuje jako dyżurny ruchu na różnych nastawniach stacji Zbąszynek. W lipcu 1965 mianowano go kierownikiem domu kultury (odpowiadał m.in. za budowę sali tanecznej). Następnie wykonywał społecznie różnorakie prace kulturalno-oświatowe, będąc instruktorem artystycznym w domu kultury. Pełnił

też funkcję sekretarza i instruktora w Komitecie Zakładowym PZPR na kolei. Został ponadto radnym Miejskiej Rady Narodowej w Zbąszynku.



Pan Florian Wojciechowski przez całe życie był aktywny. Działał na wielu polach społecznych.



Jako harcerz i zarazem chórzysta podczas obchodów swych 90. urodzin w domu kultury



*Dla mieszkańców Zbąszynka po prostu –
dziadek Florek*

W lutym 1973 r. wraca do pracy na kolei na stanowisko zastępcy zawiadowcy stacji do spraw handlowo-przewozowych, w końcu na własną prośbę przechodzi na emeryturę 1 grudnia 1981 r. Gdy zmarł mu syn zauważył podczas pogrzebu bałagan i chaszcze na cmentarzu. Wziął się więc powoli za porządkowanie nekropolii. Po śmierci żony odnowił kaplicę cmentarną, aż w końcu uruchomił zakład pogrzebowy. Działo się to w latach 1991-1997, gdy był zarządcą cmentarza komunalnego, wykazując się zwłaszcza dużym zaangażowaniem przy odbudowie kaplicy na cmentarzu. Niespożyta dusza społecznika, człowieka oddanego innym.

Po przejściu na emeryturę oczywiście nie spoczął na laurach. Wstąpił do ZHP w Zbąszynku. W lipcu otrzymał stopień przewodnika i stał się instruk-

torem wychowania gospodarczego na obozach w Pszczewie. Działal tam do 1997 roku, czyli 15 lat. W latach 1982-1987 był przewodniczącym Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów w Zbąszynku. W 1997 roku niespodziewanie wyjechał do Brzózek (gmina Nowe Warpno), gdzie nadzoruje rozbudowę przydzielonego mu domu mieszkalnego. Opiekuje się dziećmi w ramach rodziny zastępczej. Przenosi się do Chorągwi Zachodniopomorskiej ZHP, gdzie otrzymuje stopień instruktora przewodniczącego Kręgu Seniorów „Zarzewie”; pełni tę funkcję do listopada 2012. W tym też miesiącu wraca do Zbąszynka.

Florian Wojciechowski po powrocie do Zbąszynka aktywnie działał w Klubie Seniora „Pogodna Jesień”, był członkiem zespołu tanecznego „Tęcza”, aktorem Teatru „S” (Zbąszyń). Ostatnie lata życia poświęcił działalności w Dziennym Domu Senior-Wigor.

Florian Wojciechowski to była chodząca pamięć społeczna, a jego zbiory dokumentów stanowiły niepowtarzalne archiwum dla Zbąszynka, kolei i licznych organizacji, do których należał i w których działał. Ciekawe czy te archiwalia zostaną wykorzystane, czy powstanie – jak ongiś pan Florian planował – lokalna izba pamięci? Gdy pracował w domu kultury prowadził równoległe dwie kroniki, własną i placówki. – Pan Budniak, korzystając z mojej dokumentacji, pisał pracę magisterską, miał potem tworzyć na tej podstawie izbę pamięci w szkole – opowiadał Dziadek Florek

dziennikarzowi w 1997 roku. – Tymczasem pan Budniak trafił do Zielonej Góry, a z nim moje materiały. Izby pamięci nie ma do dziś – skonstatował.

Dlaczego Dziadek Florek to wszystko robił? – rodzi się pytanie. Tyle lat niestrudzonej aktywności, właściwie do samego końca życia. – To chyba rodzinne – odpowiedział. Przypomniał, że jego matka zbierała przed wojną zdjęcia, gromadziła pieśni ludowe. A w 1935 r. na Ziemi Krotoszyńskiej pojawił się fotograf, który uczył robić zdjęcia. – Tę wiedzę wykorzystuję do dziś – przed laty F. Wojciechowski miał w swym domu przy ul. Kilińskiego meblościankę, gdzie na baczność stały liczne albumy fotograficzne. Do tego szuflada pełna negatywów. Poza tym inne dokumenty, archiwalia. Mnóstwo papierów.

Co się z tymi aktami stało po śmierci Dziadka Floraka? Gdzie trafiły? – Może do szkoły? Może do biblioteki? – sugerował za życia. I co?

Za ofiarną pracę społeczną i zawodową odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi; Medalem XXX-lecia PRL, Odznaką Janka Krasickiego oraz czternastoma innymi odznaczeniami społecznymi i resortowymi. W 1998 r. otrzymał tytuł Zasłużonego Obywatela Gminy Zbąszynek. Warto bowiem pamiętać, iż popularny Dziadek Florek miał tyle samo lat, co miasto, w którym spędził większość życia i gdzie zmarł. Razem ze Zbąszyńkiem świętował 90-lecie urodzin, niestety, nie doczekał 100-lecia.

Emilia Łodyga – zwykła kobieta z niezwykłym życiem

Emilię znali wszyscy w gminie Trzciel, a szczególnie w Brójcach. Tam bowiem spędziła prawie całe swoje życie. Tę małą ojczyznę ukochała nade wszystko. Dla niej pracowała, działała społecznie, była wszędzie tam, gdzie coś się działo i gdzie była potrzebna. I w tej swojej umiłowanej miejscowości została okrutnie zamordowana. Trudno w to uwierzyć, że już jej nie ma i że ktoś w taki straszny sposób zabrał jej życie. A jeszcze tydzień przed

śmiercią była z Trzcielskimi Seniorami na wycieczce po Ziemi Kłodzkiej i Opolszczyźnie. Lubiła turystyczne wyprawy, podziwiała zabytki i piękne krajobrazy. Dwa dni przed tym niespodziewanym i przedwczesnym odejściem wszyscy ją widzieli na festynie parafialnym, bo tradycyjnie od wielu już lat pomagała w jego organizacji i właściwym przebiegu.

Emilia Łodyga zawsze kojarzona była z Brójcami, księgowością,

wszechstronnością działania, pomocą innym, społecznikostwem. Miała 75 lat, ale aktywności i energii jej nie brakowało, nie oszczędzała się, na wszystko miała czas i wolę działania. Zawsze chciała być pożyteczną, wielu oferowała swoją pomoc. Na każdą zabawę seniorów, spotkania, pikniki, festyny piekła ciasta, przygotowywała przysmaki kulinarne. Taka była Miła. Na ostatnie spotkanie myśliwych z „Żurawia” miała przygotować ciasto i sałatkę. Nie zdążyła, zbrodniarz był szybszy. Zwykła kobieta z niezwykłym życiem, które sama sobie zorganizowała, stała się ofiarą zbrodni.

Emilia Łodyga z wykształcenia była księgową i tę profesję wykonywała przez całe swoje zawodowe życie. Pamiętam ją z pracy w Nadleśnictwie Trzciel, stamtąd odeszła na emeryturę w 2008 roku. Jednak jeszcze przez pięć lat tam pracowała. Jej kompetencje zawodowe były wysoko cenione, toteż do końca życia prowadziła księgowość różnym stowarzyszeniom, organizacjom, instytucjom. Prowadziła rachunkowość działkowiczom, strażakom, myśliwym. Pomagała w tym zakresie brójeckiej parafii. Działała w Kole Gospodyń Wiejskich i uczestniczyła w zajęciach Międzyrzeckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Lubiła śpiewać, więc należała do chóru w Międzyrzeczu. Zapamiętam na zawsze jej śpiew podczas wspólnej wycieczki do Łądka Zdroju. Nikt nie

przypuszczał, że już nigdy więcej nie zaśpiewa żadnej piosenki. Pracowała dla swojej miejscowości, była w pewnym okresie sołtysiem, radną miejskiej rady w Trzcielu, aktywnie działała na rzecz budowy nowej szkoły w Brójcach. Trudno jest wymienić to wszystko, czym zajmowała się Emilia Łodyga, i trudno jest wymienić tych wszystkich, którym pomogła lub doradzała w jakichś życiowych problemach. Miała też czas na własne pasje, na realizację swoich celów. Grała w teatrze amatorskim, pomagała w prowadzeniu kroniki Brójec, uczestniczyła w wielu imprezach kulturalnych, sportowych, strażackich. Często była też ich współorganizatorką.

Mieszkańcy Brójec o tym nie zapomnieli, pożegnali ją tak, jak na to zasłużyła. Pogrzeb Emilii Łodygi zgromadził setki osób pogrążonych w żałobie, jej przyjaciół, współpracowników, znajomych. Było mnóstwo kwiatów, zniczy, sztandarów, delegacji w mundurach leśników, strażaków, myśliwych. Były modlitwy i mowy pogrzebowe. W jednej z nich Edward Fedko, były burmistrz Trzciela, powiedział: – Emilia odeszła od nas przedwcześnie, w tragicznych okolicznościach, ale pamięć po niej zostanie na zawsze. Niech święty Hubert i święty Florian zawsze mają ją w opiece.

 **Jadwiga Szylar**

Moje wspomnienie o Marianie Andrzejaku

*Nie umierają ci, o których
pamiętamy – bo pamięć
to nieśmiertelność*

Nie pamiętam dokładnie, czy była to wiosna czy może wczesne lato. Na pewno był rok 2011. Przeprowadziłam się – a raczej wróciłam na dobre do Zbąszynia, po studiach historycznych w Zielonej Górze. Pełna nadziei, pomysłów i radości. Pewnego dnia poszłam na spacer na „stare kąty”, dobrze znane z dzieciństwa. Dokładniej – poszłam na spacer istniejącą jeszcze wówczas aleją dębów w kierunku na stare Dąbki – miejsce spotkań towarzyskich i wielu miłych wspomnień naszych rodziców oraz dziadków. Zresztą, moich również. Był to ostatni czas jej istnienia (późniejsza przebudowa i modernizacja Dąbków, choć bardzo ciekawa, niestety spowodowała wycięcie alei drzew). Szłam w kierunku do jeziora, a z naprzeciwka siedł starszy, niezwykle postawny mężczyzna, z eleganckim wąsem. Niewątpliwie to właśnie najpierw wąs, a potem błękitne oczy, zwróciły moją uwagę. Chyba już z daleka widział, że obserwuję drzewa (patrząc na nie, wspominałam dawne czasy, kiedy jako 10-, 12-letnia dziewczynka spacerowałam pod tymi drzewami, idąc zwawym krokiem na plażę, która w tamtych czasach, mieściła się przy restauracji i hotelu w Dąbkach).

Starszy Pan spojrzał na mnie, grzecznie powiedziałam „Dzień dobry”, a on oczywiście odpowiedział, spojrzał na mnie i zatrzymał się, mówiąc: „Piękne te drzewa, prawda? Bardzo je lubię”. Aż mu się oczy zaśmiały. I tyle. Zrobiło mi się ciepło na sercu. Mieliśmy chyba coś wspólnego. Starszy Pan, troszkę przed 80. i ja, 25-letnia. Nie wiedziałam, jak się nazywa i kim jest. I on również mnie nie znał. Jeszcze nie wtedy.

Oczywiście Pan z eleganckim wąsem niejednokrotnie przemyczał mi później przed oczyma na zielonym rowerze, ulicami naszego miasta. Pracując w Zbąszyńskiej Telewizji Ka-



*Marian S. Andrzejak w podarowanej mu
rogatywce ulana*

blowej, tworząc program historyczny „Przechadzki po Zbąszyniu”, na podstawie książki, jak się okazało – autorstwa właśnie tego spotkanego na drodze do Dąbków Starszego Pana – nie miałam jeszcze pełnej świadomości, kim jest. Dopiero dwa lata później, w lipcu 2013 roku, gdy rozpoczęłam pracę w Zbąszyńskim Centrum Kultury jako przewodnik i opiekun ekspozycji oraz archiwaliów Muzeum Ziemi Zbąszyńskiej i Regionu Kozła, miałam okazję poznać Pana Mariana oficjalnie. Stało się to podczas Biesiady Kozłarskiej. W ten sposób poznałam człowieka, dzięki któremu jeszcze bardziej pokochałam Zbąszyń oraz chłonęłam jego historię. Był to właśnie ów mężczyzna przypadkowo

spotkany wśród ukochanych drzew w drodze do Dąbków.

Marian Andrzejak urodził się 88 lat temu. Przez wiele lat związany był zawodowo z zakładem odzieżowym „Romeo”, pracował tam jako mechanik. Niewiele wiem o jego życiu prywatnym, choć często dawał do zrozumienia, że rodzina jest najważniejsza. Podkreślał również, że historię Zbąszynia i najbliższych okolic kocha nad życie. Choć nie był z wykształcenia historykiem, ta dziedzina niewątpliwie była mu bliska. Regionalista, pasjonat historii szeroko pojętej, ale chyba najbardziej okresu dwudziestolecia międzywojennego, w tym stacjonujących u nas szwadronów 15. Pułku Ułanów Poznańskich i 7. Pułku Strzelców



Marian Andrzejak przed budynkiem (który już nie istnieje) przedwojennych koszar wojskowych w gronie miejscowych miłośników historii, a szczególnie ułanów. Są to Urszula Adamczak, Daniel Adamczak, Piotr Stachecki, Michał Andrzejak, Grzegorz Szymczak.



Marian Andrzejak w towarzystwie Piotra Stacheckiego

Konnych Wielkopolskich. Ponadto interesował go czas II wojny światowej oraz historia życia codziennego, kulturalnego mieszkańców. Niezwykle sentymentalnie opowiadał o przeszłości. Dbał o detale historycznych wspomnień. Jego „Przechadzki po Zbąszyniu lat międzywojennych” pięknie opisywały każdy budynek, od dworca po Rynek; wskazywał, gdzie była karczma czy hotel, apteka, piekarnia, sklep kolonialny. Ponadto był miłośnikiem śpiewu, kultury regionalnej, tradycji, zwyczajów, folkloru i muzyki ludowej. Pięknie potrafił opowiadać o ułanach, równie ładnie mówił o muzyce ludowej i, na przykład, o pierwszej kapeli braci Domagałów – tej przedwojennej. Podkreślał, że „nie było zabawy w Zbąszyniu (cymper, wesele czy wcześniejsze biesiady kozłarskie), gdzie nie przygrywałby kozioł, skrzypce i klawier”.

W latach 70. i 80. XX wieku mocno związany był z muzeum mieszczącym się jeszcze wówczas w wieży bramnej przy wjeździe do parku (popularnej Baszcie), którą kierował

inny znany i ceniony regionalista oraz nauczyciel, Franciszek Zierke. Kiedy muzeum zostało przeniesione z Baszty do budynku dawnej szkoły ewangelickiej mieszczącej się na Rynku 8, Andrzejak nadal był jego częstym gościem, jak również wiele razy prezentował swoje bogate zbiory pamiątek – takich jak obrazy, sztuczce, porcelana czy fotografie. Miałam tę przyjemność, że i mnie odwiedzał (w muzeum), przynosząc co jakiś czas ciekawe pamiątki. Jego domowe archiwum było naprawdę imponujące. Miałam przyjemność dwa razy pomagać przy przygotowaniach wystaw pana Mariana: wystawy w 2015 roku pt. „Jesienne klony”, gdzie zaprezentował swoje fotografie (bardzo lubił robić zdjęcia), oraz wystawy podczas jednej z Biesiad, prezentującą bogaty zbiór porcelany i sztucców. Warto dodać, że M. Andrzejak do muzeum na stałe przekazał zbiór obrazów.

W ostatnich latach, ze względu na wiek oraz pogarszające się zdrowie, był nieco mniej aktywny, choć nadal

starał się uczestniczyć w wydarzeniach kulturalnych Zbąszynia. W 2022 roku, podczas wirtualnej Nocy Muzeów (zbąszyńskie muzeum było wówczas zamknięte na czas remontu), aktywnie współtworzył to wydarzenie, podczas którego pięknie opowiedział o zbąszyńskich koszarach oraz stacjonujących w latach 1921-1939 szwadronach 15. Pułków Ułanów Poznańskich oraz 7. Pułku Strzelców Konnych Wielkopolskich. Jego wspomnienia, pamiątki i fotografie, natchnęły grono młodszych pasjonatów tej historii, żeby na nowo odkryć historię zbąszyńskich koszar. Podczas historycznego spotkania z kawalerią pt. „Patrol Zbąszyń”, 7 maja 2022 roku, otrzymał w prezencie rogatywkę. Były plany na znacznie więcej. Niestety. Odszedł 16 stycznia 2023 roku. Po cichu i skromnie.

Pan Marian Andrzejak, podczas naszego ostatniego spotkania, podkreślił, że „on już swoje zrobił i ma cichą nadzieję, że nie zostanie to zapomniane”. Niestety, nie będę w stanie już go o tym zapewnić. Nie usiądę w jego domu, przy drewnianym okrągłym stole, wśród wielu rodzinnych pamiątek. W towarzystwie starego zegara, który podczas rozmów odmierzał czas. Nie zapewnię, że to co zrobił dla naszego miasta i dla nas, jest bezcenne. Jest nieśmiertelne.



Urszula Adamczak

Fot. Z archiwum Czasu Wolnego w Terenie

Prace M. Andrzejaka dotyczące Zbąszynia dostępne w bibliotece miejskiej

Andrzejak Marian Stanisław: „Podania i opowiadania Ziemi Zbąskiej”, 1981, str. 46.

Andrzejak Marian: „Przechadzki po Zbąszyniu z lat 1920-39, czyli co i jak dawniej bywało”. Zbąszyń: Nakładem autora 1987, 26 s. jednostronnie zapisanych [maszynopis – odbitka kserograficzna]. Wyd. II Zbąszyń 2006. Na prawach rękopisu. Format A5, oprawa introligatorska. Dostęp w bibliotece miejskiej.

Andrzejak Marian Stanisław: „Zarys dziejów biblioteki kościelnej w Zbąszyniu”. Zbąszyń 2000, 76 s., il. Na prawach rękopisu.

Andrzejak Marian Stanisław: „Majątki ziemskie okolic Zbąszynia w czasach II Rzeczypospolitej”. Zbąszyń 2013, 14 s., [31]s., il. Na prawach rękopisu. Format A5, oprawa.

Andrzejak Marian Stanisław: „Acta Zbąszyniana”. Nakładem własnym. Zbąszyń 2011, 52 s., oprawa introligatorska. Dostęp w bibliotece miejskiej.

Andrzejak Marian Stanisław: „Nekropolie Ziemi Zbąskiej”. Zbąszyń 2011, 25 s., [55] s., il. Na prawach rękopisu. Format A5, oprawa introligatorska. Dostęp w bibliotece miejskiej.

Andrzejak Marian Stanisław: „Zarys dziejów Kościoła i Parafii Zbąszyńskiej”. Zbąszyń 2011, 49 s., il.

Wszystkie te pozycje autor nie tylko napisał, ale i wydał nakładem własnym.

varia





Jak zostałem uśmiercony

Gdy po kilkunastu latach, na początku lat 90. XX wieku, wróciłem ze współczesnych polskich kresów do Zielonej Góry, wielu spotkanych znajomych na mój widok było co najmniej zdziwionych, jeśli nie zaszokowanych. Początkowo nie rozumiałam o co idzie, ale sprawa się szybko wyjaśniła. Koledzy byli przekonani, że nie żyję, stąd mój widok na ulicy lub na jakimś spotkaniu czy imprezie mógł nimi wstrząsnąć.

Dlaczego miałbym nie żyć? Powodem była nota autorstwa (nieżyjącego już dziennikarza i krytyka literackiego) Zenona Łukaszewicza. Zamieszczam ją obok. Otóż pan Zenon, dokonując w ówczesnym dzienniku „Gazeta Nowa” stałych przeglądów prasy lokalnej, przedstawił swoją ocenę bieżącego numeru pisma „Zbąszynianin”, ukazującego się w moim mieście rodzinnym. Wspomniał w swej opinii o mnie, gdyż kilka lat wcześniej byłem założycielem tego czasopisma i przez pewien okres redagowałem je (na odległość, mieszkając wtedy w Białymstoku). Dlaczego jednak zostałem uśmiercony? Do Łukaszewicza dotarła informacja o mojej śmierci. Napisał więc pięknie o mnie w swym omówieniu (trzeciego numeru „Zbąszynianina”), iż „bez przesady można stwierdzić, że gorącym animatorem wszelkich działań [kulturalnych?] był do niedawna nagle zmarły red. Eugeniusz Kurzawa, który choć urodził

się w Kościanie, od młodości lat mieszkał w Zbąszyniu i sentyment do tego miasta zabrał ze sobą aż na wschodnie kresy Polski, gdzie ostatnio mieszkał, redagując z oddali zbąszyńskie pismo”. Czyż nie piękne? Choć nigdy się nie dowiedziałem, co się stało, że „zmarłem nagle”. Zawał? Wypadek samochodowy? Nota red. Łukaszewicza ukazała się 10 czerwca 1991 r. w numerze 110 „GN”.

O tej publikacji, czy raczej o samym zdarzeniu, napisałem krótko pt. „Śmierć na początek” w zielonogórskim czasopiśmie kulturalnym „Komunikaty” (nr 3, grudzień 1994), które w owym czasie redagowałem. Zresztą mój głos – celowo okraszony chwytliwym tytułem – tylko w wstępie trochę żartobliwie nawiązywał do „uśmiercenia” mnie na łamach gazety, natomiast w całości poświęcony był ocenie kultury lubuskiej po moim powrocie do Winnego Grodu. W numerze 2(5) „Komunikatów” odpowiedział mi na to obszernie Z. Łukaszewicz. Przytoczę istotną część wypowiedzi krytyka.

„Okoliczność powstania tej godnej ubolewania informacji, podważającej moją wiarygodność, są dobrze znane p. Kurzawie – wolał je jednak złośliwie przemilczeć. Jego sprawa! Uprzejmie proszę jednak o opublikowanie następującego wyjaśnienia. W owym czasie byłem współpracownikiem »Gazety Nowej« i któregoś dnia jej ówczesny

redaktor naczelny dr Andrzej Buck powiadomił mnie, iż pragnąc zaangażować p. Kurzawę w redakcji, połączył się telefonicznie z jego białostockim mieszkaniem, skąd uzyskał informację, iż pan Kurzawa nagle zmarł. Wobec tego, omawiając w krótkiej notatce »Zbąszynianina«, w którego redagowanie wiele serca i zapału

wkładał p. Kurzawa, nie omieszkalem wyrazić żalu z powodu jego śmierci. Dodam jeszcze, że p. Buck namawiał mnie do napisania pośmiertnego wspomnienia, ale tej propozycji nie przyjąłem, gdyż osobę »denata« zbytnie mało znałem.

Niestety, po miesiącu, gdy okazało się, że informacja była nieprawdziwa

Z PRASY REGIONALNEJ

zbaszynianin

PISMO OBYWATELSKIE ZBASZYNIA NRS 051094 2.

Zbąszyn jest jednym z tych naszych nielicznych miasteczek, gdzie z pietyzmem kultywuje się miejscowe tradycje, popularyzuje historię, zabytki i ludzi, zasłużonych dla regionu. Służą temu liczne wydawnictwa książkowe oraz pismo obywatelskie "Zbąszynianin", wydawane przez Towarzystwo Naukowo-Kulturalne i społecznie redagowane przez miejscowych animatorów kultury. Bez przesady można stwierdzić, że gorącym animatorem wszelkich działań był do niedawna zmarły nagle red. Eugeniusz Kurzawa, który choć urodził się w Kościanie, od lat młodzieńczych mieszkał w Zbąszyniu i sentyment do tego miasta zabrał z sobą aż na wschodnie kresy Polski, gdzie ostatnio mieszkał, redagując z oddali zbąszyńskie pismo.

Jego ostatni, 3 numer ma charakter monograficzny. Został bowiem przy-

gotowany pod kątem prezentacji życia religijnego w Zbąszyniu. Czytamy więc o 475 latach Kolegiaty Zbąszyńskiej, o 350 latach Dekanatu oraz 50 rocznicy kapłaństwa ks. Mieczysława Pohla. Pismo zamieszcza kartki "Z historii parafii", spis proboszczów rozpoczynający się od XIII w., Elżbieta Szczepaniak opowiada o zasłużonych ludziach dla regionu a Zenon Matuszewski omawia "Kontrowersje wokół herbu". Nie oznacza to wszakże, że pismo jest całkowicie pogrążone w przeszłości. Przecież omawia się nowe nazwy ulic, zadaje aktualne pytania burmistrzowi, przypomina o pilnych sprawach "Do załatwienia". Ciekawę są wypowiedzi młodzieży, kąciki sportowe i turystyczne, wiele aktualnych informacji. Pismo jest żywe, warte lektury i ... kontynuacji!

(Łuk.)

(nie znam jej źródeł), redaktor naczelny »GN« nie zamieścił sprostowania, nie uczynił też tego sam zainteresowany po zatrudnieniu go w redakcji. Myślę więc, że p. Kurzawa zarzucając mi dezinformację, sam ją popełnia wobec czytelników »Komunikatów«.

Odpowiedziałem natychmiast Łukaszewiczowi, do którego nie miałem żadnych pretensji – przeciwnie, bawiło mnie to moje „nagłe odejście” - że w swej publikacji (z nr 3 „Komunikatów”) ani nie posądzałem go o dezinformację, ani niczego złośliwie nie przemilczałem. Niby co? Na zakończenie wskazałem jednak, iż sprostowanie w sprawie swojej śmierci to raczej nie ja powinienem drukować. Ale Łukaszewicz chyba się wtedy na mnie zupełnie obraził.

Tuż po jego śmierci, na łamach podziemnego samizdatu, który w owym czasie wydawałem (nazywał się „Kommun i Katy 2”), w 2011 roku wspominałem pana Zenona, z którym ongiś, jako dziennikarz studencki, utrzymywałem dobre stosunki, a później, gdy zatrudniłem się w „Gazecie Nowej”, jako zastępca sekretarza redakcji puszczałem jego recenzje i felietony. Namówiłem go nawet do zebrań w formie książki jego gazetowych wspomnień dotyczących życia literackiego Ziemi Lubuskiej, które ukazały

się pt. „Mój alfabet albo pstryczki i potyczki”. Uznałem ostatecznie, iż pisząc o nim wspomnienie pośmiertne, winien jestem mu swoisty rewanż. Choć nie wiem, czy by to docenił...

Pozostaje dopowiedzieć, co mogło być źródłem tej całej sytuacji z początku lat 90. W naszym białostockim mieszkaniu w tym czasie mieszkały ze mną tylko żona i córka, która się akurat urodziła i z pewnością nie potrafiła jeszcze odbierać telefonów. Zapewne więc red. Buck wybierał – i to może kilka razy – niewłaściwy numer, będąc przekonany, że dzwoni do dawnego kolegi ze studiów. Za którymś razem omyłkowy abonent, wkurzony powtarzającym się pytaniem, rzucił pewnie w słuchawkę, że Kurzawa nie żyje. Co zostało powtórzone w redakcji...

Przez długi czas byłem przekonany, iż w „Gazecie Nowej” ukazało się, poza notą Łukaszewicza, jeszcze jakieś większe wspomnienie. Niestety, nie znalazłem takiej publikacji, choć uparcie przewracałem na piechotę kilka razy rocznik „GN”. Trudno. Ale i tak nie każdy może się szczyścić tym, że czytał o sobie „po śmierci”, prawda?

Poza tym ponoć takie „uśmiercenie” oznacza długie życie. Kto wie? Może...

 **Eugeniusz Kurzawa**

